

Edith Nesbit

Pięcioro dzieci i „coś”

Five Children and It
Przełożyła Irena Tuwim

ROZDZIAŁ I

PIĘKNI JAK DZIEŃ

Dom leżał o trzy mile od stacji. Ale nie upłynęło pięć minut, gdy dzieci zaczęły się wychylać przez zakurzone okienka wynajętej karety i rozglądać na wszystkie strony, pytając: „Czy to już?” A za każdym razem, kiedy mijano jakieś domostwo, co nie zdarzało się zbyt często, dzieci wołały chórem: „Ach, czy to to?” Ale to nie było to, póki nie zajechali na sam szczyt wzgórza, mijając skały wapienne i stary kamieniołom. Stamtąd dopiero zobaczyli biały domek w zielonym ogrodzie i przylegający do domu sad i mama powiedziała: „No, nareszcie!”

— Jaki biały jest ten domek — powiedział Robert.

— I popatrzcie tylko na róże — powiedziała Antea.

— I na śliwki — dodała Janeczka.

— Bardzo przyzwoicie wygląda — przyznał Cyryl.

— Chcie na śpaciel — zawołał najmłodszy. I kareta zatrzymała się wydając ostatnie skrzypienie kół po piasku.

Każdy chciał być jak najprędzej na ziemi. Zaczęło się więc wysiadanie połączone z deptaniem sobie po nogach i wielkim zamieszaniem. Nikomu jednak to nie przeszkadzało. Tylko mamie jakoś dziwnie się nie śpieszyło. I nawet kiedy już wyszła z karety, bardzo powoli i nie przeskakując stopnia, zajęła się najpierw wnoszeniem do domu walizek i płaceniem stangretowi, zamiast popędzić od razu dookoła ogrodu i sadu poprzez dzikie zarośla tarniny, głogu, ostów i wrzosów, ciągnące się tuż za złamaną furtką i wyschlą sadzawką przy domu. Dzieciom wszystko się podobało, choć w gruncie rzeczy dom wcale nie był piękny. Był to sobie bardzo zwyczajny domek i mama była zdania, że jest nawet dość niewygodny, zwłaszcza że nie było w nim ani porządných półek, ani choćby jednej solidnej szafy. Ojciec mówił, że i dach, i obmurowanie przeraziłyby każdego budowniczego, który by na to spojrział.

Ale domek znajdował się na prawdziwej wsi, nie miał nawet sąsiedztwa, a że dzieci już od dwóch lat nie wyjeżdżały z Londynu, choćby na jednodniową wycieczkę nad morze, więc Biały Dworek wydawał się im jakimś Zaczarowanym Pałacem zbudowanym pośrodku Ziemskiego Raju. Bo Londyn jest niczym więzienie dla dzieci, zwłaszcza tych, które nie mają bogatych krewnych, mieszkających w domku z ogródkiem.

Oczywiście, są tam i teatry, i sklepy, i mnóstwo innych rzeczy. Ale jeśli rodzice nie mają pieniędzy, to nie można pójść ani do teatru, ani kupować sobie żadnych różności po sklepach. A w Londynie nie ma nic z tych wszystkich miłych rzeczy, którymi można się bawić bez szkody dla nich i dla siebie — to znaczy takich rzeczy, jak drzewa i piasek, zagajniki, rzeczulki i stawy. I wszystko w Londynie ma wygląd nieprzyjemny — proste linie i proste ulice zamiast tego, żeby wszystko było niezwykle i urozmaicone, jak to się dzieje na wsi. Każde drzewo, jak wiecie, jest inne i z pewnością musieliście już słyszeć, że trudno znaleźć dwa jednakowe źdźbła trawy. A na ulicach, gdzie trawa nie rośnie, wszystko jest podobne do siebie. Dlatego właśnie w miastach jest tyle dzieci tak strasznie niegrzecznych. Żadne z nich nie wie, czego im właściwie brakuje. A ich rodzice, wujkowie i ciotki, krewni, wychowawcy i nauczyciele także nie wiedzą. Ale ja wiem. I wy wiecie. Dzieci na wsi też są czasami niegrzeczne, ale to zupełnie z innych powodów.

Zanim udało się schwycić całą piątkę i skłonić ją do umycia się przed podwieczorkiem, dzieci zbadaly dokładnie ogród i sad, i wszystko naokoło i wiedziały już z całą pewnością, że w Białym Domku będzie im bardzo dobrze. Pomyślały to sobie już od pierwszej chwili. Ale gdy zobaczyły, że z tyłu za domem rośnie mnóstwo jaśminu, pokrytego całą masą białych

kwiatów pachnących jak flakon najdroższych perfum, które się dostaje na urodziny, kiedy obejrzały trawnik zielony i gładki, zupełnie inny niż poźółkła trawa w ogródkach londyńskich, kiedy się przekonały, że za domem jest stajnia ze stryszkiem, gdzie było jeszcze trochę zeszłorocznego siana — były już prawie pewne, że niczego im nie zabraknie do szczęścia. A kiedy Robert znalazł połamaną huśtawkę i zleciał z niej, i nabił sobie na czole guza wielkości jajka, a Cyryl przygniótł palec w drzwiczkach jakiegoś kojca, który był jakby stworzony dla królików — rozwiały się resztki wszelkich wątpliwości, że będzie tu świetnie.

Najlepsze zaś było to, że nigdzie nie widniały żadne napisy, że tego nie wolno czy tamtędy nie wolno. W Londynie na wszystkim prawie napisane jest: „Nie dotykać”. A choć napisu zwykle nie widać, niewiele to pomaga, bo wiadomo, że jest — a jeśli się tego nie wie, to nam to bardzo prędko i do słuchu powiedzą.

Biały Domek znajdował się na szczycie wzgórza; z tyłu był lasek, z jednej strony — stary kamieniołom, a z drugiej — złoża wapienne. U stóp wzgórza ciągnęła się równina, na której widać było dziwaczne białe budynki, gdzie wypalano wapno, duży, czerwony browar i rozmaite domki. Kiedy wysokie kominy dymiły o zachodzie słońca, dolina wyglądała jakby otulona złocistą mgiełką. Suszarnie chmielu i wapniarnie iskrzyły się wtedy i błyszczały tak mocno, że wszystko to razem wyglądało jak zaczarowane miasto z „Tysiąca i Jednej Nocy”.

Zaczęłam wam opisywać to miejsce i myślę, że potrafiłabym długo tak opowiadać i stworzyć z tego bardzo ciekawą opowieść o bardzo zwyczajnych rzeczach, jakie tam się z dziećmi działy — takich rzeczach, jakie dzieją się z wami wszystkimi — i uwierzylibyście na słowo wszystkiemu, co mówię. A kiedy bym napisała, że dzieci były nieznośne, tak jak wy czasem, różne wasze ciocie mogłyby napisać ołówkiem na marginesie: „Jakie to prawdziwe!” albo „Zupełnie jak w życiu!” A wy byście to zobaczyli i z pewnością byłoby wam przykro. Więc zamiast tego opowiem wam tylko o naprawdę niezwykłych rzeczach, jakie się zdarzyły, a wy będziecie mogli spokojnie zostawiać książkę, bo żadna ciocia i żaden wujek nie napisze chyba na marginesie: „Jakie to prawdziwe!”

Dorośli bardzo rzadko wierzą w rzeczy naprawdę niezwykłe, chyba że im się przedstawi to, co nazywają dowodem. Ale dzieci wierzą prawie wszystkiemu i dorośli dobrze o tym wiedzą. Dlatego też mówią wam, że ziemia jest okrągła jak pomarańcza, choć każdy widzi, że jest płaska jak naleśnik. I mówią, że ziemia obraca się dookoła słońca, kiedy każdy może przekonać się co dzień, że słońce wstaje rankiem, a wieczorem kładzie się spać, jak przystało na grzeczne słońce. A ziemia także wie, jak ma się zachować, i leży spokojnie i cichutko jak myszka. Mimo to wiem z całą pewnością, że wierzycie we wszystkie te opowieści o ziemi i słońcu. Ale w takim razie na pewno się nie zdziwicie, jeśli wam powiem, że zanim Antea, Cyryl i cała reszta dzieciarni spędziła tydzień na wsi, znalazła tam duszka Piaskołudka. Tak przynajmniej dzieci go nazwały, bo sam kazał tak siebie nazywać. A przecież musiał chyba najlepiej wiedzieć, choć wcale nie był podobny do tych różnych duszków, które albo widzieliście, albo mogliście o nich słyszeć lub czytać.

Zdarzyło się to w kamieniołomie. Ojciec musiał nagle wyjechać w jakichś sprawach, a mama pojechała w odwiedziny do babci, która niezbyt dobrze się czuła. Oboje bardzo się śpieszyli wyjeżdżając, a gdy wyjechali, nagle zrobiło się w domu okropnie pusto i cicho. Dzieci chodziły z pokoju do pokoju, patrzyły na kawałki papieru i sznurków porozrzucanych na podłodze przy pakowaniu i jeszcze nie uprzątniętych, ale nie mogły znaleźć sobie żadnego zajęcia. Wreszcie Cyryl powiedział:

— Wiecie co? Weźmy łopatkę i chodźmy kopać w kamieniołomie. Możemy udawać, że jesteśmy nad morzem.

— Tatusz powiedział — rzekła Antea — że kiedyś było tu morze i że w kamieniołomie są muszle, które mają wiele tysięcy lat.

Więc poszli. Oczywiście byli już przedtem na krawędzi kamieniołomu i zaglądali do środka. Ale jak dotąd, nie schodzili na dół, gdyż bali się, że ojciec zabroni im tam się bawić.

Z tego samego powodu nie schodzili do wapienników. A w kamieniołomie nic właściwie nie grozi, jeżeli się nie próbuje zsuwać po pochyłości ścian, a tylko pójdzie się bezpieczną drogą okólną, którą przejechać może nawet i wózek.

Każde z dzieci wzięło swoją łopatkę i każde po kolei niosło Baranka. Tak nazywały bowiem najmłodszego braciszka dlatego, że kiedy pierwszy raz się odezwał, powiedział: „Mee!”, Antę zaś nazywały „Panterą”, co w pierwszej chwili wydać się może bez sensu. Ale jak spróbujecie wymówić to kilka razy, przekonacie się, że to brzmi troszkę podobnie do jej imienia.

Kamieniołom wyglądał jak ogromna i szeroka jama. Brzegi miał porośnięte trawą i jakimiś suchymi, polnymi kwiatkami, czerwonego i żółtego koloru. Z daleka jama robiła wrażenie miednicy dla olbrzyma. W środku tej miednicy sterczały kopce żwiru, a po bokach znajdowały się otwory, którymi żwir wybierano. Jeszcze wyżej strome zbocza ścian poprzębijane były mnóstwem małych otworków: były to drzwiczki frontowe maleńkich domków maleńkich skalnych jaskółek.

Dzieci wybudowały oczywiście zamek. Ale budowanie zamku nie jest właściwie zabawne, jeżeli z góry wiadomo, że przyływ morza nie napędzi fali, nie zapełni fosy ani nie zmyje mostu zwodzonego, ani wreszcie, co jest najprzyjemniejsze, nie zamoczy wszystkich co najmniej po pas.

Cyryl chciał wykopać jaskinię, żeby można się było bawić w przemytników. Ale reszta dzieci bała się, że w tej jaskini mogą zostać zakopane żywcem. W końcu więc zabrali się wszyscy razem do kopania tunelu prowadzącego od zamku aż do Australii. Bo trzeba wam wiedzieć, że te dzieci wierzyły, że świat jest okrągły i że z jego drugiej strony mali australijscy chłopcy i dziewczynki chodzą naprawdę do góry nogami jak muchy po suficie i głowy im wiszą w powietrzu.

Dzieci zaczęły kopać i kopały, kopały, aż ręce ich były gorące i czerwone, i całkowicie pokryte piaskiem, a twarze mokre i błyszczące. Baranek skosztował piasku, ale kiedy przekonał się, że nie jest to, jak myślał, cukier ślazowy, zaczął strasznie płakać, aż w końcu się zmęczył i teraz spał jak suseł pośrodku nie dokończonego zamku. Pozwoliło to jego braciszkom i siostrzyczkom wziąć się na dobre do pracy. Toteż tunel, którego drugi wylot miał być w Australii, wkrótce stał się tak głęboki, że Janeczka, nazywana w domu także „Kizią”, zaczęła prosić, żeby dali spokój.

— Przypuśćmy, że dno tunelu nagle by wypadło — powiedziała — to fiknęlibyśmy kozła na drugą stronę między małych Australijczyków, a piasek zasypałby im wszystkim oczy.

— To prawda — przyznał Robert — a wtedy zniechęciłiby nas i zaczęliby w nas rzucać kamieniami, i nie chcieliby nam pokazać ani kangurów, ani oposów, ani rajskich ptaków, ani ptaków emu i w ogóle nic.

Cyryl i Antea wiedzieli, że Australia nie jest znowu tak bardzo blisko, ale zgodzili się nie używać łopatek, a tylko wygarniać piasek rękami. Było to bardzo łatwe, bo piasek na dnie tunelu był drobny, miękki i suchy, zupełnie jak piasek morski. I były w nim nawet małe muszelki.

— Na pewno musiało tu kiedyś być prawdziwe morze — odezwała się Janeczka — takie mokre, błyszczące morze pełne ryb, węgorzy, koralu i syren...

— I okrętów, i zatopionych skarbów hiszpańskich — rzekł Cyryl. — Chciałbym bardzo znaleźć złotego dukata czy coś w tym rodzaju.

— A w jaki sposób morze stąd odeszło? — spytał Robert.

— Nikt go nie wyniósł wiaderkiem, głuptasie — powiedział starszy brat. — Ojciec mówi, że ziemi pod spodem zrobiło się za gorąco, jak się robi czasami każdemu z nas w łóżku, więc wyciągnęła ręce, a morze musiało się zsunąć, zupełnie jak kołdra, i ręce zostały na wierzchu, i wyschły na suchy ląd. Przestańcie kopać i poszukajmy teraz muszelek. O, w tej jamce musi

być ich dużo! Widzę nawet, że coś tam sterczy, jakby ułamany kawałek kotwicy. Ach, jak w tym australijskim tunelu jest gorąco!

Reszta dzieci poparła ten pomysł, jedna tylko Antea kopała dalej. Zawsze lubiła skończyć to, co zaczęła. I teraz także myślała, że to byłby po prostu wstyd porzucić tunel nie dokopawszy się aż do samej Australii.

Jamka przyniosła rozczarowanie, bo nie było w niej wcale muszelek, a kawałek kotwicy okazał się po prostu ułamaną rękojeścią kilofa. Wyprawa badawcza powróciła więc z niczym. Dzieci doszły do wniosku, że piasek tutaj wywołuje większe pragnienie niż piasek nad morzem, i ktoś zaproponował, żeby wracać do domu po lemoniadę. Wtem Antea zaczęła głośno nawoływać resztę rodzeństwa:

— Cyryl! Chodź tutaj! Chodźcie tu wszyscy, ale prędko! To żyje! Żyje i ucieknie! Chodźcie prędko!

Wszyscy popędzili w jej stronę.

— To na pewno szczur — rzekł Robert — i wcale się nie dziwię. Ojciec mówi, że szczury gnieźdzą się w opuszczonych miejscach. A to miejsce musi być bardzo opuszczone, jeżeli morze odeszło stąd już tysiące lat temu.

— A może to wąż?... — szepnęła Janeczka z drżeniem w głosie.

— Zobaczmy — rzekł Cyryl wskakując do tunelu. — Ja się nie boję węzów. Mogę nawet powiedzieć, że je lubię. Jeżeli to wąż, to go oswoję i on będzie za mną chodził, gdzie tylko pójdę, a w nocy będzie spał owinięty dokoła mojej szyi.

— Nie, nie będzie spał z tobą! — zawołał Robert stanowczo; miał wspólny pokój z Cyrylem. — Chyba że to szczur, a wtedy go sobie możesz trzymać w łóżku.

— Ach, nie plećcie głupstw! — powiedziała Antea. — To wcale nie szczur, bo jest duży i większy. I wcale nie wąż, bo ma nóżki. Sama widziałam. I ma także futerko! Nie, nie — nie łopatką! Możesz go skaleczyć! Spróbuj go wyciągnąć rękami.

— Tak, żeby mnie pogryzł! Tego jeszcze brakuje! — rzekł Cyryl chwytając łopatkę.

— Nie, nie! — wołała Antea. — Wiewiórciu, daj spokój. Może mi nie uwierzysz, ale to coś się odezwało. Naprawdę się odezwało!

— A co powiedziało?

— Powiedziało: „Dajcie mi spokój!”

Ale Cyryl stuknął się tylko w czoło patrząc wymownie na siostrę i razem z Robertem kopali łopatkami, gdy tymczasem Antea siedziała na skraju tunelu, podskakując z przejęcia i niepokoju. Chłopcy kopali uważnie i teraz wszyscy już widzieli, że na dnie australijskiego tunelu coś rzeczywiście się rusza. Nagle Antea krzyknęła:

— Ja też się nie boję! Dajcie mi kopać! — Po czym uklękła i zaczęła wygarniać piasek, jak to robią psy, kiedy nagle sobie przypomnia, gdzie zakopana jest kość.

— Ach, czuję już sierść! — zawołała na wpół śmiejąc się, a na wpół płacząc z wielkiego wzruszenia. — Dotknęłam jego sierści! — powtórzyła wygarniając piasek, gdy nagle w tunelu odezwał się ostry, choć zachrypnięty głosik. Wszyscy odskoczyli na bok, a serca podeszły im aż pod same gardła.

— Dajcie mi spokój! — powiedziało „coś”. Teraz już wszyscy usłyszeli głosik i popatrywali w zdumieniu na siebie.

— Ale my chcemy ciebie zobaczyć — mężnie odpowiedział Robert.

— Bardzo bym sobie życzyła, żebyś nam się pokazał — rzekła Antea, także nabierając odwagi.

— A — odezwał się głosik — jeżeli takie jest twoje życzenie — po czym piasek zaczął się ruszać i rozsypywać na bok, a z tunelu wyłoniło się „coś”, brązowe, włochate, okrągłe. Otrzepało z siebie piasek i usiadło ziewając i trąc rękoma kąciki oczu.

— Musiałem chyba zasnąć — powiedziało przeciągając się jak kot.

Dzieci kołem otoczyły tunel patrząc na znalezione przez siebie dziwaczne stworzenie. A warto było je widzieć. Oczka miało osadzone na długich rożkach, jak oczka ślimaka, i mogło je wysuwać i wciągać zupełnie jak lunety; uszka miało podobne do uszu nietoperza, a pękaty tułów był w kształcie pająka, tylko pokryty gęstym a miękkim futerkiem; nóżki i rączki miało też „futerkowe”, a dłonie i stopy całkiem jak u małpy.

— Co to za stwór? — zapytała Janka. — Czy mamy go zabrać do domu?

„Coś” wycelowało na nią swoje lunetowe oczka i powiedziało:

— Czy ona zawsze mówi takie bzdury, czy tylko wtedy, jak ma to paskudztwo na głowie?
— Stworek popatrzył z pogardą na kapelusz Janeczki.

— Ona wcale nie chciała mówić bzdur — rzekła uprzejmie Antea — nikt z nas nie chce, choć może ci się tak wydaje! Tylko nie bój się, na pewno nie zrobimy ci krzywdy.

— Krzywdy? Mnie? Ja miałbym się bać? — dziwił się stworek. — Słowo daję, mówisz zupełnie, jakbym ja był nikim!

Całą sierść miał nastroszoną jak kot, kiedy ma walczyć z psem.

— No, widzisz — rzekła jeszcze grzeczniej Antea — może, jakbyś powiedział nam, kim jesteś, potrafilibyśmy mówić do ciebie tak, żebyś się nie pogniewał. Bo dotąd wszystko, cośmy mówili, zaraz cię złościło. Więc kto ty jesteś? Tylko się znów nie gniewaj! Bo my naprawdę nie wiemy.

— Nie wiecie? — zdziwił się stworek. — To dopiero! Wiedziałem, że świat się zmienił, ale żeby aż tak? Czy wy rzeczywiście nie potraficie rozpoznać Psammetycha, kiedy go spotkacie?

— Sametyk? To coś jakby po grecku.

— Nie jakby, ale całkiem po grecku — rozgniewał się stworek. — A w zwyczajnym języku to znaczy duszek Piaskoludek. Czyżby nikt z was nie wiedział, jak duszek Piaskoludek wygląda?

Zdawał się tak obrażony, że Janeczka odparła z pośpiechem:

— Ależ naturalnie, teraz już wiem. To bardzo łatwo wiedzieć, kiedy się patrzy na ciebie.

— Patrzycie na mnie już od bardzo dawna — rzekł z niezadowoleniem stworek i zaczął z powrotem zakopywać się w piasek.

— Ach, zostań, zostań! Powiedz nam coś jeszcze! — zawołał Robert. — Nie wiedziałem, że jesteś piaskowym duszkiem, ale jak tylko cię zobaczyłem, wiedziałem od razu, że jesteś najdziwniejszym stworzeniem, jakie w życiu spotkałem.

Po tych słowach duszek Piaskoludek wydawał się jakby trochę mniej obrażony.

— Owszem, owszem, mogę wam coś powiedzieć — rzekł — jeżeli będziecie zachowywać się przyzwoicie. Ale nie mam zamiaru prowadzić z wami jakichś grzecznościowych rozmówek. Jeżeli chcecie spytać mnie o coś, a zrobicie to w sposób uprzejmy, to może wam odpowiem, a może i nie. Więc proszę, zaczynajcie.

Oczywiście nikomu nie przychodziło do głowy żadne sensowne pytanie.

Wreszcie odezwał się Robert:

— Jak długo już tutaj mieszkasz?

— Ach, od niepamiętnych czasów. Wiele tysięcy lat — odparł duszek.

— Opowiedz nam o tym. Bardzo cię prosimy.

— Wszystko to jest w książkach.

— Ale w książkach nie ma o tobie! — zawołała Janeczka. — Opowiedz nam o sobie, i to jak najwięcej! Nic przecież o tobie nie wiemy, choć jesteś taki miły i nadzwyczajny.

Duszek uśmiechnął się gładząc swoje długie, szczerowate wąsiki.

— Opowiedz, opowiedz! — wołały dzieci chórem.

Aż dziw bierze, jak prędko można się przyzwyczaić nawet do najbardziej nieprawdopodobnych rzeczy. Jeszcze pięć minut temu dzieci nie miały pojęcia, że na świecie

istnieje coś takiego jak duszek Piaskoludek. Nie wiedziały o nim ani trochę więcej niż wy. A teraz rozmawiały z nim, jak gdyby znały go całe życie.

Duszek wsunął swoje lunetowe oczka i powiedział:

— Jak mocno słońce świeci, zupełnie jak za dawnych czasów. A skąd teraz bierzecie swoje porcje megaterium?

— Porcje czego? — spytały wszystkie dzieci naraz. Nie bardzo to grzecznie mówić „czego”, ale trudno zawsze pamiętać o grzeczności, zwłaszcza w chwili wielkiego zaciekawienia czy zdziwienia.

— A czy jest teraz dosyć pterodaktyli? — ciągnął duszek.

Dzieci nie umiały na to nic odpowiedzieć.

— Więc co ostatecznie jecie na śniadanie?! — zawołał zniecierpliwiony duszek. — I kto wam to daje?

— Dostajemy płatki owsiane i jajecznicę na boczku, i chleb, i mleko, i różne inne rzeczy. Śniadanie daje nam zawsze mamusia. A co to są pterodaki i mega-coś-tam, o których mówiłeś? I kto to je na śniadanie?

— Jak to? Za moich czasów każdy jadł na śniadanie pterodaktyla. Pterodaktyle były trochę podobne do ptaków, a trochę do krokodyli i zdaje mi się, najsmaczniejsze były przysmażane. Bo trzeba wam wiedzieć, że za tamtych czasów pełno było piaskowych duszków; więc każdego ranka każdy wybiegał jak najwcześniej z domu, łapał duszka, a jak tylko go złapał, to zaraz duszek spełniał jedno jego życzenie. Ludzie wczesnym rankiem posyłali dzieci nad morze, jeszcze przed śniadaniem, żeby duszki spełniły życzenia na ten dzień. I zwykle najstarszemu z dzieci kazano życzyć sobie megaterium gotowego już do usmażenia. Megaterium było duże jak słoń, więc było na nim całe mnóstwo mięsa. A jak ktoś chciał mieć rybę, to prosił o ichtiozaura, który miał dwadzieścia, a czasem i czterdzieści stóp długości, więc rozumiecie, że było co jeść. A za drób służyły plezjozaury, z których też można było wykroić smaczne kęski. A inne dzieci wyrażały inne życzenia. Ale kiedy w domu miało być przyjęcie, to prawie zawsze proszono o megaterium albo o ichtiozaura, którego płetwy uważano za wielki specjał, a z ogona robiono zupe.

— W takim razie musiały zostawać całe fury zimnego mięsa na zapas — rzekła Antea, która miała zamiar zostać pierwszorzędną gospodynią, jak tylko dorośnie.

— O, nie — rzekł duszek — nic podobnego. O zachodzie słońca wszystko, co zostawało, zmieniało się w kamień. Podobno jeszcze i teraz można tu w okolicy znaleźć skamieniałe kości megaterium i innych stworzeń. Tak przynajmniej słyszałem.

— A od kogo słyszałeś? — spytał Cyryl. Ale duszek skrzywił się i zaczął grzebać w piasku, przebierając z ogromną szybkością swymi włochatymi rączkami.

— Ach, zostań — wykrzyknęły dzieci — i opowiedz nam jeszcze coś o tych czasach, kiedy na śniadanie jedzono megaterium! Czy świat wtedy wyglądał jak teraz?

Duszek przestał kopać.

— Ani trochę — odparł. — Tam gdzie mieszkałem, był tylko piasek, węgiel rósł na drzewach, a ślimaki były tak wielkie jak taca. Można je znaleźć i teraz, ale już skamieniałe. My, piaskowe duszki, mieszkaliśmy nad brzegiem morza, a dzieci przychodziły niosąc łopatkę z krzemienia i wiaderka z krzemienia i budowały zamki, żebyśmy mieli gdzie mieszkać. Tak było tysiące lat temu, ale słyszałem, że dzieci i teraz budują zamki z piasku. Bo bardzo jest trudno wyzbyć się swoich przyzwyczajęń.

— A dlaczego przestaliście mieszkać w tych zamkach? — spytał Robert.

— To bardzo smutna historia — odparł posepnie Piaskoludek. — Przestaliśmy dlatego, że dzieci budowały fosy przy zamkach i wstrętna woda morska napływała do fos. A Piaskoludki, jak tylko się zamoczą, od razu się przeziebiają i zwykle umierają od tego. Więc było coraz mniej i mniej duszków. I kiedy dzieci spotykały któregoś, to zawsze życzyły sobie

megaterium i wszyscy strasznie się najadali na zapas, bo mogły całe tygodnie upłynąć, zanim nadarzyła się okazja, żeby wypowiedzieć nowe życzenie.

— A czy ty zamoczyłeś się także? — zapytał Robert.

Piaskoludka przeszedł dreszcz.

— Tylko raz — odrzekł — zamoczyłem sobie koniuszek dwunastego włoska w moim lewym wąsiku — jeszcze teraz czuję to miejsce, kiedy jest wilgoć w powietrzu. Tylko raz mi się to przydarzyło, ale dla mnie i tego razu było aż nadto. I jak tylko słońce wysuszyło mój biedny wąsik, poszedłem na drugi koniec plaży i tam głęboko w ciepłym i suchym piasku wykopałem sobie domek, w którym stale odtąd mieszkałem. A później morze stąd odeszło, ale więcej wam nic nie opowiem, bo mam już dosyć.

— Tylko jedno — zawołały dzieci — odpowiedz nam na jedno tylko pytanie: czy i teraz możesz jeszcze spełniać życzenia?

— Oczywiście — rzekł Piaskoludek — czyż nie spełniłem waszego życzenia dopiero przed chwilą? Ktoś z was powiedział: „Życzę sobie, żebyś się nam pokazał”, no i pokazałem się.

— Ach, Piaskoludku, czy możemy wypowiedzieć jeszcze jedno życzenie?

— Dobrze, ale prędko. Mam już was dosyć.

Z pewnością prawie każdy z was nieraz się zastanawiał, co by zrobił, mogąc wypowiedzieć trzy życzenia, które miałyby się spełnić. I nieraz musieliście myśleć z pogardą o staruszku i jego żonie z bajki o kielbasie*. uważając, że gdyby wam taka okazja się nadarzyła, to bez wahania potrafilibyście wymyślić trzy naprawdę pożyteczne życzenia. W każdym razie dzieci z naszego opowiadania często mówiły o tym między sobą. Ale teraz, kiedy okazja nadarzyła się istotnie, na nic nie umiały się zdecydować.

— Prędeż — naglił duszek już rozgniewany. Ale nikomu z dzieci nic nie przychodziło do głowy. Jednej tylko Antei przypomniało się jej własne i Janeczki życzenie, o którym nigdy nawet nie wspomniały chłopcom, wiedząc, że takie rzeczy ich nie obchodzą. Antea była przekonana, że i teraz życzenie chłopcom się nie spodoba, ale i takie było lepsze niż żadne.

— Chciałabym — wypowiedziała w wielkim pośpiechu — żebyśmy byli wszyscy piękni jak dzień.

Dzieci spojrzały po sobie, ale nie widać było, żeby którekolwiek z nich stało się nagle choć trochę ładniejsze niż przedtem. Piaskoludek wysunął swe oczka osadzone na długich szypułkach, wstrzymał oddech i zaczął się nadymać, aż stał się dwa razy bardziej pękaty i włochaty niż poprzednio. Nagle wypuścił gwałtownie powietrze i westchnął głęboko.

— Zdaje mi się, że nie dam rady — rzekł tonem usprawiedliwienia. — Musiałem wyjść z wprawy.

Dzieci były okropnie rozczarowane.

— Ach, spróbuj jeszcze raz! — prosiły.

— Prawdę mówiąc — objaśnił duszek — zachowywałem sobie trochę siły na zapas, żeby spełnić życzenia pozostałych. Ale jeżeli wystarczy wam jedno życzenie dziennie dla was wszystkich, to myślę, że zdołam je spełnić. Czy zgadzacie się na to?

— Tak, tak, zgadzamy się! — zawołały Janeczka i Antea. Chłopcy skinęli głowami. W gruncie rzeczy żaden z nich nie wierzył, by duszek potrafił spełnić życzenie. Dziewczynki zawsze są bardziej skłonne do uwierzenia w rozmaite rzeczy niż chłopcy.

Duszek wysunął oczka jeszcze dalej niż przedtem i zaczął się nadymać. Nadymał się i nadymał.

— Mam nadzieję — rzekła Antea — że sobie nie zrobi krzywdy.

* Może nie wszyscy znacie tę bajkę, w której wróżka obiecała pewnym staruszkom spełnić ich trzy życzenia. Zamiast wymyślić coś naprawdę niezwykłego, staruszka życzyła sobie kielbasy; mąż widząc, że żona traci taką okazję, zakrzyknął w złości: „Niech ci ta kielbasa przyrośnie do nosa!” I oczywiście trzeba było zmarnować i trzecie życzenie, żeby uwolnić nos żony od kielbasy.

— I że nie pęknie — dodał z niepokojem Robert.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy duszek, który stał się tak pękaty, że ledwie się mieścił w swej jamce, nagle wypuścił oddech i odzyskał właściwe rozmiary.

— W porządku — rzekł dysząc ciężko — jutro już pójdzie łatwiej.

— Czy to bardzo bolało? — spytała Antea.

— Nie, moja droga, tylko mój chory wąsik trochę mi dokuczył — odparł duszek. — Ale jesteś miłym i myślącym dzieckiem. Do widzenia!

Zaczął nagle grzebać gwałtownie w piasku rękami i nogami i po chwili znikł. Dzieci popatrzyły na siebie i wtedy każde z nich spostrzegło, że znajduje się w towarzystwie trojga nieznanymi dziećmi niebywale wprost pięknych.

Stali tak dłuższą chwilę w całkowitym milczeniu. Każdemu przychodziło na myśl, że siostry i bracia musieli sobie gdzieś pójść, a zamiast nich zjawily się niepostrzeżenie te obce dzieci, wtedy gdy cała uwaga wszystkich skupiona była na nadymaniu się duszka. Pierwsza przemówiła Antea.

— Przepraszam cię bardzo — zwróciła się z wielką uprzejmością do Janeczki, która teraz miała ogromne, błękitne oczy i burzę włosów o miedzianym odcieniu — przepraszam cię bardzo, ale czy nie spotkałaś gdzieś tutaj dwóch małych chłopców i jednej dziewczynki?

— Właśnie o to samo chciałam cię zapytać — rzekła Janeczka.

Słyszając to Cyryl zawołał:

— Ależ to ty! Poznają tę dziurę w twoim fartuszk! Ty jesteś Janeczka, prawda? A ty jesteś Pantera; poznają tę brudną chusteczkę, którą masz od czasu, jak skaleczyłaś się w palec. Patrzcie no, życzenie się spełniło! A czy ja jestem także taki piękny jak wy?

— Jeśli ty jesteś Cyryl, to wołałam cię takim, jakim byłeś przedtem — odparła stanowczo Antea. — Wyglądasz jak aniołek z obrazka i takie masz złote włosy; z pewnością umrzesz młodo. A jeśli tamten to Robert, to przypomina zupełnie włoskiego katarzyniarza. Ma włosy czarne jak smoła.

— A wy obydwie wyglądacie jak pocztówki z powinszowaniem — odparł Robert ze złością. — Tak, tak, głupie pocztówki. A Janeczka ma zamiast włosów pęczek marchewki na głowie.

W rzeczywistości włosy Janeczki miały słynny wenecki odcień, tak podziwiany przez wszystkich artystów.

— Wszystko jedno — rzekła Antea — nie ma co dogadywać sobie nawzajem. Zabierajmy Baranka i chodźmy na obiad. Zobaczycie, jak w domu będą się nami zachwycać.

Mały właśnie się obudził, kiedy dzieci podeszły do niego i stwierdziły z ulgą, że on przynajmniej nie był piękny jak dzień, ale taki jak zawsze.

— Myślę, że jest pewnie za mały, żeby mieć własne życzenia — powiedziała Janeczka. — Następnym razem będziemy musieli specjalnie go wymienić.

Antea pobiegła naprzód i wyciągnęła do małego ramiona.

— Chodź do Pantery, Barasiu — powiedziała.

Mały spojrział na nią niechętnie i wpakował sobie do ust paluszek umorusany piaskiem. A przecież Antea była jego najulubieńszą siostrzyczką.

— No chodź! — powtórzyła.

— Ić sobie! — powiedział mały.

— Chodź do Kizi — zawołała Janeczka.

— Cie Pantei — odparł płacząco Baranek i usteczka mu zadrżały.

— No chodź, łobuzie — zawołał Robert — chodź, Jobejt weźmie cię na bajana!

— Uuuu, chłopcik be! — ryknął Baranek wybuchając gwałtownym płaczem. Teraz dzieci zrozumiały, co zaszło: mały wcale ich nie poznawał!

Rodzeństwo popatrzyło na siebie z rozpaczą; a jeszcze najgorsze było to, że w takiej okropnej chwili wzrok ich spotykał tylko prześliczne oczy jakichś zupełnie obcych dzieci

zamiast wesołych, zwyczajnych, ale przyjaznych i dobrze sobie znanych, zawsze roześmianych oczu braciszków i siostrzyczek.

— Ależ to głupia historia — rzekł Cyryl, który próbował podnieść Baranka, ale Baranek wyrwał mu się, drapiąc go niczym kot i rycząc jak bawół. — Musimy jakoś się z nim zaznajomić, żeby go uspokoić. Nie mogę przecież nieść go do domu, jeśli będzie przez całą drogę tak wrzeszczał. To śmieszne, że trzeba się zaprzyjaźniać z naszym własnym Barankiem. To zupełny idiotyzm!

Ale tak właśnie musieli postąpić! Zabrało im to przeszło godzinę czasu, a zawarcie znajomości z Barankiem było utrudnione i przez to, że mały był głodny jak wilk i spragniony jak piasek pustyni.

Wreszcie po długich staraniach zgodził się, aby ci obcy zanieśli go do domu. Dźwigali go kolejno, ale i to było połączone z ogromnym wysiłkiem, bo mały, sztywny jak drut, odsuwał się od nowych znajomych i w ten sposób podwajał swój ciężar.

— No, chwała Bogu, jesteśmy już w domu! — zawołała Janeczka mijając żelazną furtkę i chwiejnym krokiem podchodząc do drzwi domu. Stała tam Marta, ich niania, i osłaniając oczy dłonią patrzyła z niepokojem na zbliżające się dzieci.

— Nareszcie! — powiedziała Janeczka. — Marto, weź Baranka!

Marta wyrwała małego z rąk Janeczki.

— No, Bogu dzięki, że ten się przynajmniej znalazł! — wykrzyknęła. — A gdzie jest reszta? I coście wy za jedni?

— My to my, oczywiście — rzekł Robert.

— Co za my? A jak się nazywacie? — zapytała pogardliwie Marta.

— Mówię ci, że to my, tylko jesteśmy piękni jak dzień — poparł brata Cyryl. — Ja jestem Cyryl, a oni to cała reszta i strasznie jesteśmy głodni. Puść nas do domu i nie bądź głupia.

Marta wzruszyła tylko ramionami na bezczelność Cyryla i usiłowała zamknąć mu drzwi przed nosem.

— Ja wiem, że wy gładamy inaczej — wtrąciła Antea — ale ja jestem Antea i jesteśmy wszyscy strasznie zmęczeni, a już dawno powinniśmy być po obiedzie.

— To idźcie na obiad do swojego domu, tam skądście przyszli. A jeżeli to nasze dzieci namówiły was do tej zabawy, to możecie im powiedzieć ode mnie, że zdrowo za to oberwą; żeby potem nie miały pretensji.

To mówiąc zatrzasnęła drzwi. Cyryl zaczął gwałtownie naciskać dzwonek, ale bez skutku. Wreszcie z okna sypialni wychyliła się głowa kucharki.

— Jeżeli zaraz się stąd nie zabierzecie, i to raz–dwa, pójdę i zawołam policję.

Po czym okno się zatrzasnęło.

— Wszystko na nic! — jęknęła Antea. — Doprawdy, chodźmy stąd, nim wsadzą nas do więzienia.

Chłopcy orzekli, że Antea mówi od rzeczy, bo nikogo w Anglii nie zamykają w więzieniu za to tylko, że jest piękny jak dzień; mimo to wyszli za dziewczynkami na drogę.

— Myślę — rzekła Janeczka — że po zachodzie słońca będziemy z powrotem sobą.

— Czy ja wiem? — odparł Cyryl ze smutkiem. — Może tak, a może nie. Wiele rzeczy zmieniło się całkiem od czasów megaterium.

— Ach! — wykrzyknęła nagle Antea — może po zachodzie słońca zamienimy się w kamienie, tak jak megaterium, i nic już z nas nie zostanie na jutro.

Wybuchnęła płaczem, a zawtórowała jej Janeczka. Nawet chłopcy pobledli. Nikt nie miał odwagi powiedzieć ani słówka. Popołudnie minęło w strasznym nastroju. W pobliżu nie było żadnego domu, gdzie dzieci mogłyby wyprosić choćby kromkę chleba czy szklankę wody. A do wsi bały się iść, bo widziały Martę idącą tam z koszykiem, a we wsi mieszkał tutejszy policjant. Pocięły się tylko myślą, że są piękne jak dzień. Ale jest to bardzo słaba pociecha, kiedy jest się głodnym jak wilk i spragnionym jak gąbka.

Dzieci próbowały trzy razy skłonić którąś ze służących w Białym Domku, żeby ich wpuściła do domu i wysłuchała ich opowieści. Na próżno. Potem Robert spróbował pójść sam w nadziei, że uda mu się wejść przez jedno z okien z tyłu domu i później otworzyć drzwi pozostałym. Ale okna były za wysoko. W dodatku w jednym z nich ukazała się Marta i wylała Robertowi na głowę dzbanek pełen wody, mówiąc:

— Wynoś się stąd, wstręciuchu! Ach, ty czarna małpo!

Skończyło się na tym, że usiedli rzędem pod krzakiem przydrożnym, z nogami zwieszonymi do rowu, czekając na zachód słońca i wciąż próbując zgadnąć, co też będzie, gdy słońce zajdzie: czy znowu staną się sobą, czy też zamienią się w kamienie. A choć zachowali swoje dawne głosy, twarze mieli najzupełniej obce i tak promiennie piękne, że aż nieprzyjemnie było patrzeć. Toteż unikali patrzenia na siebie i każde z nich czuło się okropnie samotne.

— Nie myślę, że się zamienimy w kamienie — rzekł Robert przerywając długą i przykrą ciszę — bo duszek powiedział, że jutro spełni nowe nasze życzenie. A przecież nie mogłby tego zrobić, gdybyśmy jutro byli już kamieniami. Prawda?

— Prawda — odparły dzieci. Ale wcale nie czuły się pocieszone.

Na nowo zapadło milczenie, jeszcze dłuższe i jeszcze bardziej przykre.

Nagle przerwał je Cyryl:

— Nie chcę was straszyć, dziewczynki, ale zdaje mi się, że ze mną już się zaczęło. Nogi mam całkiem zdrętwiałe. Na pewno zamieniam się w kamień. A to samo za chwilę będzie i z wami.

— To nic nie znaczy — odparł uprzejmie Robert — może to tylko ty jeden zamienisz się w kamień, a z nami wszystko będzie w porządku. Będziemy wtedy opiekować się twoim posągiem i zdobić go kwiatami.

Okazało się jednak, że nogi Cyryla zdrętwiały, bo siedział na nich za długo. Gdy je wyciągnął spod siebie, zaczęły odżywać, czemu towarzyszyło okropne uczucie swędzenia i klucia. A wtedy wszyscy rzucili się na niego.

— Żeby tak nas nastraszyć całkiem bez powodu! — mówiła z oburzeniem Antea.

Milczenie, jakie teraz zapadło, było najdłuższe i najbardziej przykre. Wreszcie odezwała się Janeczka:

— Jeśli się to wszystko jakoś dobrze skończy, to poprosimy Piaskoludka, żeby przy spełnianiu nowych życzeń nikt w domu nie zauważył żadnych zmian.

Odpowiedziało jej głuche mruknięcie. Dzieci czuły się tak okropnie, że nie mogły się zdobyć nawet na dobre postanowienie.

W końcu jednak głód, strach, złość na siebie samych, a także zmęczenie — cztery bardzo nieprzyjemne rzeczy — sprowadziły jedną przynajmniej rzecz bardzo przyjemną, a mianowicie sen. Dzieci posnęły siedząc rzędem nad rowem z zamkniętymi prześlicznymi oczyma i otwartymi prześlicznymi ustami. Pierwsza zbudziła się Antea. Słońce zaszło i zapadał zmierzch.

Antea uszczypnęła się mocno, aby sprawdzić, co się z nią dzieje. Gdy zaś okazało się, że czuje uszczypnięcie, doszła do wniosku, że w takim razie nie jest kamieniem. Wtedy zaczęła szczypać resztę rodzeństwa. Oni też nie robili wrażenia skamieniałych.

— Zbudźcie się! — zawołała Antea nieomal płacząc z radości. — Wszystko dobrze, nikt z nas nie jest kamieniem. Ach! Słuchaj, Cyryl, jaki z ciebie teraz przyjemny brzydal! Z powrotem masz swoje piegi i nastroszone włosy, i małe oczka! A wy tak samo! — dodała patrząc na innych i nie chcąc, żeby reszta rodzeństwa zazdrościła Cyrylowi brzydoty.

Po powrocie do domu dostały straszną burę od Marty, która opowiedziała im o obcych dzieciach.

— Bardzo ładne dzieci, trzeba im przyznać, ale jakie bezczelne!

— Wiem — odparł Robert; wiedział bowiem z doświadczenia, jak beznadziejna jest wszelka próba wytłumaczenia czegokolwiek Marcie.

— A gdzieście wy się, na miłość boską, podziewali przez cały ten czas, nicponie!

— Siedzieliśmy przy drodze.

— Macie! A czemuście nie wrócili na obiad?

— Nie mogliśmy właśnie przez n i c h — odparła Antea.

— Przez kogo?

— Właśnie przez te dzieci piękne jak dzień. Musieliśmy tam siedzieć z nimi aż do zachodu słońca. Bo nie mogliśmy przecież wracać, póki się nie wynieśli. Nie masz pojęcia, jak strasznie byliśmy na nich wściekli! Ach, Marto, daj nam coś na kolację, jesteśmy okropnie głodni!

— A pewnie! — rzekła Marta ze złością. — Głodni! Po całym dniu takim jak dziś! No, ale myślę, że będzie to dla was nauczka, żeby się nie zadawać z jakimiś obcymi dziećmi. Na pewno miały koklusz i dlatego tu przyjechały. I pamiętajcie, jeżeli spotkacie je jeszcze raz, to już żadnych rozmów! Ani słóweczka, tylko prosto do domu i powiedzcie mnie, a ja już sobie dam radę z tą ich całą pięknnością!

— Na pewno ci powiemy, jeśli je kiedy jeszcze spotkamy — odparła Antea. A Robert wpatrując się z utęsknieniem w zimne mięso, które przyniosła na tacy kucharka, dodał z głęboką szczerością w głosie:

— Ale będziemy się bardzo pilnować, żeby ich już nigdy nie spotkać.

I nigdy już ich nie spotkali.

ROZDZIAŁ II

ZŁOTE DUKATY

Antea zbudziła się rankiem z jakiegoś bardzo przykrego snu, w którym w ulewny deszcz spacerowała bez parasolki po ogrodzie zoologicznym. Zwierzęta czuły się wprost okropnie z powodu tego deszczu i wszystkie pomrukiwały bardzo posępными głosami. Ale po przebudzeniu Antea dalej słyszała posępne pomruki i deszcz padał dalej. To Janeczka, która miała katar, stękała i chrapała przez sen. A deszcz spływał kroplami na twarz Antei z mokrego ręcznika, który trzymał nad nią i ostrożnie wyżywał Robert. W ten sposób, wyjaśnił, chciał ją zbudzić.

— Daj mi spokój! — zawołała z gniewem Antea. I Robert dał spokój, gdyż właściwie nie był złym bratem, choć z niezwykłą pomysłowością umiał płatać figle, urządzać zasadzki, budzić różnymi dziwnymi sposobami śpiące rodzeństwo i w ogóle był specjalistą od tych wszystkich małych wyczynów, które tak uszczęśliwiają domowników.

— Miałam bardzo dziwny sen — zaczęła Antea.

— Ja też — wpadła jej w słowo Janka budząc się nagle. — Śniło mi się, że w starym kamieniołomie znaleźliśmy piaskowego duszka, który powiedział, że nazywa się Sametyk i że możemy codziennie wypowiedzieć jakieś życzenie i...

— Ależ to właśnie mnie się przyśniło — rzekł Robert. — Właśnie chciałem wam to opowiedzieć — i że powiedzieliśmy duszkowi nasze pierwsze życzenie. Właściwie nie my wszyscy, ale wam się wyrwało takie idiotyczne życzenie, żebyśmy byli piękni jak dzień. No i byliśmy, i to było po prostu straszne!

— Ale czy kilkorgu ludziom może przyśnić się to samo? — spytała Antea siadając na łóżku. — Bo i mnie to wszystko się śniło. I jeszcze przyśnił mi się ogród zoologiczny i deszcz. A Baranek w tym śnie wcale nas nie poznał, a kucharka i Marta zamknęły nam drzwi przed nosem, bo byliśmy tacy piękni, że one nas też nie poznały i że...

Z korytarza rozległ się głos najstarszego brata:

— Chodź, chodź, Robert, bo znowu się spóźnisz na śniadanie, chyba że chcesz się wymigać od kąpieli, jak w zeszły wtorek.

— Chodź tu na chwilę, Cyryl! — zawołał w odpowiedzi Robert. — Wcale się nie wymigiwałem, tylko wykąpałem się po śniadaniu.

Cyryl, na wpół ubrany, ukazał się we drzwiach.

— Słuchaj, Cyryl — rzekła Antea — nam wszystkim śnił się taki dziwny sen. Śniło się nam, że znaleźliśmy duszka Piaskoludka.

Antea zamilkła na widok wzgardliwego spojrzenia Cyryla.

— Sen? — zapytał. — Ależ to była prawda, wy ośły. Możecie mi wierzyć, że to wszystko zdarzyło się naprawdę. Dlatego właśnie chcę wcześniej wyjść z domu. Możemy tam pójść zaraz po śniadaniu i wypowiedzieć nowe życzenie. Tylko przedtem musimy się dobrze zastanowić, jakie to ma być życzenie, i nikomu nie wolno o nic prosić, dopóki wszyscy inni najpierw się nie zgodzą. Tylko bez żadnych niebywałych piękności tym razem. Nie ma tak dobrze!

Pozostała trójka ubierała się z ustami szeroko otwartymi z wielkiego zdumienia. Jeżeli sen o piaskowym duszku był rzeczywistością, to rzeczywistość poranka — mycie, ubieranie się i śniadanie — zdawała się dziewczynkom bardzo podobna do snu. Janka sądziła, że Cyryl ma całkowitą rację. Antea nie była tego tak pewna aż do chwili, gdy dzieci zobaczyły Martę i wysłuchały całego mnóstwa wyrzutów na temat ich okropnego zachowania się poprzedniego dnia. Wtedy i Antea nabrała pewności.

— Bo niektórym ludziom — mówiła — śnią się tylko takie rzeczy, które są w senniku; więc, na przykład, węże czy ostrygi albo ślub, który oznacza pogrzeb. A węże oznaczają fałszywą przyjaciółkę, a ostrygi małe dzieci.

— Małe dzieci, powiadasz? — rzekł Cyryl. — Jeśli mowa o małych dzieciach, to może wiesz, gdzie jest Baranek?

— Marta wybiera się do Rochester do swoich krewnych i chce go zabrać ze sobą. Mamusia jej pozwoliła — odparła Janka. — I teraz Marta wkłada mu jego najlepsze ubranko. Poproszę o masło.

— Ciekawe, że też Marta ma ochotę zabierać go z sobą — rzekł Robert ze zdziwieniem.

— Gosposie lubią zabierać ze sobą małe dzieci, kiedy idą do krewnych — odparł Cyryl. — Dużo razy już to zauważyłem — i zawsze lubią ubierać je w najlepsze ubranka.

— Myślę — powiedziała Janka — że udają, że to ich własne dzieci. I że one same — ciągnęła marząco, przy czym dobrała sobie marmolady — nie są służącymi, tylko żonami jakichś udzielnych książąt, a dzieci są małymi książątkami czy księżniczkami. Myślę, że Marta będzie opowiadać swej krewnej takie właśnie rzeczy i będzie tym zachwycona.

— E, chyba nie będzie tak bardzo zachwycona dźwigając na ręku nasze książątko aż do Rochester — wtrącił Robert — chyba że ma całkiem inne usposobienie niż ja.

— To prawda! — wykrzyknął Cyryl, w zupełności zgadzając się z bratem. — Taszczyć Baranka do Rochester to wątpliwa przyjemność.

— Marta jedzie wozem pocztowym — odparła Janka. — Możemy ich odprowadzić, a wtedy za jednym zamachem i im zrobimy przyjemność, i będziemy wiedzieli, że pozbyliśmy się i Marty, i Baranka na cały dzień.

Tak też zrobili.

Marta włożyła swoją odświętną suknię koloru mocnej purpury w dwóch odcieniach. Suknia była tak obcisła, że Marta ledwo mogła oddychać. Na głowie miała niebieski kapelusz z białą wstążką i różowymi kwiatami. Żółty koronkowy kołnierzyk z zieloną kokardą okalał jej szyję. Baranek miał na sobie również swoje najlepsze ubranko z kremowego jedwabiu i taki sam kapelusik.

Wyglądali więc szalenie elegancko, kiedy wóz pocztowy, który miał ich zabrać, zatrzymał się na skrzyżowaniu dróg. W chwilę potem biała buda i czerwone koła wozu nikły coraz bardziej w tumanach wapiennego pyłu.

— A teraz jazda do Sametyka! — zawołał Cyryl i cała czwórka ruszyła w drogę.

Po drodze zastanawiali się, jakie tym razem mają wypowiedzieć życzenie. Ale chociaż bardzo im było spieszo, nie próbowali nawet zsuwać się wzdłuż ścian kamieniołomu, ale jak poprzednio poszli spokojnie bezpieczną, okólną drogą. W miejscu gdzie duszek znikł wczoraj w piasku, ułożyli mały krąg z kamieni, toteż teraz z łatwością je odnaleźli. Słońce mocno świeciło i grzało, niebo było bez chmurki i bardzo niebieskie, a piasek tak gorący, że ledwo można było go dotknąć.

— Ale przypuśćmy, że to wszystko tylko się nam śniło — rzekł Robert w chwili, gdy chłopcy wyciągali łopatki z piasku, gdzie je poprzednio schowali, i zabierali się do kopania.

— I przypuśćmy, że ty jednak masz trochę oleju w głowie — odparł Cyryl — jedno i drugie jest tak samo prawdopodobne!

— Przypuśćmy, że ty potrafisz odzywać się przyzwoicie — odgryzł się Robert.

— Przypuśćmy — rzekła Janeczka ze śmiechem — że teraz my będziemy kopać na zmianę. Bo zdaje się, że wam, chłopcom, robi się jakby trochę za gorąco.

— Przypuśćmy, że nie będziesz tu wtykać swego głupiego nosa — odparł Robert, któremu istotnie było teraz bardzo gorąco.

— Już nie będziemy — wtrąciła pośpiesznie Antea. — Robert, kochanie, nie bądź taki zły jak chrzan! Nie powiemy już ani słówka i ty będziesz mówił do Piaskoludka, i wypowiesz mu nasze życzenie. Z pewnością zrobisz to znacznie lepiej od nas.

— Przypuśćmy, że przestaniesz się wygłupiać — rzekł Robert, ale już bez złości. — Uwaga! Teraz wszyscy będziemy rozgrzebywać piasek rękami!

Rozgrzebali piasek rękami i tak jak wczoraj wyłonił się najpierw pająkowaty tułowik pokryty brunatną sierścią, potem długie łapki i nóżki, nietoperze uszka i ślimacze oczka, a wreszcie ukazał się cały duszek. Wszyscy odetchnęli z ulgą i zadowoleniem, bo teraz nie ulegało już wątpliwości, że to nie był sen.

Duszek usiadł i otrząsnął piasek ze swego futerka.

— Jak miewa się dzisiaj twój lewy wąsik? — spytała grzecznie Antea.

— Nie najlepiej — rzekł duszek — noc miałem dosyć niespokojną. Ale dziękuję ci bardzo za pamięć.

— A jak z życzeniami — zagadnął Robert — czy czujesz, że nie będziesz miał z tym trudności? Bo chcielibyśmy bardzo cię prosić o jedno dodatkowe życzenie. Bardzo maleńkie zresztą — dodał ugodowo.

— Humf! — mruknął duszek. (Jeżeli będziecie to czytać głośno, to wymawiajcie, proszę was, „humf” dokładnie, jak jest napisane, bo tak właśnie wymawiał to duszek). — Humf! Czy wiecie, że póki nie usłyszałem, jak sobie przygadujecie tuż nad moją głową, i w dodatku tak głośno, byłem pewien, żeście mi się tylko śnili. Miewam czasem takie dziwaczne sny.

— Doprawdy? — szybko wtrąciła Janeczka chcąc uniknąć dalszej rozmowy o przygadaniu. — Chciałabym bardzo — dodała bardzo grzecznie — żebyś nam opowiedział coś o swoich snach. Muszą to być strasznie ciekawe sny.

— Czy to jest wasze życzenie na dzisiaj? — zapytał Piaskoludek i ziewnął.

Cyryl mruknął coś o tym, że „z dziewczynkami wiecznie to samo”, a reszta dzieci trwała w milczeniu. Gdyby ktoś z nich odpowiedział „tak”, przepadłyby oczywiście wszystkie przygotowane na dzisiaj życzenia. A znowu powiedzieć „nie” byłoby bardzo niegrzecznie. Dzieciom zaś nakazywano, by były grzeczne, a poza tym same z siebie nauczyły się troszkę grzeczności, co wcale nie jest przecież tym samym. Milczały więc i odetchnęły z ulgą dopiero, kiedy duszek powiedział:

— I jeżeli opowiem wam swoje sny, to nie będę miał dosyć siły, żeby spełnić drugie życzenie. Nawet jeśli tym życzeniem będzie trochę rozumu czy grzeczności, czy miłe usposobienie.

— Wcale nie chcemy, żebyś się wysilał na dawanie nam takich rzeczy, bo z tym potrafimy sami sobie poradzić — odparł skwapliwie Cyryl. A reszta dzieci popatrywała tylko na siebie, jakby w poczuciu winy, i pragnęła, by Piaskoludek przestał już wreszcie mówić o miłym usposobieniu. Z dwojga złego woleliby, żeby ich zbeształ solidnie, a potem już dał spokój.

— No dobrze — rzekł duszek wysuwając swe ślimacze oczka tak nagle, że jedno z nich omal nie trafiło w okrągłe jak spodek oko Roberta. — Zacznijmy od tego maleńkiego życzenia.

— Chcielibyśmy, żeby w domu nikt nie zauważył tego, co nam dajesz.

— Co jesteś łaskaw nam dawać — odpowiedziała szeptem Antea.

— Co jesteś łaskaw nam dawać — poprawił się Robert.

Piaskoludek nadął się lekko, wypuścił oddech i rzekł:

— Już zrobione i przyszło mi to z łatwością. Zresztą ludzie i tak mało co spostrzegają. A jakie macie następne życzenie?

— Chcielibyśmy — rzekł Robert powoli — mieć bogactwa, o jakich nawet nie można zamarzyć.

— To chciwość — odezwała się Janeczka.

— Pewnie, że chciwość — potwierdził nieoczekiwanie duszek. — Ale niewiele wam z tego przyjdzie i w tym cała pociecha — mruknął jakby do siebie. Po czym dodał: — Zgoda,

tylko że ja nie mogę robić rzeczy, o jakich nie można zamarzyć. Więc ile chcecie tych bogactw? I czy to ma być złoto, czy też banknoty?

— Prosimy o złoto, ale bardzo dużo tego złota.

— Tyle, powiedzmy, ile zmieści się w tym kamieniołomie? — spytał duszek takim tonem, jakby chodziło o drobiazg.

— O tak!

— W takim razie wyjdźcie stąd, zanim zacznę, bo inaczej będziecie tu żywcem pogrzebani.

Wyciągnął swe chude łapki na taką odległość i wymachiwał nimi tak przerażająco, że dzieci popędziły w popłochu w stronę drogi, którą zajeżdżały wozy do kamieniołomu. Jedna tylko Antea zachowała dostateczną przytomność umysłu, aby w biegu zawołać nieśmiało: „Do widzenia, mam nadzieję, że jutro twój wąsik będzie się miewał lepiej!”

Gdy dobiegli do drogi, odwrócili się, by zobaczyć, co się dzieje w kamieniołomie. Ale szybko przymknęli oczy, a następnie otwierali je bardzo powoli i tylko po troszku, gdyż widok, jaki im się ukazał, był po prostu olśniewający. Było to tak mniej więcej, jakby ktoś chciał patrzeć na słońce w samo południe i w samym środku lata. Wielką jamę kamieniołomu wypełniały aż po sam brzeg nowiutkie, błyszczące złote monety i nie było widać nawet drzewczek w małych domkach maleńkich jaskółek skalnych. Tam gdzie droga skręcała do kamieniołomu, złoto leżało w wielkich stosach, jak leży żwir przy drodze. A wśród wysokich ścian kopalni aż do samej góry widać było tylko olbrzymią masę błyszczącego złota. Wszystko to były dukaty. Słońce stało wysoko, a jego promienie odbijały się w nieskończoność od tego niezliczonego mnóstwa złotych monet, które aż płonęły w słonecznym blasku. I cała kopalnia wyglądała jak olbrzymi otwór hutniczego pieca czy też jakiś czarodziejski pałac, jeden z owych pałaców, jakie ujrzeć można czasami na niebie o zachodzie słońca.

Dzieci stały z otwartymi ustami i żadne nie mogło wydobyć z siebie ani słowa.

W końcu Robert schylił się i podniósł jedną z monet leżących nie opodal wielkiego stosu, już przy samej drodze. Obejrzał monetę z obu stron, po czym wymówił szeptem, jakimś nie swoim głosem:

— To nie są terazniejsze pieniądze.

— W każdym razie to złoto — odparł Cyryl.

Języki się rozwiązały i wszystkie dzieci zaczęły mówić naraz. Sięgały garściami po złote skarby, przesypywały je między palcami, brzęk monet dźwięczał jak jakaś osobliwa muzyka.

W pierwszej chwili dzieci nawet nie pomyślały o tym, że te pieniądze można wydać, tak było przyjemnie bawić się nimi. Janeczka usiadła między dwoma stosami złota i Robert zaczął ją tym złotem zasypywać, jak zasypujecie piaskiem tatusia, kiedy jesteście nad morzem, a tatuś zaśnie na plaży z twarzą przykrytą gazetą. Ale Robert nie zdążył zasypać Janeczki nawet do połowy, gdy zaczęła krzyczeć:

— Przestań, bo to bardzo ciężkie! Boli mnie!

Robert mruknął „et” i odszedł.

— Wyciągnijcie mnie stąd, błagam was! — zawołała Janeczka. Kiedy ją wydobyli, była bardzo blada i drżała na całym ciele.

— Nie macie pojęcia — mówiła — jakie to uczucie; zupełnie jakby ktoś zwałił na was kamienie albo żelazne łańcuchy.

— Słuchajcie — rzekł Cyryl — jeżeli mamy mieć z tego jakiś pożytek, to nie warto stać tutaj i tylko się gapić. Nabierzmy tego pełne kieszenie i chodźmy coś sobie kupić... Pamiętajcie, że wszystko skończy się o zachodzie słońca. Szkoda, że nie spytaliśmy Piaskoludka, dlaczego nie zamieniliśmy się wczoraj w kamienie. Ale może złoto się zamieni. Wiecie co? Przyszło mi na myśl, że we wsi mają wózek i kucyka.

— Czy masz zamiar to kupić? — spytała Janeczka.

— Nie, głuptasku, wynając. A wtedy będziemy mogli pojechać do Rochester i nakupić sobie całe mnóstwo różności. Ale najpierw weźmiemy ze sobą tyle tego złota, ile możemy udźwignąć. Ale to nie są dzisiejsze pieniądze.

Z jednej strony każdego pieniążka jest wyryta głowa mężczyzny, a z drugiej coś jakby as pik. Ale mniejsza z tym. Napelnijmy sobie kieszenie i chodźmy. A gadać możecie po drodze, jeżeli już musicie koniecznie.

Cyryl usiadł przy stercie złota i zaczął nim napelniać sobie kieszenie.

— Śmieliście się ze mnie, kiedy mówiłem, że chcę mieć dziewięć kieszeni w kurtce — powiedział — a teraz sami widzicie...

Rzeczywiście widzieli. Kiedy bowiem Cyryl napelniał złotem wszystkie dziewięć kieszeni, a do tego umieścił jeszcze spory zapas monet za pazuchą i następnie próbował wstać — nic z tego nie wyszło. Zatoczył się jak pijany i szybko usiadł z powrotem.

— Wyrzuć trochę tego ładunku — rzekł Robert — bo zatopisz okręt, mój drogi. Takie są skutki dziewięciu kieszeni.

Cyryl chcąc nie chcąc musiał pójść za tą radą.

Wreszcie ruszyli wszyscy w kierunku wioski. Odległość wynosiła milę z okładem, na drodze było pełno kurzu, słońce z każdą chwilą zdawało się bardziej przypiekać, a złote monety w kieszeni stawały się coraz cięższe.

Pierwsza odezwała się Janeczka:

— Nie bardzo wiem, jak możemy to wszystko wydać. Przecież to, co mamy ze sobą, to muszą być jakieś ogromne pieniądze. Chyba zostawię trochę moich monet tutaj pod krzakiem. I jak tylko zajdziemy do wsi, muszę kupić herbatników: z pewnością już dawno minęła pora obiadu. — Wyjęła z zanadru jedną, a potem drugą garść złota i ukryła w dziupli pnia starego grabu. — Śliczne są te pieniążki — dodała — takie okrągłe, zółciutkie! Czy nie wolelibyście, żeby to były orzeszki i żeby je można było jeść?

— Ale to nie są orzeszki, więc ich nie zjemy — rzekł Cyryl. — Chodźmy prędzej!

Niestety, szli coraz wolniej i z coraz większym trudem. Nim dotarli do wioski, niejedna przydrożna dziupla zawarła w sobie mały, ukryty skarb. Jednakże wciąż mieli ze sobą grubo ponad tysiąc dukatów. Mimo to nie sprawiali wrażenia bogaczy i nikt, kto by ich spotkał, nie posądziłby ich o majątek większy niż dwa szylingi na wszystkich razem. Upał był coraz większy i rozgrzane powietrze, przesycone dymem z kominów, falowało jak mgielka nad czerwonymi dachami wioski. Na widok pierwszej napotkanej ławki cała czwórka skwapliwie i ciężko usiadła. A tak się złożyło, że ławka stała na wprost gospody „Pod Błękitnym Dzikim”.

Postanowiono, że Cyryl pójdzie do gospody i poprosi o lemoniadę.

— Nie wypada — orzekła Antea — żeby dzieci same chodziły do gospody, ale mężczyźnie wolno. A Cyryl, choć nie jest całkiem dorosły, jest bardziej mężczyzną niż my, bo jest najstarszy.

Toteż Cyryl poszedł, a reszta rodzeństwa czekała siedząc na słońcu.

— Ależ upał! — odezwał się Robert. — Psy wywieszają języki, kiedy im jest gorąco; ciekaw jestem, czy to by pomogło i nam?

— Możemy spróbować — odparła Janeczka i wszyscy wysunęli języki, jak mogli najdalej. Ale taki tylko był skutek, że pragnienie jeszcze bardziej im dokuczało, nie mówiąc już o tym, że przechodnie popatrywali na nich z niechęcią. W końcu więc pochowali języki, a w tej samej chwili zjawił się Cyryl niosąc lemoniadę.

— Musiałem na to wydać moje własne dwa pensy, które odłożyłem sobie na kupno królików — powiedział. — Nie chcieli mi wydać reszty z dukata. A kiedy wyciągnąłem ich całą garść, wszyscy w gospodzie zaczęli się śmiać i powiedzieli, że to karciane sztony. I kupiłem także kawałek biszkopta ze słoja za bufetem i trochę herbatników z kminkiem.

Biskopt był suchy, a herbatniki miękkie, co ani dla biskoptów, ani dla herbatników nie jest wcale zaletą. Ale wszystkie te braki wynagrodziła z nadwyżką lemoniada.

— A teraz na mnie kolej, ja spróbuję coś kupić — rzekła Antea. — Po Cyrylu jestem najstarsza. Kto z was wie, gdzie szukać tego kucyka z wózkiem?

O kucyku, jak się okazało, można się było dowiedzieć w gospodzie „Pod Szachownicą”. Antea poszła od tyłu wprost na podwórko, bo wiadomo, że małe dziewczynki nie powinny w żadnym wypadku wchodzić do gospody. Po chwili wróciła mówiąc, że jest „zadowolona, ale nie zachwycona”.

— Gospodarz powiedział, że raz–dwa zaprzęgnie kucyka — rzekła — i ma dostać funta, czy jak się nazywa to złoto, które mamy, za jazdę z nami do Rochester i z powrotem; a w miasteczku zaczeka tak długo, ile będzie trzeba. Myślę, że dobrze to załatwilam.

— Pewnie ci się zdaje, że jesteś bardzo sprytna — powiedział Cyryl zasepiony. — A jak to załatwiłaś?

— Nie byłam taka sprytna — odgryzła się Antea — żeby pokazywać tam całe garście złota. Ale w ten sposób nikt mnie o nic nie podejrzewał. Spotkałam na podwórku jakiegoś chłopca, który miał gąbkę i wiaderko z wodą i stał przy koniu i przemywał mu nogę. A ja pokazałam jedną monetę i spytałam, czy wie, co to jest. Chłopiec powiedział, że nie wie i że pójdzie po ojca. A potem przyszedł ojciec i powiedział, że to jest dukat, i spytał mnie, czy to mój i czy mogę z nim robić, co zechcę. Powiedziałam, że tak, i spytałam o kucyka i wózek, i powiedziałam, że mogę dać dukata, jeżeli zawiezie nas do Rochester. Ten człowiek nazywa się Crispin i powiedział, że dobrze.

Było to zupełnie nowe wrażenie — jazda eleganckim wózkiem zaprzężonym w kucyka po pięknych drogach wiejskich. I wrażenie było bardzo przyjemne (czego nie można powiedzieć o wszystkich nowych wrażeniach), nie mówiąc już o wspaniałych planach wydawania złotych monet. Każde z dzieci układało po drodze najrozmaitsze plany, oczywiście w milczeniu i tylko dla siebie, bo rozumiały doskonale, jak niezręcznie byłoby myśleć głośno w obecności starego właściciela gospody. Ten zaś dowiózł ich aż do mostu, gdzie zgodnie z umową wysiedli.

— Gdyby na przykład ktoś chciał kupić wózek i konie, do kogo radziłby pan pójść? — zapytał starego Cyryl. Powiedział to od niechcienia, niby że wypada cośkolwiek powiedzieć.

— Najlepiej pójść do Billa Peasemars „Pod Głową Saracena” — odparł staruszek. — Ale ja nic nie radzę, niech mnie Bóg broni. Kiedy idzie o konia, to nic radzić nie można. Sam też nie słuchałbym niczyjej rady, jakbym kupował dla siebie. Ale jeśli wasz tatuś chce ubić jakiś interes, to naprawdę nie ma solidniejszego kupca w całym Rochester niż Bill.

— Dziękuję bardzo — rzekł Cyryl. — Więc „Pod Głową Saracena”.

Poszli i dziwne rzeczy zaczęły się dziać od tej chwili. Jedno z praw natury wywinęło koziołka i stanęło do góry nogami niczym akrobata: wiadomo, że pieniądze trudno jest zdobyć, a łatwo wydać. Każdy dorosły powie wam to samo. Ale tym razem było zupełnie odwrotnie: czarodziejskie pieniądze zjawiły się bez żadnego wysiłku, a wydanie okazało się nie tylko rzeczą trudną, lecz prawie niemożliwą. Kupcy w Rochester w żaden sposób nie chcieli przyjmować błyszczących, złotych monet, „dziwnych pieniędzy”, jak je nazywali. Zaczęło się od Antei, która przez nieostrożność usiadła na swoim kapeluszu, więc chciała kupić sobie nowy. Wybrała śliczny kapelusik przybrany czerwonymi różami i pękami wspaniałych pawich piór. Kapeluszek był w witrynie, a obok widniał napis „Model paryski — cena 3 funty”.

— Bardzo się cieszę — rzekła Antea — bo mam właśnie przy sobie trzy funty, i to w złocie.

Mówiąc to wydobyla z kieszeni trzy dukaty i pokazała je. Ale ręka, w której je trzymała, była dosyć brudna, bo Antea wychodząc z domu nie wzięła rękawiczek, a była przecież w kamieniołomie i później rąk nie myła. Więc młoda panna sklepowa w czarnej jedwabnej

sukni obrzuciła Antę surowym spojrzeniem i zaczęła coś szeptać do starszej i brzydszej pani, też w czarnej jedwabnej sukni. A potem zwróciły jej złoto i powiedziały, że te pieniądze nie są w obiegu.

— Ależ to dobre pieniądze — rzekła Antea — i są moje własne.

— O tak, tak — odparła nieładna pani. — Tylko że te pieniądze nie są teraz modne i dlatego nie możemy ich przyjąć.

— Na pewno myślą, żeśmy je ukradli — powiedziała Antea wracając do czekającej na nią reszty rodzeństwa. — Gdybym miała na sobie rękawiczki, nie posądziłaby mnie o nieuczciwość. A wszystko to wydaje im się podejrzanym przez to, że mam takie brudne ręce.

Weszli wobec tego do skromnego sklepiku, gdzie dziewczynki kupiły zwyczajne bawełniane rękawiczki najtańszego gatunku. Ale kiedy przyszło do płacenia i wyjęły dukata, kasjerka przyjrzała mu się przez okulary i powiedziała, że nie ma reszty. Więc Cyryl musiał zapłacić za rękawiczki z reszty pieniędzy, jakie miał na kupno królików. Tak samo było z taną zieloną portmonetką z imitacji skóry krokodyla. Później wchodzili do wielu innych sklepów, takich gdzie sprzedają zabawki i perfumy, jedwabne chusteczki i książki, papier listowy w pudełku i różne widokówki. Ale w całym Rochester nikt jakoś nie mógł wydać reszty z dukata, chociaż chodzili od sklepu do sklepu. Dzieci były tylko coraz brudniejsze, włosy miały w coraz większym nieładzie, a Janka pośliznęła się i upadła akurat w tym miejscu, gdzie przed chwilą zatrzymał się wózek rozwożący wodę. Byli okropnie głodni, ale za swoje dukaty nie mogli dostać nic do jedzenia. Weszli do dwóch po kolei cukierni, lecz na próżno. Tylko jeszcze dotkliwiej odczuwali głód, może z powodu zapachu ciastek w cukierniach.

W końcu Cyryl zaproponował, żeby ułożyć plan kampanii. Po naradzie przystąpili do jego wykonania. Weszli do trzeciej z rzędu małej cukierni i zanim właściciel, pan Beale, i jego pomocnicy zdążyli się zorientować, każde z dzieci chwyciło po trzy maślane bułeczki i gniotąc je w brudnych rękach zaczęły pośpiesznie zajadać. Stały tak z bułeczkami w garści i ustami tak zapchanymi, że nie mogły wymówić ani słowa. Oburzony cukiernik wyskoczył zza lady.

— O! — odezwał się Cyryl usiłując w miarę możności mówić wyraźnie i podtykając cukiernikowi przygotowanego zawczasu dukata — niech pan z tego odliczy, ile się należy.

Pan Beale chwycił monetę, spróbował zębami, a następnie wsadził do kieszeni.

— Zabierajcie się! — zawołał strasznym głosem.

— Ale nam się należy reszta! — powiedziała Antea, w której odezwała się wrodzona skłonność do oszczędzania.

— Reszta? — odparł cukiernik. — Ja wam dam resztę! Wynosić mi się! I cieszcie się, że nie wołam policji, żeby sprawdziła, skądście to wzięli.

Nasi milionerzy dokończyli bułeczek w alejce miejskiego ogrodu, rozkoszując się ich miękkością i smakiem. Humory się poprawiły, ale i teraz najmężniejsze serca truchlały na samą myśl rozmowy z panem Billem Peasemarsz z oberży „Pod Głową Saracena” na temat konika i wózka. Chłopcy najchętniej wyrzekliby się tego pomysłu. Przeważył jednak upór Antei i wrodzony optymizm Janeczki, że wszystko zawsze musi się udać.

Tak więc cała czwórka umorusana jak nieboskie stworzenia ruszyła „Pod Głową Saracena”. Wypróbowany już „Pod Szachownicą” sposób wtargnięcia od strony podwórka i tym razem się udał. Pan Peasemarsz był właśnie na dworze i Robert z miejsca rozpoczął pertraktację.

— Słyszałem, że ma pan na sprzedaż różne koniki i wózki — zaczął. Postanowiono, że Robert będzie mówił w imieniu wszystkich, bo Cyryl odegrał już swoją rolę „Pod Błękitnym Dzikim”, a dziewczynki nie wchodziły w rachubę, ponieważ w książkach zawsze tylko młodzi panowie kupują konie.

— Dobrze pan słyszał — odparł pan Peasemarsch, wysoki, chudy mężczyzna o bardzo niebieskich oczach i wąskich, zaciśniętych ustach.

— Właśnie chcieliśmy kupić parę koni i wózek — rzekł uprzejmie Robert.

— Więc?

— Więc może by pan pokazał nam kilka par do wyboru?

— Co to za zawracanie głowy? — zdziwił się pan Peasemarsch. — A może was tutaj kto przysłał?

— Mówiłem już panu — rzekł Robert — że chcemy kupić parę koni i wózek, i ktoś nam powiedział, że najlepiej załatwić to z panem; bo pan jest uczciwy i grzeczny. Ale widzę, że się pomylił.

— A co to takiego? — zawołał pan Peasemarsch. — Czy mam całą stajnię wyprowadzić na pokaz dla jaśnie pana? A może posłać do biskupiego pałacu i dowiedzieć się, czy nie mają tam pary rasowych źrebców do odstąpienia?

— Proszę bardzo — rzekł Robert — jeśli to panu nie sprawi zbyt wiele kłopotu. Będziemy panu bardzo zobowiązani.

Pan Peasemarsch wetknął obie ręce w kieszenie spodni i wybuchnął śmiechem, który nie bardzo podobał się naszym przyjaciołom. Po czym zawołał: „Wilam!”

W drzwiach stajni zjawił się kuśtykający parobek.

— Chodź, Wilam, i popatrz na tego jaśnie pana! Chce kupić całą stadninę, a w kieszeni na pewno nie ma i trzech groszy — mógłbym iść o zakład!

Oczy Wilama popatrzyły z pogardliwym zaciekawieniem w stronę, w którą wskazywał palec jego pana.

— Aha, widzę! — odmruknął.

Teraz jednak odezwał się Robert, choć obydwie dziewczynki ciągnęły go za kurtkę błagając, „żeby sobie stąd pójść”. Robert odezwał się i było rzeczą widoczną, że jest bardzo rozgniewany.

— Nie jestem żadnym jaśnie panem — powiedział — i nigdy nie udawałem, że nim jestem. A co do trzech groszy — to co pan o tym powie?

I zanim inni zdążyli go powstrzymać, wyciągnął z kieszeni dwie garście błyszczących dukatów podtykając je panu Peasemarsch, aby je sobie obejrzał. Tamten istotnie obejrzał. A nawet pochwycił jeden i spróbował zębami. Janeczka była już przekonana, że zaraz z jego ust padną słowa: „Najlepszy koń z mojej stajni jest na wasze usługi”. Ale reszta naszych przyjaciół wiedziała, że tak nie będzie. Jednak i dla najbardziej zniechęconych było to całkiem niespodziewanym ciosem, gdy pan Peasemarsch rzucił krótki rozkaz:

— Wilam, zamknij bramę! — a Wilam wyszczerzył zęby i poszedł zamykać bramę.

— Do widzenia! — rzekł Robert pośpiesznie. — Nie kupimy żadnego z pańskich koni, choćby pan nie wiem jak prosił. Mam nadzieję, że to będzie dla pana nauczka.

Robert wypatrzył furtkę otwartą w głębi podwórka i mówiąc kierował się w tamtą stronę. Ale pan Peasemarsch zagroził mu drogę.

— Nie tak prędko, ty mały oszuście! — zawołał. — Wilam, idź po policję!

Wilam pokuśtykał za bramę. Dzieci stały na środku podwórka przytulone do siebie jak przestraszone owce, a pan Peasemarsch przemawiał do nich aż do nadejścia policji. Powiedział wiele rzeczy, a zaczął od stwierdzenia:

— Ładna z was banda łobuzów, żeby tak przychodzić do uczciwych ludzi i podtykać im Bóg wie skąd wzięte dukaty!

— To są n a s z e dukaty — odparł mężnie Cyryl.

— No tak, pewnie że jeszcze nie wiemy, skąd to wzięliście. Pewnie że nie wiemy! I jeszcze wciągać do tego małe dziewczynki! Słuchajcie — zwrócił się do chłopców — wypuszczę dziewczynki, jeżeli pójdziecie spokojnie na policję.

— Wcale nie chcemy, żeby nas pan wypuszczał! — zawołała bohatercko Janeczka. — Nie pójdziemy bez chłopców! To są nasze pieniądze tak samo jak ich, a z pana jest stary złodziej.

— A skąd je wzięliście? — spytał tamten trochę mięknąc, ku zdziwieniu chłopców, którzy spodziewali się czegoś wręcz odwrotnego, gdy Janeczka nazwała go starym złodziejem.

Janeczka w milczeniu obrzuciła rodzeństwo pytającym spojrzeniem.

— Jakoś zapomniałaś języka w gębie, co? A wymyślać ludziom to potrafiłaś? No, gadaj! Skąd to macie?

— Z kamieniołomu — odparła prawdomówna Janka.

— Nowa bajeczka — rzekł pan Peasemars.

— Mówię panu, że tak — upierała się Janka. — W kamieniołomie jest duszek — taki z brązowym futerkiem, z uszkami jak nietoperz i oczkami jak u ślimaka. I on codziennie spełnia jedno nasze życzenie i wszystko zawsze się sprawdza.

— Stuknięta w głowę, co? — rzekł półgłosem mężczyzna. — To już zupełny wstyd — dodał zwracając się do chłopców — żeby wciągać takie nieszczęśliwe dziecko do waszych paskudnych złodziejstw.

— Ona nie jest wariatka — rzekła Antea — to wszystko prawda: w kamieniołomie jest duszek. Następnym razem, jak go zobaczę, poproszę go o spełnienie jednego życzenia dla pana. Może zresztą tego nie zrobię, bo nieładnie jest mścić się. Ale niech pan uważa!

— Masz tobie! — zawołał pan Peasemars. — Druga to samo!

Ale w tej samej chwili wrócił Wilam szczerząc pogardliwie zęby. Razem z nim przyszedł policjant, z którym pan Peasemars wdał się w długą rozmowę, prowadzoną chrapliwym szeptem.

— Masz pan chyba rację — rzekł wreszcie policjant. — W każdym razie zatrzymam ich pod zarzutem bezprawnego posiadania złota do czasu, aż wyjaśni się sprawa, a resztą już zajmie się sędzia. Na pewno pośle dziewczynki do zakładu, a chłopców do domu poprawczego. No, a teraz marsz ze mną, smarkacze! Tylko bez hałasu! Pan, panie Peasemars, zabierzesz ze sobą dziewczynki, a ja poprowadzę chłopców.

I czworo dzieci, oniemiałych z gniewu i przerażenia, poprowadzono ulicami Rochester.

Łzy wstydu i oburzenia tak je oślepiły, że gdy Robert wpadł nagle na kogoś z przechodniów, rozpoznał, kto to jest, dopiero wtedy, gdy usłyszał dobrze znany sobie głos:

— A to co takiego? Robert? A co wy tu wszyscy robicie?

A inny głos, równie dobrze znany, powiedział:

— Panteja! Cie do mojej Pantei!

Wpadli po prostu na Martę i Baranka.

Marta zachowała się nadzwyczajnie. Nie chciała uwierzyć ani jednemu słowu z tego, co mówili policjant i pan Peasemars, i nie wierzyła im nawet wtedy, gdy tamci zaprowadzili Roberta do bramy, kazali mu wywrócić kieszenie i pokazać dukaty.

— Nic absolutnie nie widzę — rzekła Marta. — Upadliście pewnie obydwaj na głowę! Nie widzę tu żadnych dukatów, tylko ręce tego biednego dzieciaka bardzo pokaleczone i brudne jak nieszczęście. No, no, coś podobnego!

Dzieci pomyślały, że to bardzo ładnie ze strony Marty, choć trochę złośliwie. Dopiero po chwili przypomniały sobie obietnicę duszka, że nikt z domowników nigdy nie zauważy spełnionych przez niego życzeń. Czyli że Marta nie mogła widzieć złota, a więc po prostu mówiła tylko prawdę. Było to słuszne, rzecz jasna, ale nie było w tym nic szczególnie szlachetnego.

Zmierzch już zapadał, gdy przyszli do komisariatu. Policjant powtórzył swoją opowieść inspektorowi, który siedział w dużym, pustym pokoju. W jednym jego końcu znajdowało się coś w rodzaju klatki dla aresztantów. Robert zastanawiał się, czy tak wygląda cela więzienna.

— Proszę pokazać monety — rzekł inspektor do policjanta.

— Wywróćcie kieszenie — zwrócił się policjant do chłopców.

Cyryl gestem rozpaczony zanurzył ręce w kieszeniach, znieruchomiał na chwilę, a potem wybuchnął śmiechem — dziwnym śmiechem, który był bardziej podobny do płaczu. Kieszenie Cyryla były puste, tak jak kieszenie pozostałych dzieci. Nic dziwnego: o zachodzie słońca czarodziejskie złoto znikło, jak wszystkie dary Piaskoludka.

— Wywróć kieszenie i uspokój się — rzekł inspektor.

Cyryl wywrócił wszystkie dziewięć kieszeni zdobiących jego kurtkę. I wszystkie były puste.

— No tak! — powiedział inspektor.

— Nie mam pojęcia, jak oni to zrobili — rzekł policjant — sprytni łobuziaki! Kazałem im cały czas iść naprzód, żeby ich mieć na oku i żeby nie robić zbiegowiska i nie zakłócać ruchu.

— Ciekawe — rzekł marszcząc brwi inspektor.

— No, dosyć tego! — powiedziała Marta. — Dosyć już tego znęcania się nad niewinnymi dziećmi. Muszę teraz wynająć jakiś powozik i odwieźć ich do domu. A z panem to jeszcze o tym pogadamy — zwróciła się do policjanta. — Mówiłam, że nie mają przy sobie żadnego złota, a pan wciąż mi wmawiał, że mają tam jakieś dukaty. Nie bardzo to wypada, żeby policjantowi już o takiej wczesnej porze migало się w oczach. No bo o tamtym to nawet nie ma co mówić: prowadzi „Głowę Saracena” i widać od rana kosztuje swoich wódek.

— Na miły Bóg, niech już ich pani zabierze — przerwał jej ze złością inspektor. A gdy wychodzili z komisariatu, powiedział: „No tak!” — do policjanta i pana Peasemarsa. I powtórzył to ze dwadzieścia razy z taką samą złością, z jaką mówił do Marty.

* * *

Z Martą nie było żartów; po prostu nie znała się na nich. Zabrała dzieci do domu wynajętym powozem, bo już wóz pocztowy odjechał, i chociaż w policji tak szlachetnie stawiała w ich obronie, teraz, kiedy już byli sami, tak im zmyła głowy za „wałśanie się po Rochester bez opieki”, że żadne z dzieci nie ośmieliło się nawet słówkiem wspomnieć o staruszkę, który czekał na nich za miastem z wózkiem i kucykiem. Tak więc po jednodniowym nieopisanym bogactwie wrócili jak niepyszni do domu i poszli w niełasce do łóżek. Jedynym ich nabytkiem były dwie pary bawełnianych, tanich rękawiczek, wybrudzonych w środku na skutek umorusanych rąk, oraz portmonetka z tandetnej imitacji skóry krokodyla i dwanaście maślnych bułeczek dawno już strawionych.

Najbardziej trapiła ich myśl, że dukat dany miłemu właścicielowi kucyka mógł zniknąć o zachodzie wraz z innymi. Toteż poszli nazajutrz na wieś, aby przeprosić staruszkę, że nie wrócili z nim z Rochester, jak to było umówione, a także, by przekonać się o tamtym. Zostali przyjęci bardzo serdecznie. Dukat nie zniknął i staruszek wywiercił w nim otwór, aby nosić go jako brelok na łańcuszku od zegarka. Co zaś do dukata, którego zabrał cukiernik, dzieci nie poszły sprawdzać, czy zniknął. Nie było to może najbardziej uczciwe, ale z drugiej strony trudno im zbytnio się dziwić. Później jednak dręczyło to Antę i wpadła na pomysł wysłania tuzina znaczków pocztowych do pana Beale, piekarza w Rochester. Do znaczków dołączyła kartkę z napisem: „Należność za maślane bułeczki”. Mam nadzieję, że ten dukat znikł, bo cukiernik w gruncie rzeczy nie był przyzwoitym człowiekiem. Nie mówiąc już o tym, że w porządnych sklepach sprzedają takie bułeczki taniej, niż to zrobił pan Beale.

ROZDZIAŁ III PRZEDMIOT POŻĄDANIA

Następnego ranka po dniu, kiedy dzieci były posiadaczami niezmiernych bogactw, a zarazem nie mogły za nie kupić nic pożytecznego ani przyjemnego oprócz dwóch par tanich rękawiczek, dwunastu maślanych bułeczek, tandetnej portmonetki i przejażdżki wózkiem — zbudziły się bez tego zapachu i radości, jakie odczuwały poprzednio na myśl o Piaskoludku i jego obietnicy codziennego spełniania nowych życzeń. Oto spełniły się już dwa ich życzenia — urody i bogactwa — a żadne z nich właściwie nie dało im zadowolenia. A swoją drogą, przydarzanie się rzeczy dziwnych, nawet jeśli te rzeczy nie są całkowicie przyjemne, to zawsze zabawniejsze, niż kiedy nic się nie dzieje poza śniadaniem, obiadem i kolacją. Tym bardziej że i z jedzeniem bywa rozmaicie — na przykład, kiedy na obiad jest zimna baranina czy klops.

Przed śniadaniem nie było okazji, żeby porozmawiać, bo wszyscy jakoś zaspali. Trzeba nawet było mocno się pośpieszyć, żeby zdążyć się ubrać i nie spóźnić na śniadanie więcej niż o dziesięć minut. W czasie śniadania mówiono trochę o duszku, ale nie bardzo to się udawało. Bo nie jest rzeczą łatwą omawiać tak poważną sprawę, a jednocześnie uczciwie dopilnować, żeby Baranek zjadł swoje śniadanie. Zwłaszcza że tego ranka mały ani przez chwilę nie chciał usiedzieć spokojnie. Kręcił się na swoim wysokim krzeselku, pochylał głowę w dół, aż twarzyczka mu poczerwieniała, jakby się miał udusić, a potem chwycił nagle łyżkę stołową, uderzył nią Cyryla po głowie i rozbeczał się, kiedy mu tę łyżkę odebrano. Wpakował swą tłustą łapkę do kaszki z mlekiem, domagał się konfitur, które dostawał tylko na podwieczorek, śpiewał, a wreszcie położył nóżki na stół, mówiąc, że chce iść „na śpaciej”. Toteż rozmowa toczyła się w trochę dziwny sposób:

— Popatrz, co on wyprawia! Więc kiedy spotkamy Piaskoludka? Ojej! Mały wyleje mleko!

Mleko usunięto na bezpieczną odległość od Baranka.

— Więc kiedy spotkamy Piaskoludka — nie, Baranku, oddaj tę łyżkę Panterze.

— Dotychczas — spróbował powiedzieć coś Cyryl — z naszych życzeń... Odbierzcie mu musztardę!

— Zastanawiam się, czy nie lepiej tym razem poprosić... Uwaga!... No trudno, stało się!

Różowe łapki Baranka w mgnieniu oka chwyciły akwarium ze złotymi rybkami stojące na środku stołu. Struga wody i pływających w niej rybek chlusnęła na Baranka i na resztę całego towarzystwa.

Wszyscy poderwali się, co najmniej tak przerażeni jak złote rybki wylane na obrus; jeden tylko Baranek zachował spokój. Kiedy już wytarto kałużę na podłodze, a złote rybki miotające się z otwartymi pyszczkami pozbierano i wpuszczono z powrotem do wody, Marta zabrała Baranka, którego trzeba było całkowicie przebrać. Starsze rodzeństwo musiało też zmienić ubranie. Zwłaszcza fartuszki dziewczynek i kurtki chłopców były zupełnie przemoczone i trzeba je było rozwiesić, aby wyschły. Przy okazji wyszło też na jaw, że sukienka Janeczki po wczorajszych przygodach jest w kilku miejscach rozdarta, więc musi ją zacerować albo też cały dzień chodzić w swojej najlepszej niedzielnej haleczce. Haleczka była biała, mięciutka i szeleszcząca, obszyta koroneczką i bardzo, bardzo ładna. Co najmniej tak ładna, jak sukienka, a może i jeszcze ładniejsza. Ale mimo wszystko nie była to sukienka, jak powiedziała Marta, a zdanie Marty było w tych razach prawem. Marta nie pozwoliła Janeczce włożyć niedzielnej sukienki, a jednocześnie ani słyszeć nawet nie chciała o propozycji Roberta, aby Janka chodziła w haleczce i udawała, że to jest sukienka.

— Nie wypada — orzekła Marta. A kiedy padnie słowo „nie wypada”, nie ma celu się spierać. Sami się o tym wkrótce przekonacie, a może zresztą już o tym wiecie.

Toteż Janeczka nie miała wyboru i musiała cerować sukienkę. Dziura zrobiła się wtedy, gdy Janeczka pośliznęła się i upadła na głównej ulicy w Rochester, w miejscu gdzie tuż przedtem stał wózek rozwożący wodę. Janeczka obtarła sobie kolano, a pończocha była nie tyle obtarta, ile po prostu dziurawa. Sukienkę zaś rozdarł ten sam kamień, który zainteresował się kolaniem i pończochą.

Reszta naszych przyjaciół nie mogła oczywiście opuścić Janeczki w jej niedoli. Siedli więc wszyscy na trawniku wokół słonecznego zegara, a Janeczka cerowała zawzięcie, chcąc jak najprędzej z tym skończyć. Baranka nie było, gdyż Marta wciąż jeszcze go przebierała, można więc było rozmawiać.

Antea i Robert doszli skrycie do wniosku, że duszkowi nie można właściwie zaufać. W pierwszej chwili napomknęli coś o tym nieśmiało, później jednak starali się to jakoś zagadać. Ale Cyryl powiedział:

— Mówcie wyraźnie, co macie do powiedzenia. Nie cierpię tych różnych „a może”, „nie wiem”, „ale” i innych takich wykrętnych sposobów.

— Sam jesteś wykrętny — odparł Robert mocno urażony. — Antea i ja nie musimy kręcić, bo nas złote rybki nie ochlapały tak jak was dwoje, więc zamiast suszyć garderobę, mieliśmy czas, żeby się nad wszystkim zastanowić, więc jeśli pytasz...

— O nic cię nie pytam — zawołała Janeczka odgryzając nitkę, co było rzeczą surowo zakazaną.

— Mało mnie to obchodzi, czy ktoś pyta, czy nie — rzekł Robert. — W każdym razie myślimy razem z Anteą, że Piaskoludek to po prostu gałgan. Jeżeli może spełniać nasze życzenia, to z pewnością może spełniać i swoje własne. I mogę się założyć, że za każdym razem ma ochotę, żeby z naszych życzeń nic sensownego nie wyszło. Więc niech sobie siedzi bestia w swoim dołku, a my chodźmy do kamieniołomu i możemy tam sobie urządzać wspaniałą zabawę w fortecę.

(Tu chciałabym wam przypomnieć, że dom, gdzie nasza czwórka mieszkała w czasie wakacji, leżał w pół drogi między kamieniołomem i wapiennymi skałami).

Ale Cyryl i Janeczka nie tak łatwo dawali się zniechęcić — takie już mieli usposobienie.

— Wcale nie myślę, że duszek robi to naumyślnie — rzekł Cyryl. — I prawdę mówiąc, to nasze życzenie, żeby być strasznie bogatymi, było zupełnie głupie. Dużo pożyteczniejsze byłoby na przykład mieć pięćdziesiąt funtów w dwuszylingowych monetach. A już chcieć być pięknym jak dzień to był wyjątkowy idiotyzm. Nie chcę nikomu wymawiać, ale to był zupełny idiotyzm. Musimy się starać, żeby wymyślić jakieś naprawdę sensowne życzenie.

Janeczka odłożyła robotę na bok i rzekła:

— I ja tak myślę. To byłoby strasznie głupio mieć taką okazję i nie skorzystać z niej. Nie słyszałam jeszcze o nikim, kto miał taką okazję, chyba w książkach. Z pewnością można wymyślić całe mnóstwo życzeń, które nie wpakują nas w takie tarapaty jak wczoraj i przedwczoraj. Musimy tylko dobrze się zastanowić i wykombinować jakieś naprawdę ciekawe życzenie, żeby potem przez cały dzień mieć przyjemność.

Powiedziawszy to Janeczka wzięła się znowu zawzięcie do cerowania, bo robiło się coraz później i trzeba było szybko powziąć jakąś decyzję. Teraz cała czwórka zaczęła mówić naraz, jedno przez drugie, i gdybyście tam byli, z pewnością nikt z was nie zrozumiałby ani słowa z tego gadania. Ale rodzeństwo było już tak przyzwyczajone do swojego sposobu mówienia całą czwórką, podobnie jak czwórkami maszerują żołnierze, że potrafiło jednocześnie mówić i słyszeć wszystko, co mówią pozostali. Z grubsza biorąc, każdy słuchał ćwierć uchem miłego dźwięku własnego głosu, a trzema czwartymi tego, co mówią inni. Biorąc pod uwagę, że każdy ma dwoje uszu, dla dokładniejszych obliczeń trzeba by mnożyć ułamki. Nie żądam od was, abyście mi powiedzieli, czy $\frac{3}{4} \times 2 = 1\frac{1}{2}$, ale wystarczy, jeśli mi uwierzycie, że każde z

dzieci mogło użyczyć innym półtora ucha. Użyczenie uszu było rozpowszechnione już za czasów rzymskich, jak wiemy z Szekspira, ale myślę, że nie warto się nad tym rozwodzić.

Mimo że sukienka została wreszcie zacerowana, wyprawę do kamieniołomu trzeba było nieco opóźnić, gdyż Marta uparła się, aby wszyscy umyli ręce. Było to bardzo niemądre i całkiem niepotrzebne, bo przecież z wyjątkiem Janeczki nikt nic nie robił, a trudno się zabrudzić, jeśli się nic nie robi. Jednakże, jak widać z zachowania Marty, nie jest to sprawa prosta, toteż nie podejmuję się wyjaśniać jej tutaj w książce. W prywatnym życiu wytłumaczyłabym to wam bardzo szybko albo wy mnie, co jest bardziej prawdopodobne.

Podczas rozmowy, w której użyczono sobie nawzajem sześciorga uszu (dzieci było czworo, więc łatwo to obliczyć), postanowiono, że najlepszym życzeniem będzie pięćdziesiąt funtów w monetach dwuszylingowych. I czwórka szczęśliwych dzieci, którym wystarczyło wypowiedzieć życzenie, aby otrzymać wszystko, co tylko zechcą pod słońcem, popędziła do kamieniołomu, aby zakomunikować duszkowi najnowsze swoje życzenie. Byli już przy furtce, gdy dopadła ich Marta nalegając, aby koniecznie zabrali z sobą Baranka.

— Jak można nie chcieć takiego aniołka! Każdy chciałby go mieć przy sobie! Moje złote kaczątko! W dodatku obiecaliście przecież mamusi, że będziecie go codziennie zabierać na spacer — mówiła Marta.

— To prawda — odparł posepnie Robert. — Tylko żeby Baranek nie był taki smarkaty i taki mały, to byłoby zabawniejsze.

— Że smarkaty, to z tego prędko wyrośnie — powiedziała Marta — a że jest mały, to dla was tylko lepiej, bo i tak do dźwigania jest trochę przyciężki. Zresztą on może sam trochę chodzić, moje kaczątko złote, na swoich tłustych nóżkach. A na powietrzu to dla niego zdrowo! Ach, ty moje maleństwo! — Mówiąc to cmoknęła głośno Baranka i wetknęła go w ramiona Antei, po czym zawróciła do domu. Przygotowany już miała cały stos fartuszków, które szła na maszynie z niezrównaną szybkością.

Baranek wydawał radosne okrzyki, wołał „na śpaciej Anteją”, pokrzykując wesoło, dosiadał grzbietu Roberta, próbował nakarmić Janeczkę kamykami i w ogóle taki był milutki, że nikt doprawdy nie mógł na niego narzekać.

Janeczka pełna, jak zwykle, entuzjazmu wystąpiła z projektem, aby w którymś tygodniu poświęcić wszystkie życzenia na zapewnienie przyszłości Baranka. W związku z tym zaczęła przypominać sobie, jakie to dary przynoszą w bajkach dobre wróżki nowo narodzonym książątkom. Ale Antea zwróciła jej rzeczowo uwagę, że spełnione przez duszka życzenia trwają tylko do zachodu słońca, więc w żaden sposób nie można za ich pomocą zapewnić przyszłości Baranka. Wobec tego Janeczka przyznała, że istotnie najlepszym życzeniem będzie pięćdziesiąt funtów w dwuszylingowych monetach, z tym jednak, żeby za trzy i pół funta kupić Barankowi konia na biegunach, takiego jaki był na wystawie jednego z wielkich sklepów londyńskich.

Uchwalono po drodze, że gdy tylko wypowiedzą życzenie i dostaną pieniądze, poproszą pana Crispina o zawiezenie ich jeszcze raz do Rochester, przy czym, jeśli się nie da inaczej, zabiorą ze sobą Martę. A przed wyjazdem przygotowują sobie dokładną listę tych wszystkich rzeczy, jakie naprawdę chcą kupić.

Zadowolone z powziętych decyzji i pełne najlepszych nadziei dzieci weszły na drogę wiodącą wprost do kamieniołomu. Nagle, gdy znalazły się już między kopcami żwiru, przyszła im do głowy pewna myśl, która pokryłaby ich opalone policzki błądzą, gdyby to były dzieci z książki. Ponieważ jednak były dziećmi żywymi, zatrzymały się tylko i popatrzyły na siebie z dość głupawym i zakłopotanym wyrazem twarzy. Bo teraz dopiero uprzytomniły sobie, jak to było wczoraj: po wypowiedzeniu życzenia o niezmiernym bogactwie duszek, przygotowując się, by napełnić cały kamieniołom milionami złotych, błyszczących dukatów, kazał dzieciom jak najprędzej uciekać z kamieniołomu, gdyż inaczej mogłyby zostać zagrzebane pod tą górą skarbów. Dzieci rzeczywiście uciekły i nie zdążyły

oznaczyć kamieniami tego miejsca, gdzie chował się duszek. Dlatego właśnie teraz tak im zrzędył miny.

— To nic nie szkodzi — powiedziała Janeczka, przekonana, jak zwykle, że wszystko się uda — zaraz go odnajdziemy.

Ale łatwo to było powiedzieć, natomiast trudniej wykonać. Szukali, szukali, znaleźli wreszcie swoje łopatki, ale nigdzie nie mogli znaleźć duszka Piaskoludka.

W końcu usiedli, aby chwilę wypocząć. O, wcale nie dlatego, aby byli zmęczeni czy zniechęceni! Nic podobnego! Po prostu Baranek uparł się, żeby go puścić na ziemię. A wiadomo, że to bardzo trudno szukać czegoś w piasku, jeśli jednocześnie trzeba uważać na wiercącego się bez przerwy brzdąca. Kiedy będziecie następnym razem nad morzem, poproście kogoś, aby rzucił w piasek wasz ulubiony scyzoryk, a potem spróbujcie go szukać zabierając ze sobą małego braciszka, a na pewno przekonacie się, że mam całkowitą rację.

Baranek, jak to słusznie powiedziała Marta, czuł się znakomicie na świeżym powietrzu i podskakiwał jak konik polny. Starsze rodzeństwo marzyło o tym, aby raz jeszcze omówić życzenia, które wypowiedzą, kiedy (i jeżeli) odnajdą Piaskoludka. Ale Baranek chciał się tylko bawić.

Wypatrzył odpowiednią chwilę i sygnął Antei w twarz pełną garść piasku, a potem nagle zakopał własną głowę w piasek, wymachując w powietrzu tłustymi nóżkami. Piasek, oczywiście, dostał mu się do oczu, jak poprzednio do oczu Antei, i malec ryknął na cały głos.

Przewidujący Robert, licząc się z pragnieniem, które zawsze go nawiedzało, zabrał ze sobą sporą butelkę lemoniady. Teraz musiał na gwałt ją odkorkować, był to bowiem jedyny płyn, jaki się znalazł pod ręką, a trzeba było koniecznie przemyć oczy Baranka. Naturalnie od lemoniady oczy strasznie go piekły i dzieciak darł się, jakby go obdzierano ze skóry. Tak przy tym fikał nóżkami, że w końcu wyrzucił butelkę i cała jej zawartość wylała się w piasek. Lemoniada przepadła i Robert musiał obejść się smakiem.

Zazwyczaj Robert był niesłychanie cierpliwy w stosunku do braciszka. Tym razem jednak nie mógł się już opanować.

— „Każdy chciałby go mieć!” — zawołał. — Akurat! Tylko że nikt nie chce! I sama Marta też nie chce, bo też go nie trzyma przy sobie. I nie ma się co dziwić, bo to nieznośny bachor. Chciałbym tylko, żeby choć raz tak było naprawdę, żeby każdy chciał go mieć! Mielibyśmy przynajmniej choć trochę spokoju.

Baranek przestał się wydzierać, bo Janeczce przypomniał się nagle jedyny gwarantowany sposób wydobywania tych najrozmaitszych rzeczy, które tak często małym dzieciom wpadają do oczu. Po prostu robi się to własnym wilgotnym językiem. I zabieg jest bardzo łatwy, jeśli ktoś kocha dziecko naprawdę tak, jak powinien.

Zapadła więc chwila milczenia. Robert wstydził się teraz swojego wybuchu złości, a inni także nie byli tym zachwyceni. Możecie nieraz zauważyć ten rodzaj milczenia, ilekroć ktoś powie coś, czego nie powinien był mówić. Nikt wtedy się nie odzywa czekając na objaw skruchy u winowajcy.

Nagle odgłos wypuszczonego oddechu przerwał milczenie. Wszystkie głowy odwróciły się jednocześnie, i to w jednym kierunku, jakby do każdego nosa był przywiązany sznurek, a ktoś pociągnął za wszystkie sznurki naraz.

Wszystkie dzieci spostrzegły teraz Piaskoludka. Siedział tuż koło nich z wyrazem twarzy, który u niego oznaczał uśmiech.

— Dzień dobry — powiedział — przyszło mi to z zupełną łatwością! Teraz już wszyscy będą się o niego rozbijać.

— Co z tego? — odparł krzywiąc się Robert, zły na siebie samego i na wszystkich, wiedząc, że zachował się jak świnka. — Co z tego, że gdzieś tam ktoś będzie się o niego rozbijał, kiedy tutaj takich amatorów nie ma.

— Niewdzięczność — rzekł duszek — jest okropną wadą.

— Nie jesteśmy wcale niewdzięczni — wtrącała się szybko Janeczka — ale my naprawdę nie chcieliśmy wypowiadać takiego życzenia. Robertowi tylko się tak wypsnęło. Czy mógłbyś zabrać to życzenie z powrotem i pozwolić nam wymienić je na inne?

— Nie — odparł krótko Piaskoludek — tego się nie da zrobić. Żadnych zwrotów i wymian. Powinniście zawsze dobrze się zastanowić, nim wypowiedzie swoje życzenie. Był kiedyś mały chłopczyk, który poprosił o plezjozaura zamiast o ichtiozaura, bo nie chciało mu się zapamiętać nawet takich łatwych nazw. Więc jego ojciec strasznie się na niego pogniewał i kazał mu iść spać jeszcze przed podwieczorkiem. A na drugi dzień nie pozwolił mu pójść razem z innymi dziećmi, które pływały śliczną przedhistoryczną łódką, bo właśnie były doroczne międzyszkolne zawody. I ten chłopczyk przyszedł tu do mnie raniutko, tupął swoimi przedhistorycznymi nóżkami i powiedział, że chciałby umrzeć. No i naturalnie zaraz tak się stało i był umarły.

— Ojej! To okropne! — zawołały dzieci.

— Oczywiście tylko do zachodu słońca — rzekł duszek Piaskoludek — ale i tego było całkiem dosyć dla jego rodziców. Ale też oberwał, kiedy ożył! Możecie mi wierzyć. Nie zamienił się w kamień — sam nie wiem dlaczego, ale musiał być jakiś powód. A swoją drogą, ci ludzie nie wiedzieli, że być umarłym to tyle, co zasnąć; potem każdy musi się gdzieś zbudzić — albo w tym miejscu, gdzie zasnął, albo w jakimś innym. Krótko mówiąc, tamten chłopczyk porządnie oberwał za swój figiel. Przez cały miesiąc nie wolno mu było zjeść ani kawałeczka megaterium, tylko ostrygi, ślimaki i inne zwyczajne rzeczy. Żadnych smakołyków!

Dzieci były całkowicie zgnębione słysząc tę straszną opowieść. Z przerażeniem patrzyły na duszka. Nagle Baranek dostrzegł, że obok niego siedzi jakiś brunatny, włochaty stworek.

— Puff, puff, puff, kizia — powiedział i chwycił go rączką.

— To nie kotek, Baranku! — rzekła Antea, a Piaskoludek odskoczył gwałtownie w tył.

— Ojej, mój lewy wąsik! — zawołał. — Trzymajcie go, niech mnie nie dotyka. Jest cały mokry.

Sierść nastroszyła mu się z obrzydzenia. Istotnie, niebieskie ubranko Baranka było całe mokre od lemoniady.

Piaskoludek zaczął gwałtownie grzebać łapkami i nóżkami i w jednej chwili znikł, wyrzucając w górę kłęby piasku. Dzieci oznaczyły szybko to miejsce małym kręgiem kamieni.

— Będziemy chyba wracać — rzekł Robert. — Naprawdę, strasznie mi przykro. Tyle tylko, że choć to głupie życzenie, ale przynajmniej nie będziemy z tym mieli żadnych kłopotów. A za to wiemy, gdzie jutro szukać duszka.

Reszta dzieci okazała szlachetność charakterów. Nikt Robertowi nie robił żadnych wymówek. Cyryl wziął na ręce Baranka, który teraz już uspokoił się zupełnie, po czym dzieci ruszyły w kierunku domu.

Dróżka z kamieniołomu prowadzi wprost do szosy. Gdy doszli do skrzyżowania, zatrzymali się i Robert wziął od Cyryla Baranka. W tej samej chwili ukazał się na drodze bardzo elegancki powóz ze stangretem i lokajem na koźle. W powozie siedziała jakaś pani — widocznie wielka dama, nosiła bowiem białą koronkową suknię z czerwonymi wstążkami, w rękę miała czerwono-białą parasolkę, a na kolanach trzymała białego, puchatego pieska z czerwoną wstążeczką na szyi. Spojrzała na dzieci, popatrzyła na Baranka i uśmiechnęła się do niego. Nikogo z dzieci to nie zdziwiło, gdyż Baranek, jak mówiły służące, „dał się lubić”. Cała czwórka grzecznie skinęła rękami w stronę nieznanym pani w przekonaniu, że ta zaraz odjedzie dalej. Ale pani nie odjechała. Przeciwnie, kazała stangretowi zatrzymać się. Kiwnęła na Cyryla, a kiedy chłopiec podszedł do powozu, rzekła:

— Ach, co za prześliczne dziecko! Tak bym chciała mieć je na własność! Czy myślisz, chłopczyku, że jego mamusia miałaby coś przeciwko temu?

— Miałaby bardzo dużo przeciwko temu — wtrąciła krótko Antea.

— Oo! Ale ja bym go wychowała w niesłychanym przepychu. Jestem lady Chittenden, może widzieliście moją fotografię w gazetach? Pisali nawet, że jestem wielką piękną. Ale to oczywiście nonsens. W każdym razie...

Otworzyła drzwiczki powozu i zeskoczyła na ziemię. Miała nadzwyczajne wprost pantofelki na czerwonych obcasach i ze srebrnymi sprzączkami.

— Pozwólcie mi go potrzymać chwileczkę — powiedziała. Po czym wzięła Baranka na ręce i trzymała go bardzo niezdarnie, gdyż nie umiała obchodzić się z dziećmi.

I nagle wskoczyła do powozu z małym w ramionach, zatrzasnęła drzwiczki i krzyknęła stangretowi:

— Jazda!

Baranek rozwrzeszczał się, biały piesek zaczął szczekać, a stangret sam nie wiedział, co robić.

— Jazda! — powtórzyła biało-czerwona pani. Stangret ruszył, bo, jak później powiedział, nie chciał utracić posady, więc co miał zrobić?

Nasza czwórka spojrziała po sobie i nie namyślając się długo, rzuciła się w pogoń za powozem. Wytworny zaprzęg pędził zapyłoną drogą, a tuż za nim gnali co tchu braciszkwowie i siostrzyczki Baranka.

Baranek darł się ile sił w płucach, aż wreszcie jego krzyki przeszły stopniowo w czkawkę, najpierw głośną, potem coraz cichszą.

Wreszcie mały zasnął.

Powóz ani na chwilę nie zmniejszył szybkości i cztery pary nóg pędzących za nim w kurzu odczuwały coraz bardziej zmęczenie. Dzieci gnały już resztkami sił, gdy powóz zatrzymał się przed bramą wspaniałego parku. Przykucnęły z tyłu pojazdu, a biało-czerwona pani wysiadła. Spojrzała na Baranka śpiącego na siedzeniu i zaczęła się zastanawiać.

— Kochane maleństwo, nie chcę go budzić — i weszła do stojącego przy bramie domku odźwiernego. Tymczasem stangret i lokaj zeskoczyli z kozła i pochylili się nad uśpionym Barankiem.

— Śliczny chłopaczek — rzekł stangret — chciałbym, żeby był mój.

— Ale on wcale by na to nie miał ochoty — odparł z przekąsem lokaj. — Za ładny dla ciebie.

Stangret udawał, że tego nie słyszy.

— Nie rozumiem, co jej się stało — powiedział — doprawdy nie mam pojęcia! Przecież ona nie cierpi dzieci. Własnych nie ma, a cudzych nie może znieść.

Dzieci, przycupnięte w kurzu z tyłu powozu, zamieniły ze sobą wymowne spojrzenia.

— Wiesz co — odezwał się stangret, jakby powziął jakiś zamiar — schowam tego malca w krzakach, a jej powiem, że zabrali go braciszkwowie. A potem wrócę po niego.

— Nie, nie wrócisz — odparł lokaj. — Ten dzieciak tak mi się spodobał jak jeszcze żaden. Jak już ktoś ma go mieć, to chyba tylko ja!

— Stul pysk i nie mądrzyj się! — krzyknął stangret. — Nie potrzeba ci żadnych dzieci! A zresztą, czy ci nie wszystko jedno które? Ja to co innego. Ja jestem żonaty i znam się na dzieciach. Wystarczy, że popatrzę, i wiem, czy jest pierwsza klasa. A tego malca biorę do siebie i szkoda twojego gadania.

— Myślałem — rzekł drwiąco lokaj — że masz ich już dosyć w domu. Masz przecież Alfreda i Alberta, Luizę i Wiktora, Helenę i jeszcze jedno, już nie pamiętam, jak się...

Stangret uderzył lokaja w szczękę — lokaj uderzył stangreta w piersi — i już w następnej chwili obydwaj miotali się wokół powozu, okładając się pięściami. Biały piesek wskoczył na kozioł i szczekał jak oszalały.

Cyryl, podskakując jak żaba, przesunął się wśród tumanów kurzu na drugą stronę powozu, dalszą od pola bitwy. Ostrożnie otworzył drzwiczki — tamci dwaj zanadto zajęci byli walką,

aby cokolwiek spostrzec — pochwycił Baranka w ramiona i ciągle jeszcze skulony pobiegł ze śpiącym braciszkiem w kierunku ścieżki prowadzącej do lasu. Reszta czwórki też wkrótce tam się znalazła. Ukryci wśród młodych dębów, kasztanów i leszczyny, osłonięci gąszczem wysokich rozkrzewionych paproci, poczekali w lasu, aż kłótnia stangreta z lokajem ucichła zgłuszona gniewnymi okrzykami czerwono-białej pani.

Wreszcie, po długich i skrzętnych poszukiwaniach, powóz odjechał.

— Ładny kwiat! — wykrzyknął Cyryl oddychając z ulgą, gdy ucichł już turkot kół. — Każdy chce teraz go mieć, to jasne! Ten wstrętny duszek znowu nas wpakował! Ładnie nas urządził! W każdym razie musimy czym prędzej odnieść dzieciaka do domu.

Wyjrzeni na drogę i widząc, że pusta jest na prawo i pusta na lewo, wyszli z lasu. Antea niosła śpiącego Baranka i gdy znaleźli się na bezludnej drodze, wstąpiła w nich odwaga.

Ale nowe przygody szły już za nimi w ślad. Najpierw dopędził ich chłopak z wiązką chrustu na grzbiecie. Rzucił chrust do rowu, popatrzył na Baranka i zaoferował się, że go poniesie. Tym razem Antea nie dała się nabrać i dzieci poszły zwartą gromadką naprzód. Ale chłopak podążał za nimi i Cyryl z Robertem w żaden sposób nie mogli się go pozbyć, dopóki dwukrotnie nie dali mu posmakować swych pięści. Następnie spotkali jakąś małą dziewczynkę w fartuszkach w biało-niebieską kratkę. Szła za nimi dobre ćwierć mili, napraszając się bez przerwy, by jej dali „to śliczne bobo”. Pozbyli się jej dopiero grożąc, że ją przywiążą chusteczkami do drzewa w lesie. „A jak tylko zrobi się ciemno, przyjdą niedźwiedzie i zjedzą cię” — dodał z powagą Cyryl. Wtedy dopiero dziewczynka z płaczem uciekła. Wobec takich doświadczeń rodzeństwo Baranka, który stał się przedmiotem pożądania dla wszystkich, postanowiło, że będą chować się w krzaki, ilekroć zobaczą, że ktoś się zbliża. W ten sposób zapobiegli wybuchowi niewczesnej miłości do Baranka ze strony pracującego na drodze kamieniarza, mleczarza i jakiegoś człowieka wiozącego beczkę z naftą.

Byli już blisko domu, gdy wydarzyła im się najgorsza przygoda. Na zakręcie natknęli się niespodzianie na dwa wozy z namiotem i cały obóz cygański rozsiadły przy drodze. Wozy były obwieszane trzciniowymi krzesłami i kołyskami, miotełkami z piór i kwiatami w doniczkach. Gromadka obszarpanych dzieci pracowicie robiła babki z brudnego piasku na drodze, dwóch mężczyzn z fajkami w zębach leżało na trawie, a trzy kobiety prały bieliznę w starym, obłupanym cebrze.

W jednej chwili wszyscy Cyganie — mężczyźni, kobiety i dzieci — otoczyli Anteę i Baranka.

— Proszę mi dać go potrzymać, panienczko — powiedziała jedna z Cyganek o twarzy koloru mahoni i pokrytych pyłem włosach. — Nie zrobię mu krzywdy, temu aniołkowi, włoski z główki mu nie spadnie.

— E, już ja go poniosę — odparła Antea.

— Niech go panienka da mnie — rzekła druga Cyganka o takiej samej brązowej twarzy i tłustych, kędzierzawych włosach, czarnych jak skrzydło kruka. — Mam dziewięcioro własnych.

— Nie — odmówiła mężnie Antea, choć serce biło jej tak mocno, że aż dławilo w gardle.

Wtem jeden z mężczyzn wysunął się naprzód.

— Niech mnie kule biją — zawołał — jeśli to nie mój własny, oplakiwany synek! Czy ma znamię na lewym uszku, duże jak truskawka? Nie? No, to mój własny dzieciak ukradziony, kiedy był jeszcze przy piersi. Oddaj go, to nie będziemy cię ciągać po sądach.

Wyrwał Baranka z ramion Antei, która poczerwieniała z wściekłości i wybuchła płaczem.

Reszta dzieci stała nieruchomo. To, co się teraz działo, było najokropniejszą rzeczą, jaka im się kiedykolwiek w życiu zdarzyła. Nawet przygoda z policją w Rochester była niczym w porównaniu z tym. Cyryl był biały jak opłatek, ręce mu drżały, ale dał znak pozostałym, aby się nie odzywali. Milczał przez chwilę w zamyśleniu. Wreszcie powiedział:

— Nie chcemy go zatrzymywać, jeżeli to wasze dziecko. Ale widzicie, on już się do nas przyzwyczaił. Naturalnie, oddamy go wam, jeżeli tego chcecie...

— Nie, nie! — zawołała Antea, a Cyryl spiorunował ją wzrokiem.

— Pewnie, że go chcemy — powiedziały chórem kobiety usiłując wyrwać małego z rąk Cygana, który go zabrał. Baranek wrzeszczał wniebogłosey.

— Och, coś mu się stało! — krzyknęła Antea. Lecz Cyryl wściekłym szeptem syknął do niej:

— Będziesz ty cicho?! Możesz mi zaufać — dodał już ciszej. — Słuchajcie — zwrócił się do Cyganki — mały robi się zupełnie nieznośny, jeżeli kogoś nie zna. Więc najlepiej będzie, jak zostaniemy tu z wami, póki się do was nie przyzwyczai; a kiedy już przyjdzie pora, żeby iść spać — daję wam słowo honoru, że sobie stąd pójdziemy i zostawimy go z wami, tak jak tego chcecie. A kiedy my sobie pójdziemy, będziecie mogli sami już postanowić, kto z was go zatrzyma; bo przecież wszyscy go chcecie mieć.

— Dobrze, można tak zrobić — rzekł Cygan trzymający Baranka. Usiłował przy tym rozluźnić czerwoną chustkę, którą miał na szyi, a którą Baranek pochwycił i tak mocno zaciskał, że Cygan ledwo już dyszał. Cyganki zaczęły naradzać się szeptem, a Cyryl, korzystając z tego, również szeptem powiedział do swoich:

— Słońce zajdzie, a wtedy zabierzemy go z powrotem.

Słyszając to, rodzeństwo zaczęło wpatrywać się w Cyryla z podziwem i zachwytem dla jego sprytu i zdolności przewidywania.

— Niech pan go teraz puści — zwróciła się do Cygana Janeczka. — Usiądziemy z nim tutaj i będziemy go bawić, aż się do was przyzwyczai.

— A co będzie z obiadem? — zapytał nagle Robert. Dzieci spojrzały na niego z pogardą.

— Także pomysł! Żeby się troszczyć o twój głupi obiad, kiedy twój bra... kiedy Baranek... — Janeczka zapłatała się, a Robert mrugnął na nią znacząco i ciągnął dalej:

— Nie macie chyba nic przeciwko temu — zwrócił się do Cyganów — że skoczę do domu po obiad. Zaraz będę z powrotem, przyniosę go tutaj w koszyczku.

Rodzeństwo popatrzyło na niego z wyniosłą pogardą nie domyślając się jego ukrytych zamiarów. Ale Cyganie odgadli je natychmiast.

— Tak — powiedzieli — żebyś naprowadził tutaj policję i nakłamał, że to wasze dziecko, a nie nasze! Nie ma głupich!

— Jeżeli jesteś głodny — rzekła jasnowłosa Cyganka, zresztą całkiem uprzejmie — to możesz zjeść razem z nami... Słuchaj, Lew, to słodkie dzieciątko udusi się chyba z płaczu. Daj go lepiej panience, niech spróbuje jakoś przyzwyczaić go do nas.

Tak więc Baranek wrócił do Antei; ale Cyganki otaczały ich tak zwartym kołem, że mały nie przestawał wrzeszczeć. Wreszcie odezwał się Cygan z czerwoną chustką:

— Ej, ty, Faraon, rozpal ognisko! A wy, kobiety, zajmijcie się garnkami. Dajcie małemu pokój! — Cyganki bardzo niechętnie wróciły do swoich zajęć, a dzieci z Barankiem rozsiadły się na trawie.

— Jak słońce zajdzie, wszystko będzie w porządku — szepnęła Janeczka. — Tylko słuchajcie! Co będzie, jeśli Cyganie strasznie się rozszoszczą, gdy oprzytomnieją? To byłoby okropne! Mogą nas pobić albo przywiązać do drzew i tak zostawić czy coś w tym rodzaju.

— Nie, tego nie zrobią — rzekła Antea. — (Oj, Baranku, przestańże nareszcie, uspokój się, jesteś przecież z Panteją, kochanie!) Oni są w gruncie rzeczy przyzwoici ludzie, bo inaczej nie daliby nam obiadu.

— Obiadu? — spytał Robert. — Nie tknę ich wstrętnego obiadu. Udławiłbym się!

Rodzeństwo początkowo myślało tak samo. Ale kiedy obiad był gotów — a był to mocno spóźniony obiad, już w porze podwieczorku — byli niezmiernie wdzięczni za wszystko, co dostali. A dostali po kawałku duszonego z cebulą królika i jeszcze jakiegoś ptaszka, trochę podobnego do kurczęcia, ale bardziej łykowatego i o ostrzejszym smaku. Baranek dostał

bułeczkę rozmoczoną w ciepłej wodzie i posypaną cukrem. Bardzo mu to smakowało i siedząc na kolanach Antei pozwolił karmić się dwom Cygankom.

Upalne popołudnie wlokło się w nieskończoność, a przez cały ten czas Robert, Cyryl, Antea i Janeczka musieli zabawiać Baranka pod czujnym okiem Cyganów.

Zanim cienie zgęstniały i wydłużyły się, Baranek rzeczywiście oswoił się z jasnowłosą Cyganką i nawet zgodził się, żeby Cyganiątka pocałowały go w łapkę. A wreszcie podniósł się i uklonił grzecznie jak dobrze wychowany młodzieniec. Cały obóz był nim zachwycony, a i rodzeństwo Baranka z pewną przyjemnością przyglądało się jego popisom wobec tak wdzięcznej i zachwyconej publiczności. Ale cała czwórka nie przestawała marzyć, by słońce już zaszło.

— To dosyć głupio bez przerwy marzyć o zachodzie słońca — szepnął Cyryl. — Chciałbym, żebyśmy nareszcie chcieli czegoś naprawdę rozsądnego; żebyśmy wreszcie mieli jakieś pozytywne życzenie i żeby zachód słońca martwił nas zamiast cieszyć.

Cienie stawały się coraz dłuższe, aż wreszcie nie było już poszczególnych cieni, tylko wszystko zlało się w jeden łagodny i jasny zmierzch, który otulił świat. Słońca nie było widać, bo skryło się za wzgórek, ale jeszcze właściwie nie zaszło.

O tym, kiedy słońce ma zachodzić, decydują ci sami ludzie, którzy wydają rozporządzenie o zapalaniu latarek rowerowych. I słońce musi się tego trzymać tak samo jak wszyscy.

Ale Cyganie zaczęli się niecierpliwić.

— Słuchajcie, młodziaki — rzekł Cygan w czerwonej chustce — już czas, żebyście poszli spać! Dzieciak już przyzwyczał się do nas, więc dawajcie go tutaj, a sami możecie się zabierać.

Kobiety i dzieci zaczęły tłoczyć się wokół Baranka, wyciągając ręce i pstrykając zachęcająco palcami; ich twarze promieniały zachwytem i uśmiechały się przyjaźnie. Ale wszystko to nie zdołało skusić niewzruszonego Baranka. Rączkami i nóżkami uczepił się Janeczki, która go teraz trzymała, i wydał z siebie najbardziej ponury wrzask, na jaki mógł się zdobyć.

— Tak to nie pójdzie — rzekła jedna z kobiet. — Niech panienka nam odda małego, a już my same go uspokoimy.

A słońce wciąż jeszcze nie zachodziło.

— Opowiedz im, jak trzeba go układać do snu — podszepnął jej Cyryl. — Mów zresztą, co chcesz, byle zyskać »a czasie. I żebyśmy mogli od razu czmychnąć, jak tylko to głupie słońce zdecyduje się wreszcie zejść.

— Ależ tak, naturalnie, już go wam oddajemy — zaczęła Antea starając się mówić jak najwolniej — chciałabym tylko wytłumaczyć wam przedtem, że zawsze wieczorem kąpiemy go w ciepłej wodzie, a rano myjemy go zimną, a do kąpieli najlepiej mu dać gumową laleczkę, choć może to być także królik z celuloиду; a kiedy myjemy go w zimnej wodzie, to stawiamy przy nim porcelanowego chłopczyka, klęczącego na czerwonej poduszce; i trzeba mu co dzień dokładnie umyć uszka, choć bardzo tego nie lubi: a jeżeli przypadkiem mydło dostanie mu się do oczek, to Baranek...

— Bajanek ma ocki — powiedział Baranek, który tak się zasłuchał w słowa Antei, że aż przestał wrzeszczeć.

Cyganka roześmiała się.

— Mówi panienka, jakbym ja nigdy w życiu nie kąpała dziecka! — rzekła. — Już ja sobie poradzę, tylko proszę go oddać. Chodź do Melii, kochanie.

— Ić siobie! — zaprotestował natychmiast Baranek.

— Tak, tak — ciągnęła Antea — ale to już muszę koniecznie pani powiedzieć, jak jest z jego jedzeniem. Więc co rano na śniadanie dostaje zawsze albo jabłko, albo banana i bułeczkę rozmoczoną w mleku, a na podwieczorek to albo jajeczko na miękko, albo...

— Wychowałam ich dziesięcioro — przerwała Antei czarnowłosa Cyganka — i mam jeszcze kilkoro na wychowaniu. Więc już dosyć tego, panienko, i proszę mi go oddać. Na pewno będzie mu u mnie dobrze.

— Ale myśmy jeszcze nie postanowili, czyj on będzie, Estero! — zawołał jeden z mężczyzn.

— W każdym razie nie będzie Estery, która już i tak ma siedmioro.

— To jeszcze wcale nie powiedziane, że nie będzie — odezwał się mąż Estery.

— A ja to nie mam już nic do powiedzenia? — wykrzyknął mąż Melii.

— A ja? — wtrąciła się nagle jeszcze jedna Cyganka. — Ja nie mam męża ani dzieci, nie mam kogo doglądać — to ja powinnam go dostać.

— Stul gębę!

— Sam stul gębę!

— Nie pyskuj! Nie będziesz się tu rządził!

Wszyscy wpadali w coraz większą złość. Ciemne twarze Cyganów przybierały wygląd coraz bardziej zaczepny i groźny.

Nagle zaszła w nich jakaś dziwna zmiana — jakby niewidzialna gąbka zmasała z nich wszelką złość i zaczepność, pozostawiając pustkę.

Nasza czwórka spostrzegła, że słońce naprawdę już zaszło. Lecz dzieci bały się ruszyć. A Cyganie byli tak oglupiali z powodu niewidzialnej gąbki, która wymazała z ich serc wszystkie uczucia z ostatnich kilku godzin, że nie mogli wymówić ani słowa.

Nasi przyjaciele aż wstrzymali oddech ze strachu. Bo co będzie, jeśli Cyganie — kiedy już odzyskają zdolność mówienia — wpadną teraz we wściekłość, że sami siebie wystrychnęli na takich dudków?

Chwila była naprawdę trudna. Nagle Antea, w przystępie odwagi, podała Baranka Cyganowi w czerwonej chustce.

— Proszę, niech go pan weźmie! — zawołała.

Tamten odsunął się.

— Ja bym nie chciał odbierać go panience — odparł niepewnym głosem.

— Ja już się namyśliłem — zawołał inny Cygan — i mogę go wam odstąpić.

— Tak prawdę mówiąc — rzekła Estera — to ja mam dosyć kłopotów z własnymi.

— Ale popatrzcie, jaki on jest milutki — powiedziała Melia. Ona jedna w dalszym ciągu spoglądała czule na popłakującego Baranka.

— A mnie się zdaje — odezwała się młoda kobieta bez męża i dzieci — że musiałam mieć udar słoneczny. Ja przecież wcale go nie chcę.

— Więc czy możemy go zabrać ze sobą? — spytała Antea.

— Dobrze już, dobrze — rzekł serdecznie Faraon — i nie mówmy już o tym!

Po tych słowach wszyscy Cyganie zabrali się z jakimś przesadnym zapałem do wyporządkowania obozu na nocleg. Wszyscy z wyjątkiem Melii, która poszła z naszą czwórką aż do zakrętu drogi i tam zatrzymała się mówiąc:

— Niech mi panienka pozwoli go pocałować. Sama nie wiem doprawdy, co nas wszystkich napadło, że zachowywaliśmy się tak głupio. My, Cyganie, nie kradniemy dzieci, choć wam opowiadają różne takie historyjki, kiedy jesteście niegrzeczni. Mamy przecież dosyć swoich własnych. Tylko że ja moje dziecko straciłam.

Pochyliła się nad Barankiem, ten zaś spojrział jej w oczy, wyciągnął do niej tłustą i miękką łapkę i nagle pogłaskał ją po twarzy.

— Biedna, biedna! — zawołał. Po czym dał się pocałować Cygance, a co więcej, sam z kolei pocałował ją w brunatny policzek. Bardzo ładny był ten pocałunek, jak zawsze u Baranka, który nie ślinił, jak to robią niektóre dzieci. Cyganka dotknęła palcem jego czoła, piersi, rąk i nóg, jak gdyby coś pisała. Następnie przemówiła w te słowa:

— Niech będzie odważny i niech ma głowę mocną do myślenia i serce mocne do kochania, i ręce mocne do pracy, i niech ma nogi mocne do chodzenia, i zawsze niech wraca zdrowy do swojego domu.

W końcu wymówiła jeszcze coś w jakimś dziwnym, niezrozumiałym języku, przypatrując się Barankowi w milczeniu.

— Muszę się już pożegnać! — zawołała nagle. — Cieszę się, że was poznałam. — Odwróciła się i skierowała swe kroki do tego, co było jej domem — namiotu na skraju drogi.

Dzieci patrzyły za nią, aż zniknęła im z oczu. Wtedy odezwał się Robert:

— Ależ niemądra! Nawet zachód słońca nie uporządkował jej w głowie. Jakie głupstwa gadała!

— Wiesz co — odparł Cyryl — a mnie się zdaje, że zachowała się bardzo przyzwoicie.

— Przyzwoicie?! — wykrzyknęła Antea. — To było nawet bardzo ładnie z jej strony. To bardzo miła kobieta.

— Okropnie miła — zawtórowała Janeczka. — Chciałabym jeszcze kiedyś ją spotkać.

Teraz już nie zwlekając poszli do domu — bardzo spóźnieni na podwieczorek i nieprawdopodobnie spóźnieni na obiad. Marta oczywiście porządnie ich wylażała. Ale Barankowi nic już nie groziło.

— Wiecie co — rzekł nieco później Robert — okazuje się jednak, że i myśmy chcieli mieć Baranka tak samo jak wszyscy inni.

— Ma się rozumieć.

— Ale czy teraz, kiedy słońce zaszło, czujecie coś innego?

— Nie — odparła reszta rodzeństwa chórem.

— W takim razie to zostało w nas i po zachodzie.

— Nie, nie zostało — wyjaśnił Cyryl. — W nas życzenie nic nie zmieniło. W głębi serca zawsze chcieliśmy, żeby był z nami; tylko dziś rano zrobiły się z nas takie świnki — a zwłaszcza z ciebie, Robert.

Robert zniósł ten zarzut z zadziwiającym spokojem.

— Dziś rano byłem zupełnie pewien, że mam go dosyć — powiedział. — Może i byłem świnką. Ale wszystko zaczęło wyglądać całkiem inaczej, kiedy się nam zdawało, że możemy go stracić.

ROZDZIAŁ IV SKRZYDŁA

Następnego dnia padał deszcz i nie można było wyjść na dwór, a cóż dopiero niepokoić Piaskoludka tak wrażliwego na wilgoć, że jeszcze teraz po tysiącach lat odczuwał ból w lewym wąsiku, który kiedyś zamoczył. Dzień dłużył się okropnie i dopiero późnym popołudniem dzieci wpadły raptem na pomysł pisania listów do mamy. Robert przy tej okazji wywrócił kałamarz — wyjątkowo duży i wyjątkowo pełny — wprost na biureczko Antei i akurat w to miejsce, gdzie różne, starannie posklejane kawałki tektury, odpowiednio pomalowane, tworzyły to, co Antea nazywała tajną skrytką. Nie była to ściśle mówiąc wina Roberta. Miał po prostu takiego pecha, że sięgnął po kałamarz stojący na półeczce biurka właśnie w chwili, kiedy Antea je otworzyła. A ta chwila była akurat tą samą chwilą, w której Baranek wlaź pod biurko i rozbił swego gwizdzącego ptaszka. W ptaszku tkwił ostro zakończony kawałek drutu, no i naturalnie Baranek wbił ten drut w nogę Roberta. Robert odskoczył i tak, bez niczyjej złej intencji, tajna skrytka została zalana atramentem. Jednocześnie struga atramentu popłynęła na nie dokończony list Antei.

W rezultacie list wyglądał mniej więcej tak:

Kochana Mamusiu! Mam nadzieję, że dobrze Ci się powodzi i że babcia lepiej się czuje. Wczoraj...

Tu następuje potop atramentowy, a u spodu te słowa pisane ołówkiem:

To nie ja wywróciłam kałamarz, ale sprzątanie zabrało tyle czasu, że już czas iść na pocztę, więc nie mogę więcej napisać. Twoja bardzo Cię kochająca córka

Antea.

List Roberta nie był nawet zaczęty. Rozmyślał o tym, co ma napisać, a przez ten czas rysował na bibule okręt. Ale kiedy kałamarz się wywrócił, musiał pomagać Antei w uprzątnięciu biurka i obiecał, że zrobi dla niej nową tajną skrytkę, lepszą niż tamta. A wtedy Antea powiedziała: „W takim razie zrób ją teraz”. Więc Robert zabrał się do roboty i jego list nie był jeszcze skończony, kiedy trzeba było już przyszykować pocztę dla listonosza. A tajna skrytka też nie była jeszcze gotowa.

Cyryl bardzo prędko napisał bardzo długi list, a potem zaczął budować pułapkę na ślimaki według wskazówek, które wyczytał w „Małym ogrodniku”. A kiedy trzeba było oddać pocztę, listu już nie było i nigdzie nie można go było znaleźć. Nigdy się też nie znalazł. Może zjadły go ślimaki?

Jedynie list Janeczki dotarł na pocztę. Właściwie Janeczka chciała opowiedzieć matce wszystko o piaskowym duszku imieniem Psammetych — prawdę mówiąc wszyscy zamierzali to zrobić — ale tyle czasu straciła na rozmyślanie, jak prawidłowo pisze się to imię, że już zabrakło jej czasu na porządne opowiadanie samej historii z duszkiem; a wiadomo, że nie ma sensu opowiadanie jakiejś historii, jeżeli nie zrobi się tego porządnie. Toteż Janeczka musiała się zadowolić tym:

Kochana, kochana Mamusiu! Jesteśmy grzeczni w miarę możliwości, tak jak kazałaś, a Baranek miał trochę kataru, ale Marta mówi, że to nic, tylko wczoraj rano wylał na siebie złote rybki. Kiedy poszliśmy jeszcze pierwszego dnia do kamieniołomu, to szliśmy okólną drogą, a nie zsuwając się z góry, i tam znaleźliśmy...

Całe pół godziny minęło, nim Janeczka przekonała się, że nikt z całej czwórki nie wie, jak trzeba napisać Psammetych. I nie znaleźli tego także w słowniku, choć szukali dokładnie. Wtedy Janeczka pośpiesznie zakończyła list:

...Znaleźliśmy coś dziwnego, ale już trzeba oddać listy, więc na razie kończę, bardzo Cię kochająca

Janeczka.

P.S. Gdyby jakieś Twoje życzenie mogło się spełnić, to czego byś sobie życzyła?

W tej samej chwili dała się słyszeć trąbka listonosza i Robert wybiegł na deszcz, aby zatrzymać wóz pocztowy i oddać listy. Oto dlaczego, choć wszystkie dzieci chciały opowiedzieć swojej mamusi o Piaskoludku, mamusia nie dowiedziała się o nim. A i potem wciąż się coś przydarzało takiego, że później też nie mogła się o nim dowiedzieć.

Następnego dnia przyjechał wujek Ryszard i zabrał wszystkich do Maidstone swoją bryczką — wszystkich z wyjątkiem Baranka. Wujek Ryszard był bardzo dobrym wujaszkiem. W Maidstone nakupił mnóstwo zabawek. Zabrał dzieci do sklepu i pozwolił wybierać, co tylko zechcą, nie zważając wcale na ceny i w ogóle nie stawiając żadnych niemądrych warunków, jak na przykład, że zabawki muszą być „pouczające” itd. Ludzie naprawdę mądrzy pozwalają dzieciom wybierać, co tylko zechcą, bo dzieci są zwykle głupiutkie i niedoświadczone i często całkiem niechcący wybierają rzecz naprawdę pouczającą. Tak się zdarzyło z Robertem, który w ostatniej już chwili i w wielkim pośpiechu wybrał pudełko z obrazkiem na wierzchu, przedstawiającym skrzydlate byki z ludzkimi głowami i skrzydlatych ludzi z głowami orłów. Robert myślał, że w pudełku będą zwierzęta, takie same jak na obrazku. Ale kiedy otworzył je w domu, okazało się, że jest to łamigłówka o starożytnych Asyryjczykach. Inni także wybierali w pośpiechu, ale potem długo byli zadowoleni. Cyrylowi dostał się model parowozu, a dziewczynkom lalki i na dodatek do spółki mały serwis do kawy w niezapominajki. Chłopcy mieli do spółki łuk i strzały.

Potem odbyli z wujkiem Ryszardem przejażdżkę statkiem po rzece, a wreszcie poszli wszyscy na podwieczorek do eleganckiej cukierni. Ale kiedy wrócili do domu, było już o wiele za późno na wypowiedzenie tego dnia jakiegokolwiek życzenia.

Wujkowi Ryszardowi dzieci nie opowiedziały nic o duszku. Doprawdy, nie wiem dlaczego. I dzieci same też nie wiedziały dlaczego. Ale może ktoś z was się domyśli.

Nazajutrz po tych przyjemnych odwiedzinach wujcia Ryszarda było potwornie gorąco. Ludzie, którzy postanawiają, jaka ma być pogoda, i ogłaszają to codziennie w porannych gazetach, mówili później, że był to najbardziej upalny dzień od wielu lat. Postanowili, że ma być „nieco cieplej z przelotnymi deszczami”, i rzeczywiście było naprawdę upalnie! Widocznie też pogoda była tak zajęta robieniem upału, że nie miała już czasu zadbać o przelotne deszcze, więc nie było ich wcale.

Czy wam się kiedy zdarzyło wstać o piątej rano w pogodny letni poranek? Jest wtedy bardzo pięknie. Promienie słońca są różowe i jasnożółte, a trawę i drzewa pokrywają brylanty rosy. Cienie padają w przeciwnym kierunku aniżeli wieczorem: jest to bardzo interesujące, bo ma się wrażenie, jak gdybyście nagle znaleźli się w jakimś innym świecie.

Antea obudziła się o piątej. Samej sobie kazała się zbudzić. Muszę wam opowiedzieć, jak to się robi, a że zaczekacie trochę na dalszy ciąg głównej opowieści, to nic nie szkodzi.

Otóż kładąc się spać wieczorem trzeba położyć się na wznak bardzo płasko z rękoma wyciągniętymi po bokach. Wtedy trzeba sobie powiedzieć: „Muszę się zbudzić o piątej” (czy szóstej, czy siódmej, ósmej albo dziewiątej, w ogóle o tej godzinie, którą sobie postanowiliście), a jednocześnie trzeba najpierw pochylić brodę na piersi, a potem nagle odrzucić głowę z powrotem na poduszkę. I trzeba tak zrobić dokładnie tyle razy, ile razy

jeden mieści się w tej godzinie, o której się chcecie obudzić (to bardzo łatwo obliczyć). Oczywiście wszystko zależy od tego, czy rzeczywiście chcecie wstać o piątej (albo szóstej lub siódmej czy ósmej, czy dziewiątej). Jeżeli nie zależy wam na tym naprawdę i rzeczywiście, to nic z tego wszystkiego nie wyjdzie. Ale jeśli zależy wam — to tylko spróbujcie, a przekonacie się sami. Rzecz jasna, że i w tej sprawie, jak w uczeniu się wierszy na pamięć albo płataniu figłów, decyduje praktyka i wprawa.

Antea miała doskonałą praktykę i wprawę.

Dokładnie w chwili kiedy otworzyła oczy, usłyszała, jak czarno–złoty zegar w jadalni bije jedenastą. Wiedziała więc, że jest za trzy minuty piąta. Czarno–złoty zegar zazwyczaj wybijał niewłaściwą godzinę, ale wszystko było w porządku, jeśli się wiedziało, co to oznacza. Zupełnie jak z mówieniem w obcym języku. Jeżeli się zna ten język, to można go równie łatwo rozumieć jak ojczysty. A Antea znała język zegara. Strasznie była śpiąca, ale wyskoczyła z łóżka i zanurzyła twarz i ręce w miednicy z zimną wodą. Jest to czarodziejski sposób, który usuwa wszelką chętkę powrotu do łóżka. Potem ubrała się i starannie złożyła koszulę nocną. Nie zwinęła jej w kłębek, ale dokładnie złożyła według szwów, z czego widać, jaka z niej była akuratna dziewczynka.

Następnie wzięła do ręki buciki i bez szelestu zeszła ze schodów. Otworzyła okno w jadalni i wyskoczyła na dwór. Równie łatwo byłoby wyjść drzwiami, lecz okno było bardziej romantyczne, a poza tym pozwalało uniknąć spotkania z Martą.

„Zawsze będę wstawać o piątej — pomyślała sobie Antea. — To naprawdę niezwykle uczucie”.

Serce biło jej mocno, gdyż postępowała w myśl z góry obmyślonego i własnego planu. Nie była całkiem pewna, czy plan jest taki dobry, ale była zupełnie pewna, że nie byłby wcale lepszy, gdyby opowiedziała go reszcie rodzeństwa. I jakoś jej się zdawało, słusznie czy niesłusznie, że lepiej będzie samej wykonać ten plan. Schowała buciki pod werandę, na lśniących, czerwono–żółtych kafelkach, i pobiegła prosto do kamieniołomu. Tam odszukała miejsce, w którym skrył się Piaskoludek, i odkopała go. Był bardzo z tego niezadowolony.

— Po coś to zrobiła? — zrzędził strosząc sierść jak gołębnie stroszą piórka w czasie świąt Bożego Narodzenia. — Zbudziłaś mnie w środku nocy, a w dodatku pogoda jest podbiegunowa.

— Strasznie cię przepraszam — powiedziała grzecznie Antea. Zdjęła swój biały fartuszek i owinęła nim duszka; wystawała mu tylko głowa, nietoperze uszki i oczy przypominające oczka ślimaka.

— Dziękuję ci, teraz jest lepiej — udobruchał się Piaskoludek. — Jakie macie życzenie na dzisiaj?

— Nie wiem — odparła — i o to właśnie chodzi. Bo widzisz, dotąd jakoś nigdy nie mieliśmy szczęścia. Więc chciałam o tym z tobą pomówić. Tylko czy godzisz się nie spełniać nam teraz życzeń, ale dopiero po śniadaniu? Bo strasznie trudno z tobą rozmawiać, jak się wie, że w każdej chwili może wyskoczyć jakieś życzenie, którego naprawdę się nie chce!

— Po prostu nie należy chcieć rzeczy takich, których się nie chce. Za dawnych czasów ludzie prawie zawsze wiedzieli dokładnie, czy chcą mieć na obiad megaterium, czy ichtiozaura.

— Postaram się — rzekła Antea — ale chciałabym...

— Uwóżaj! — zawołał duszek ostrzegawczym tonem i zaczął się nadymać...

— O, to nie jest żadna czarodziejska zachcianka... To tylko... po prostu bardzo byłabym ci wdzięczna, gdybyś teraz nie nadymał się tak okropnie i nie spełniał żadnego mojego życzenia, dopóki oni nie przyjdą.

— No dobrze — zgodził się wyrozumiale duszek, a jednocześnie wstrząsnął nim dreszcz.

— Czy nie zechciałbyś — spytała grzecznie Antea — czy nie zechciałbyś usiąść mi na kolanach? Będzie ci cieplej, a ja mogę jeszcze owinąć cię spódniczką. Zrobię to bardzo ostrożnie.

Antea wcale nie spodziewała się, że Piaskoludek się zgodzi. Tymczasem usiadł jej na kolanach.

— Dziękuję ci — powiedział — doprawdy robisz wrażenie myślącej osóbkki. — Rozsiadł się wygodnie, Antea zaś delikatnie i z pewnym niepokojem objęła go ramionami. — Więc o co ci chodzi? — spytał.

— O to mi chodzi — rzekła Antea — że ze wszystkich naszych życzeń zawsze wychodziło coś okropnego. I chciałabym, żebyś nam poradził. Jesteś taki stary, że musisz być bardzo mądry.

— Już od dziecka byłem bardzo hojny — odparł duszek. — Przez całe życie, z wyjątkiem godzin snu, ciągle coś komuś dawałem. Z wyjątkiem jednej rzeczy: nie chcę dawać żadnych rad.

— Bo widzisz — ciągnęła Antea — te życzenia to taka zupełnie cudowna, nadzwyczajna okazja. Jesteś naprawdę okropnie dobry i miły, i kochany, że nam je spełniasz. I dlatego to taka szkoda, że wszystko potem okazuje się na nic tylko przez to, że nie potrafimy wymyślić jakiegoś sensownego życzenia. Po prostu przez naszą głupotę.

Antea istotnie chciała tak powiedzieć, ale jednocześnie nie miała ochoty mówić tego w obecności innych. Bo powiedzieć o sobie, że jest się głupim, to co innego, a powiedzieć, że inni są głupi, to znowu całkiem inna sprawa.

— Moje dziecko — rzekł sennym głosem Piaskoludek — mogę ci tylko poradzić, żebyś trochę pomyślała, zanim coś powiesz.

— O! A mówileś, że nigdy nie dajesz rad!

— Ta się nie liczy — odparł. — Bo i tak nigdy się do niej nie zastosujesz! Zresztą, nie ma w niej nic nowego. Możesz ją znaleźć w każdym elementarzu.

— Więc powiedz mi tylko, czy myślisz, że chcieć mieć skrzydła to byłoby głupie życzenie?

— Skrzydła? — powtórzył. — Myślę, że bywają głupsze życzenia. Tylko musicie pamiętać, żeby za wysoko nie latać o zachodzie. Słyszałem kiedyś o pewnym chłopczyku z Niniwry. Był synkiem króla Sennacheryba i pewien podróżny przywiózł mu kiedyś Piaskoludka. Chłopczyk trzymał duszka w skrzynce z piaskiem na tarasie pałacu. Dla duszka było to naturalnie okropne poniżenie, mimo że chłopczyk był synem króla Asyrii. Ale pewnego dnia chłopczyk poprosił o skrzydła i oczywiście je dostał. Tylko zapomniał, że o zachodzie słońca skrzydła zamienią się w kamień. I kiedy się tak stało, runął na jednego ze skrzydlatych lwów u szczytu klatki schodowej w pałacu ojca. I możesz sobie dośpiewać, co się stało, kiedy się znalazł między swoimi skamieniałymi skrzydłami i kamiennymi skrzydłami lwów. Lepiej o tym nie myśleć! Ale sądzę, że do tego czasu chłopczyk bardzo dobrze się bawił.

— Powiedz mi — spytała Antea — dlaczego teraz nasze życzenia nie zmieniają się w kamień. Dlaczego tylko znikają?

— „Autres temps, autres moeurs”^{*} — powiedział Piaskoludek.

— Czy to po asyryjsku? — spytała Antea, która w szkole nie uczyła się żadnych obcych języków z wyjątkiem francuskiego^{*}.

— Chciałem przez to powiedzieć — ciągnął Piaskoludek — że za dawnych dni ludzie mieli zwyczajne, proste życzenia. Chcieli mieć mamuty, pterodaktyle i inne takie zwyczajne rzeczy, które bardzo łatwo zmieniają się potem w kamień. Ale dzisiaj ludzie mają bardzo szczególne i wymyślne życzenia. Zastanów się tylko, jak można zmienić w kamień życzenie,

^{*} „Inne czasy, inne obyczaje” (franc).

^{*} Jak widzicie, Antea niewiele się w szkole nauczyła.

żeby być pięknym jak dzień albo żeby każdy chciał cię mieć przy sobie? Widzisz sama, że to niemożliwe. A nie można także mieć dwóch różnych prawideł, bo wszystko by się poplątało. Więc teraz wszystko po prostu znika. Gdyby na przykład dało się zmienić w kamień życzenie, żeby być pięknym jak dzień, to trwałoby to okropnie, okropnie długo, dłużej niż twoje życie i was wszystkich. Przypomnij sobie choćby greckie posągi. Więc lepiej jest tak, jak jest. Dobranoc, bardzo mi się chce spać.

Zeskoczył z jej kolan, rozkopał gwałtownie piasek i znikł.

Antea spóźniła się na śniadanie. Przyszła w chwili, gdy Robert najspokojniej w świetle wylewał łyżkę syropu na ubranko Baranka, którego trzeba było zaraz po śniadaniu zabrać i dokładnie umyć. Bardzo to było nieładnie ze strony Roberta, ale dało dwie korzyści: Baranek był zachwycony, bo ponad wszystko lubił się lepić, a Marta była tym całkowicie zajęta, więc nasza czwórka mogła się wymknąć i pobiec do kamieniołomu bez Baranka.

Po drodze Antea, jeszcze zdyszana ucieczką, wysapała:

— Chcę wam zaproponować, żebyśmy po kolei wypowiadali życzenia. Ale pod jednym warunkiem: nie wolno wypowiadać życzeń, które nie podobają się innym. Zgoda?

— A kto będzie pierwszy? — zapytał ostrożnie Robert.

— Ja, jeżeli się zgodzicie — odparła prosząco Antea. — I już nawet coś sobie wymyśliłam — skrzydła.

Zapadło milczenie. Każde z pozostałych chciało znaleźć w życzeniu jakiś błąd. Ale było to trudne, gdyż słowo „skrzydła” wywołało w każdym dreszcz oczekiwania czegoś bardzo przyjemnego.

— Wcale nie takie głupie — rzekł wielkodusznie Cyryl; a Robert dodał:

— Doprawdy, Pantero, nie jesteś wcale taka gapa, na jaką wyglądasz.

— Wydaje mi się — rzekła Janeczka — że to cudowny pomysł. To będzie jak w jakimś prześlicznym śnie.

Dzieci z łatwością odszukały duszka. Antea powiedziała:

— Chciałabym, żeby nam wszystkim wyrosły prześliczne skrzydła do fruwania.

Piaskoludek nadał się, a w chwilę potem każde z dzieci poczuło u ramion coś bardzo dziwnego. Było to jednocześnie coś jakby ciężar i jakby ogromna lekkość. Piaskoludek przechylił głowę na bok i ślimaczymi oczkami przyglądał się każdemu z nich po kolei.

— To wcale nie takie głupie — powiedział w zamyśleniu. — Ale z ciebie, Robert, wcale nie taki aniołek, na jakiego wyglądasz.

Robert oblał się pąsem.

Skrzydła były ogromne i piękniejsze niż wszystko, co moglibyście sobie wyobrazić. Były miękkie i gładkie, a każde piórko leżało dokładnie na swoim miejscu. Piórka te były najpiękniejszych kolorów i wyglądały jak tęcza, a może jak mieniące się szkło czy też jak piana, która czasem płynie po wodzie niedobrej do picia.

— Ale czy możemy z tym latać? — spytała Janeczka stając niepewnie to na jednej, to na drugiej nodze.

— Ostrożnie — zawołał Cyryl — depczesz po moim skrzydle!

— Czy to boli? — spytała zaciekawiona Antea.

Ale nikt nie odpowiedział, gdyż Robert rozwinął skrzydła, podskoczył lekko i teraz powoli wznosił się w powietrze. Wyglądał bardzo dziwnie i niezgrabnie w swoich krótkich spodenkach — buciki zwiślały mu jakoś żałośnie i wydawały się dużo większe, niż kiedy stał na ziemi. Lecz nikt z pozostałych nie przyglądał się ani Robertowi, ani sobie; mało ich zresztą ten wygląd obchodził. Teraz już cała czwórka rozwinęła skrzydła i uniosła się w górę. Każdy z was wie oczywiście, jakie uczucie ma się przy lataniu, bo każdy latał we śnie, co wydawało się wtedy niesłychanie łatwe — tylko że nikt z was nie pamięta nigdy, w jaki sposób to się robiło. W dodatku we śnie lata się zwykle bez skrzydeł, co jest rzeczą trudniejszą i bardziej niezwykłą, ale nie tak łatwą do zapamiętania. Nasza czwórka uniosła się nad ziemią na

skrzydłach i nie możecie sobie wyobrazić, jakie to niesłychanie przyjemne uczucie, kiedy powietrze łagodnie uderza w twarz. Skrzydła po rozwinięciu okazały się niezmiernie szerokie i nasza czwórka musiała lecieć w dużej odległości jedno od drugiego, aby nie przeszkadzać sobie nawzajem w locie. No, ale takich zupełnie prostych rzeczy łatwo się nauczyć.

Wszystkie słowa angielskiego słownika, a nawet greckiego, nie wystarczyłyby dla dokładnego wytłumaczenia wam, jakie to jest uczucie, kiedy się fruwa. Więc nawet nie będę próbowała tego robić. To tylko powiem, że jeśli się patrzy na pola i lasy z góry, a nie z boku, to tak, jakby się oglądało przepiękną i żywą mapę, na której zamiast jakichś niemądrych papierowych kolorów widać prawdziwe, szumiące w słońcu lasy i zielone pola, jedno za drugim. Jak powiedział Cyryl, a nie wiem doprawdy, skąd wziął takie dziwne powiedzenie, była to „cholerna przyjemność!” Było to najbardziej cudowne i czarodziejskie ze wszystkich życzeń, jakie się dotąd dzieciom spełniły. Leciały poruszając od czasu do czasu swymi ogromnymi tęczowymi skrzydłami, to znów szybując nieruchomo między zieloną ziemią a błękitnym niebem. Minęły w locie Rochester, przeleciały kołując nad Maidstone, aż wreszcie poczuły, że są strasznie głodne. A tak się dziwnie złożyło, że spostrzegły to właśnie w chwili, gdy leciały dość nisko i przelatywały nad sadem, w którym czerwieniły się wspaniałe, dojrzałe śliwki.

Dzieci wstrzymały lot i zawisły w powietrzu. Nie mogę wam wytłumaczyć, jak to się robi, ale trochę to przypomina zatrzymywanie się w wodzie w czasie pływania. W powietrzu znakomicie to robią sokoły.

— Tak, rzeczywiście — powiedział Cyryl, choć nikt przedtem się nie odezwał. — Ale kradzież jest zawsze kradzieżą, nawet kiedy się ma skrzydła.

— Tak myślisz? — spytała z ożywieniem Janeczka. — Kiedy się ma skrzydła, to się jest ptakiem, a nikt nie ma pretensji do ptaków, że nie stosują się do dziesięciorga przykazań. Może zresztą niektórzy mają do nich pretensje, ale ptaki zawsze to robią i nikt ich za to nie łaje ani nie zamyka w więzieniu.

Śiąść na śliwie nie było wcale tak łatwo, jakby to mogło się wam wydawać, ponieważ tęczowe skrzydła były bardzo duże. W końcu jednak cała czwórka jakoś się z tym uporała, a śliwki okazały się rzeczywiście nadzwyczaj soczyste i słodkie.

Kiedy już zjedli tyle śliwek, ile tylko mogli — ale na szczęście nie wcześniej — zobaczyli krępego jegomościa, który wyglądał zupełnie tak, jakby był właścicielem śliwkowych drzew. Jegomość otworzył sobie furtkę sadu i pędził teraz z grubym kijem w rękę. Toteż dzieci zgodnie wydobyły skrzydła spomiędzy obciążonych śliwkami gałęzi i wzbily się w górę.

Jegomość zatrzymał się nagle z otwartymi ustami. Widział przedtem, jak poruszały się korony drzew, i mówił sobie w duchu: „Już ja im pokażę, tym nicponiom!” Popędził też od razu do sadu, bo chłopaki wiejskie już go przedtem nauczyły, że śliwek trzeba bardzo pilnować. Ale kiedy zobaczył tęczowe skrzydła unoszące się nad drzewami, pomyślał, że musiał całkiem zwariować, co mu się wcale a wcale nie podobało. Antea spojrzała w dół i zobaczyła, że gruby jegomość dalej stoi z otwartymi ustami, a na twarzy mu występują zielone i fioletowe plamy. Zawołała więc:

— Niech się pan nic nie boi! — i zaczęła gwałtownie szukać w kieszeni trzypensowej monety, którą nosiła przy sobie na szczęście. Zatoczyła krąg nad nieszczęsnym właścicielem drzew śliwkowych i powiedziała: — Zjedliśmy trochę pana śliwek, bo myśleliśmy, że to nie kradzież. Ale teraz nie jestem tego taka pewna i dlatego chcę panu zapłacić.

Opuściła się nisko nad przerażonym właścicielem sadu, wetknęła monetę w kieszeń jego kurtki i kilku uderzeniami skrzydeł dopędziła innych.

Sadownik opadł ciężko na trawę.

— A niech to lichy! — zawołał. — To z pewnością było przywidzenie! Tak, ale tu są trzy pensy — wyciągnął monetę z kieszeni i zaczął obracać ją w palcach — zupełnie prawdziwe trzy pensy. Przysięgam, że już od dzisiaj poprawię się z pewnością. Od takiej historii można

wytrzeźwieć na całe życie. Dobrze, że skończyło się tylko na skrzydłach. Już wolę zobaczyć ptaki, jakich nie ma i nigdy nie było, choćby nawet mówiły ludzkim głosem, niż pewne inne rzeczy, o których wiem.

Powoli i z trudem podniósł się z ziemi i wrócił do domu. I przez cały ten dzień był tak miły dla swojej żony, że pani ogrodnikowa, uszczęśliwiona, wciąż powtarzała: „Mój Boże, co też się stało z tym człowiekiem?” Włożyła więc nową suknię, zawiązała na szyi błękitną kokardę i wyglądała tak pięknie, że ogrodnik stał się jeszcze miłszy niż przedtem. Może więc nasze uskrzydłone dzieci naprawdę dokonały tego dnia dobrego uczynku. Ale jeśli tak, był to jedyny ich dobry uczynek. Bo doprawdy nic tak nie wpędza człowieka w tarapaty jak skrzydła. Choć z drugiej strony nie ma to jak skrzydła, żeby wydobyć się z tarapatów.

Tak właśnie było przy spotkaniu z ogromnym i złym psem, który rzucił się na dzieci w chwili, gdy zwinęły skrzydła, by jak najmniej było je widać, i podeszły do domu farmera chcąc poprosić o kawałek chleba i sera. Bo mimo śliwek byli już tak głodni, jakby od rana nie mieli w ustach.

Otóż można być całkowicie pewnym, że gdyby nasza czwórka składała się ze zwyczajnych, bezskrzydłych dzieci — zły czarny pies zdążyłby porządnie zatopić kły w brązowej pończosze Roberta, który był najbliżej. Ale już za pierwszym warknięciem rozległ się szelest skrzydeł i pies na próżno tylko napinał łańcuch i stawał na tylnych łapach, jak gdyby i on chciał spróbować lotu.

Dzieci prosiły o chleb w wielu innych domkach, ale nic z tego: tam gdzie nie było psów podwórzowych, ludzie byli tak wystraszeni, że na wszelkie prośby odpowiadali krzykiem.

Wreszcie już koło czwartej, gdy skrzydła zeszytniały im ze zmęczenia, dzieci wylądowały na wieży kościelnej i odbyły naradę wojenną.

— Jesteśmy tak daleko od domu, że nie dolecimy bez obiadu, a przynajmniej podwieczorku — oświadczył Robert z rozpaczą w głosie.

— Ale nikt nas nie poczęstuje obiadem ani nawet podwieczorkiem — odparł Cyryl.

— Może tutejszy pastor zechciałby — wtrąciła nieśmiało Antea. — Gdyby nas wziął za aniołów...

— Na pewno nie weźmie! — zawołała Janeczka. — Wystarczy popatrzeć na buty Roberta i szkolny krawat Wiewiórcia. Każdy by się połapał.

— Jeżeli ludność nie chce sprzedawać żywności, to trzeba rekwirować — rzekł Cyryl stanowczym tonem. — Mówię oczywiście o przemarszu wojsk w czasie wojny. Jestem pewien, że tak to się robi. A zresztą w żadnej księżce dobry brat nie pozwoli siostrzyczkom głodować, gdy wokoło jest pełno wszystkiego.

— Pełno wszystkiego? — powtórzył Robert łakomie. Wszyscy naraz zaczęli się oglądać, ale widzieli tylko nagie mury wieży kościelnej. Rozczarowani, mruknęli raz jeszcze: — Pełno wszystkiego...

— Tak — odparł z przekonaniem Cyryl. — W bocznej ścianie plebanii jest okno spiżarni, przez które widziałem mnóstwo różnych rzeczy: ciasto z kremem, zimną kurę, ozór, paszteciki i dżem. Okno jest dosyć wysoko, ale jak się ma skrzydła...

— Jakiś ty mądry! — zawołała Janeczka.

— Wcale nie! — odparł skromnie Cyryl. — Każdy urodzony wódz — Napoleon czy Juliusz Cezar — zauważyłby to od razu tak samo jak ja.

— Ale to byłoby bardzo nieuczciwie — zauważyła Antea.

— Nic podobnego — rzekł Cyryl. — Czy pamiętasz, co powiedział pewien wódz, kiedy żołnierz nie chciał dać mu czegoś do picia? „Moje pragnienie jest większe niż twoje”.

— Ale złożymy nasze pieniądze do spółki i zostawimy, żeby zapłacić za to, co zjemy, dobrze? — Antea mówiła tonem błagalnym i była bliska płaczu, bo to naprawdę okropne uczucie być jednocześnie głodnym i strasznym grzesznikiem.

— Częściowo — odparł Cyryl ostrożnie.

Wszyscy teraz zaczęli przeszukiwać kieszenie i składać pieniądze na cynowym dachu wieży, gdzie zwiedzający turyści od stu pięćdziesięciu lat wyrzynali scyzorykiem w miękkiej cynie imiona swoje i swoich ukochanych. Razem zebrało się pięć szylingów i siedem i pół pensa i nawet nieskazitelna Antea przyznała, że to trochę za dużo za cztery obiady.

Robert powiedział, że jego zdaniem osiem pensów wystarczy.

Wreszcie zdecydowano, że dwa i pół szylinga to będzie „bardzo przyzwoicie”.

Antea znalazła w kieszeni swoją ostatnią cenzurkę szkolną, która przypadkiem się tam zaplątała, oddała nazwę szkoły i własne nazwisko, po czym na odwrocie cenzurki napisała list takiej treści:

Drogi, Wielebny Książe Pastorze! Jesteśmy naprawdę bardzo głodni, bo musieliśmy cały dzień fruwać. Dlatego myślimy, że to nie będzie kradzież, kiedy umiera się z głodu. Boimy się przyjść na plebanie, bo ksiądz pastor wszystko na pewno wie o aniołach, a nas nie wzięłyby za aniołów i mógłby powiedzieć, że nie. Więc bierzemy tylko rzeczy najkonieczniejsze i nie bierzemy kremu ani ciasta, żeby pokazać, że do spiżarni zakradliśmy się nie z łakomstwa, ale z prawdziwego głodu. Z zawodu nie jesteśmy wcale rozbójnikami...

— Skończ już! — zgodnie zawołali wszyscy, wobec czego Antea dodała tylko w pośpiechu:

...Nasze pobudki są najzupełniej szlachetne i załączamy dwa i pół szylinga na dowód naszej wdzięczności i uczciwości.

Jeszcze raz dziękujemy za uprzejmą gościnę!

Nasza Czwórka

Dwa i pół szylinga zawinięto w list i dzieci były głęboko przekonane, że kiedy to proboszcz przeczyta, zrozumie wszystko.

— Oczywiście — rzekł Cyryl — w tym wszystkim jest pewne ryzyko, więc lepiej będzie stanąć na ziemi z drugiej strony wieży, a potem przelecieć nisko przez dziedziniec i krzaki, które tam rosną. Zdaje się, że nikogo nie ma w pobliżu. Ale nigdy nic nie wiadomo. Okno spiżarni wychodzi na krzaki i obrosnięte jest winem jak okno w powieści. Ja wejdę do środka i wezmę jedzenie. Robert i Antea mogą brać ode mnie to, co im będę podawał przez okno. A Janeczka stanie na straży, bo ma dobry wzrok, i będzie gwizdać, jeśli ktoś nadejdzie. Cicho bądź, Robert! Tak gwizdać to i ona potrafi. To nawet lepiej, że to nie będzie bardzo dobre gwizdanie, bo wyjdzie naturalniej i pomyślą, że to pewnie ptak. A teraz — odmarsz!

Nie będę dowodzić, że dzieci postąpiły ładnie. Mogę tylko powiedzieć, że tym razem nasza zgłodniała czwórka nie miała wrażeń, że kradnie, ale że przeprowadza solidną i uczciwą transakcję kupiecką. Dzieci po prostu nie zdawały sobie sprawy, że ozór — w dodatku ledwo napoczęty — półtorej kury, bochenek chleba i syfon wody sodowej muszą kosztować w sklepie więcej niż dwa i pół szylinga. A to były te „rzeczy najkonieczniejsze”, które Cyryl podał przez okno spiżarni, gdzie dostali się całkiem niedostrzeżeni i bez żadnych przygód. Cyryl był pewien, że powstrzymanie się od zabrania dżemu, ciasta z rodzynkami, jabłek i owoców w cukrze było naprawdę czynem bohaterskim — i tu muszę przyznać mu rację. Był również dumny z tego, że nie wziął kremu. Ale w tym nie widzę powodu do dumy, bo gdyby go zabrał, mieliby wielkie kłopoty z oddaniem salaterki. A nikt, choćby nie wiem jak głodny, nie ma prawa kraść salaterki, w dodatku malowanej w różowe kwiatki. Z syfonem jest inna sprawa. Trzeba było czegoś się napić, a że na syfonie była etykieta z nazwą sklepu, skąd został wzięty, więc byli pewni, że kiedy go podrzucą, ktokolwiek syfon znajdzie, zwróci go do sklepu. Odnieśliby zresztą sami, gdyby tylko starczyło im czasu. Syfon pochodził ze sklepu w Rochester, a zatem wracając mogli tam wstąpić bez zbytejnego nakładania drogi.

Wszystkie zapasy przenieśli na szczyt wieży i rozłożyli na arkuszu papieru do wykładania półek, który Cyryl znalazł w spiżarni. Kiedy rozwijał papier, Antea powiedziała:

— Wydaje mi się, że to nie jest rzecz najkonieczniejszą.

— Owszem, jest — odparł Cyryl. — Musimy przecież położyć na czymś jedzenie, żeby je pokrajać. A niedawno słyszałem, jak tatuś mówił, że w wodzie deszczowej jest pełno zarazków, od których ludzie chorują. A tutaj na dach musi padać mnóstwo wody deszczowej, a kiedy wysycha, to zarazki zostają i dostają się do jedzenia. Więc wszyscy byśmy poumierali na szkarlatynę.

— A co to są zarazki?

— To są takie małe sztuczki z ogonkiem, które widać przez mikroskop — wyjaśnił Cyryl tonem naukowca. — Od nich dostaje się wszystkich chorób. Więc jestem pewien, że papier był rzeczą najkonieczniejszą, tak samo jak chleb, mięso i woda. A teraz do dzieła! Ależ jestem głodny!

Nie będę opisywać obiadu, jaki się odbył na szczycie wieży.

Możecie sami sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy trzeba krajać kurę i ozór scyzorykiem o jednym tylko ostrzu, i to ułamanym mniej więcej w połowie. Ale w końcu udało się. Niewygodnie także jest jeść palcami, bo to okropnie tłusci, a papierowe talerze to mają do siebie, że szybko się brudzą i wyglądają wstrętne.

Jednego tylko zapewne nie potraficie sobie wyobrazić: jak zachowuje się woda sodowa, kiedy próbuje się pić ją prosto z syfonu, przy tym bardzo pełnego. Ale jeśli nie potraficie sobie tego wyobrazić, to możecie przekonać się osobiście i wypróbować sami, o ile uda się wam skłonić kogoś z dorosłych, aby wam dał syfon. Jeżeli doświadczenie chcecie przeprowadzić dokładnie, włóżcie otwór syfonu do ust, a potem raptownie i mocno naciśnijcie rączkę. A swoją drogą lepiej to zrobić, kiedy nikogo nie ma w pobliżu. Ponadto jest rzeczą wskazaną przeprowadzać to doświadczenie na dworze.

Inna sprawa, że ozór, kura i świeży chleb są bardzo smaczne bez względu na to, jak się je zjada, i nikomu to nie przeszkadza, jeśli to zakropić odrobiną wody sodowej w upalny letni dzień.

Toteż wszyscy byli zachwyceni obiadem i każdy jadł, ile tylko mógł. Po pierwsze — z głodu, a po wtóre — dlatego że, jak już wspomniałam, ozór, kura i świeży chleb to rzeczy znakomite.

A teraz muszę przypomnieć coś, co już nieraz zapewne musieliście zauważyć: że jeśli ktoś długo czeka na obiad po właściwej na to porze, a potem zjada na obiad dużo więcej niż zwykle i siedzi w słońcu na szczycie wieży kościelnej — czy innym podobnym miejscu — to wkrótce staje się dziwnie senny. Otóż Antea, Janeczka, Cyryl i Robert byli właśnie w takiej sytuacji. I kiedy już zjedli, ile tylko się dało, i wypili wszystko, co było do wypicia, stali się bardzo szybko jakoś dziwnie senni — a zwłaszcza Antea, bo tak wcześniej wstała.

Jedno po drugim dzieci przestały się odzywać i nie minął nawet kwadrans od obiadu, a już wszystkie zwinięte w kłębuszek leżały przykryte wielkimi, miękkimi skrzydłami i chrapały na zabój. A słońce tymczasem chyliło się powoli ku zachodowi. (Musiałam napisać, że ku zachodowi, bo zawsze tak się pisze w książkach z obawy, że ktoś nieuważny mógłby pomyśleć, że słońce zachodzi na wschodzie. Ściśle mówiąc, nie był to najdokładniej zachód, ale coś koło tego). Więc słońce, powtarzam, chyliło się powoli ku zachodowi, a dzieci spały sobie beztrudnie pod ciepłym przykryciem — bo trzeba podkreślić, że skrzydła są jeszcze cieplejsze niż najbardziej puchowa kołderka. Cień wieży kościelnej padał na dziedziniec i na plebanię, i na pole za plebanią.

Aż wreszcie nie było już poszczególnych cieni, słońce zaszło i skrzydła znikły.

A dzieci spały dalej. Ale już niedługo. Zmierzch jest bardzo piękny, lecz przynosi chłodek. Wiecie sami, że choćby się było nie wiem jak śpiącym, trudno się nie zbudzić, kiedy ktoś z rodzeństwa przypadkiem wstanie wcześniej i ściągnie z was kołdrę. Czworkiem

bezkrzydłych dzieci wstrząsnął dreszcz i zbudziły się. I oto znajdowały się na szczycie wieży kościelnej; mrok zapadał, błękitne gwiazdy coraz gęściej ukazywały się nad ich głowami, do domu było strasznie daleko, w kieszeniach miały razem trzy szylingi i półtora pensa, a w perspektywie — konieczność tłumaczenia się z zabrania „rzeczy najkonieczniejszych”, gdyby ktokolwiek znalazł ich tutaj razem z syfonem.

Dzieci popatrzyły na siebie i pierwszy odezwał się Cyryl chwytając za syfon:

— Lepiej będzie, jak zejdziemy na dół i pozbędziemy się tego paskudztwa. Jest tak ciemno, że może się uda podrzucić to na plebanii. Chodźmy!

W rogu wieży sterczało coś w rodzaju baszty, a w baszcie znajdowały się drzwiczki. Dzieci zauważyły to w czasie jedzenia, ale nie zajrzały do środka, jak byście to wy na ich miejscu zrobili. No bo, oczywiście, kiedy się ma skrzydła i można zaglądać we wszystkie zakątki nieba, komu by się chciało zaglądać do jakichś drzwiczek?

Teraz jednak nasza czwórka ruszyła w tym kierunku.

— Naturalnie — rzekł Cyryl — że tam są schody na dół.

Istotnie. Tylko że drzwiczki były zamknięte od wewnątrz na klucz.

A na świecie robiło się coraz ciemniej. I do domu było dużo, dużo mil. Na domiar złego był jeszcze ten nieszczęsny syfon!

Nie będę wam opowiadać, czy tam ktoś płakał, a jeżeli tak, to kto. Zamiast tego lepiej zastanówcie się sami, co byście zrobili znalazłszy się na ich miejscu.

ROZDZIAŁ V BEZ SKRZYDEŁ

Czy tam ktoś płakał, czy nie, w każdym razie była taka chwila, kiedy wszyscy właściwie potracili głowy. A gdy się już trochę uspokoiłi, Antea schowała chusteczkę do kieszeni, objęła Janeczkę ramieniem i powiedziała:

— To nie może trwać dłużej niż do jutra. Rano możemy dawać sygnały chusteczkami. Do tego czasu wyschną. A wtedy ktoś przyjdzie i nas wypuści...

— I znajdzie syfon — wtrącił ponuro Cyryl — i zamkną nas do więzienia za kradzież.

— Przecież sam mówiłeś, że to nie kradzież. Mówiłeś, że jesteś pewien, że to nie kradzież.

— Ale t e r a z nie jestem tego pewien — odparł krótko Cyryl.

— Więc wyrzucmy ten przekłety syfon gdzieś w krzaki — rzekł Robert — a wtedy nikt nam nie będzie mógł nic zrobić.

— Tak! — roześmiał się Cyryl, ale nie był to śmiech beztroski — i jeszcze trafimy kogoś w głowę i będziemy mordercami, jak przedtem byliśmy... no, wiecie już...

— Ale nie możemy przecież zostać tu przez całą noc — powiedziała Janeczka — i chciałabym zjeść podwieczorek.

— Jak to: podwieczorek? — odparł Robert. — Dopiero co zjadłaś obiad.

— A ja chcę — upierała się Janeczka — i w dodatku kiedy mówicie, że trzeba tu zostać na całą noc. Och, Pantero, ja chcę do domu! Ja chcę zaraz do domu!

— Cicho, cicho — uspokajała ją Antea. — Przestań, kochanie. Wszystko się jakoś ułoży. No cicho... cicho...

— A niech sobie płacze! — zawołał z rozpaczą Robert. — Jeżeli będzie ryczeć bardzo głośno, to ktoś może usłyszy i wypuści nas stąd.

— I zobaczy syfon — dodała pośpiesznie Antea. — Robert, nie bądź gburem! Och, Janeczko, bądź mężczyzną! Płacz ci nic nie pomoże.

Janeczka usiłowała „być mężczyzną” i łkanie zastępowała siąkaniem nosem.

Zapadła chwila milczenia, po czym Cyryl powiedział z namysłem:

— Słuchajcie, musimy zaryzykować i zatrzymać syfon. Schowam go pod kurtkę i zapnę wszystkie guziki. Może jakoś nie zauważą. A wy będziecie mnie sobą zasłaniać. Na plebanii się świeci, to znaczy, że nie poszli jeszcze spać. Musimy krzyczeć, jak tylko można najgłośniej. Wrzaśniemy wszyscy razem, kiedy policzę do trzech. Ty, Robert, zawyż jak lokomotywa, a ja tak krzyknę jak tatuś na polowaniu. Dziewczyny mogą krzyczeć, jak chcą. Raz, dwa... trzy!

Poczwórny wrzask rozdarł ciszę wieczoru. Na plebanii służąca stanęła przy oknie i odsunęła firankę.

„Raz, dwa... trzy!” Nowy, poczwórny wrzask, świdrujący w uszach wystraszył nawet sowy i puszczyki na dzwonnicy. Na plebanii służąca odskoczyła od okna, pędem zbiegła po schodach, zdyszana wpadła do kuchni i zemdlała, gdy tylko zdążyła opowiedzieć służącemu, kucharce i bratanicy kucharki, że widziała ducha. Oczywiście wcale tak nie było, ale przypuszczam, że nerwy musiały jej odmówić posłuszeństwa pod wpływem wrzasku.

„Raz, dwa... trzy!” Teraz już i pastor stanął we drzwiach sypialni i nie było już żadnej wątpliwości, że wrzask jest prawdziwy, a nie żadne przywidzenie.

— Boże święty! — zwrócił się pastor do żony — moja droga, chyba kogoś mordują w kościele! Daj mi kapelusz i tę grubą laskę i powiedz Andrzejowi, żeby szedł ze mną. To pewnie ten sam wariat, który ukradł ozór.

Dzieci ujrzały snop światła w otwierających się frontowych drzwiach i w tej samej chwili pastor stanął na progu. Widać było wyraźnie jego ciemną sylwetkę. Nasza czwórka przestała wrzeszczeć dla złapania tchu, a także, by zobaczyć, co też pastor robi.

Kiedy zawrócił do domu po kapelusz, Cyryl powiedział:

— Myśli, że mu się tak tylko zdawało. Trzeba głośniej krzyczeć! Jeszcze raz! Raz, dwa... trzy!

Tym razem wrzask był z całą pewnością głośniejszy. Pastorowa objęła męża za szyję i sama z kolei wydała okrzyk, o wiele jednak słabszy.

— Nie puszcze cię! — zawołała. — Nie puszcze cię samego! Jessie! — rzekła do służącej, która odzyskała przytomność i wyłoniła się z kuchni — powiedz Andrzejowi, żeby zaraz tam poszedł. W kościele schował się jakiś niebezpieczny wariat, więc Andrzej musi iść i natychmiast go złapać.

— Pan Andrzej pierwszy do tego — mruknęła Jessie wracając do kuchni. — Słuchaj, Andrzej — powiedziała — w kościele coś strasznie wrzeszczy, a nie wiadomo co, więc pani mówi, żebyś to sam sprawdził, a jak sprawdzisz, to żebyś złapał.

— Sam to nie! — odparł Andrzej głosem cichym, ale stanowczym.

W tej chwili zjawił się pastor, wrywając się pastorowej.

— Słyszałeś te wrzaski?

— Zdaje mi się, że coś tam jakby słyszałem — rzekł Andrzej.

— No to chodź ze mną — rzekł pastor. — Trudno, moja droga, muszę tam pójść! — Wepchnął łagodnie pastorową do saloniku, zatrzasnął drzwi i wybiegł na dwór ciągnąc za sobą Andrzeja.

Powitała ich cała lawina wrzasków. Kiedy wreszcie ucichły, Andrzej zawołał:

— Hej, wy tam! Czy to wy wołacie?

— Tak! — odkrzyknęły cztery głosy w oddali.

— Wygląda, jakby byli w powietrzu — rzekł pastor. — Zdziwiające.

— Gdzie wy jesteście?! — krzyknął Andrzej.

Cyryl wyteżył płuca, ile mu sił starczyło, i odpowiedział bardzo powoli i głośno:

— Kościół! Wieża! Dach!

— To schodźcie na dół! — zawołał Andrzej.

Na co ten sam głos odpowiedział:

— Nie możemy. Drzwi są zamknięte!

— Na miłość boską — wykrzyknął pastor — Andrzej, przynieś latarnię ze stajni! Może dobrze by było sprowadzić tu kogoś ze wsi do pomocy.

— Kiedy pewnie reszta bandy schowała się gdzieś niedaleko. O nie, to nie byłoby dobrze. Głowę daję, że oni tutaj zastawili pułapkę. Ale w kuchni jest siostrzeniec kucharki, dozorca, który wie, jak sobie radzić z podejrzanymi typami. No i ma strzelbę przy sobie.

— Hej tam! — zawołał Cyryl z wieży. — Chodźcie tu i wypuście nas!

— Idziemy, idziemy — odparł Andrzej. — Tylko czekamy na policjanta i strzelbę.

— Andrzej, Andrzej — rzekł pastor — przecież to nieprawda!

— Dlaczego? Policjant i dozorca to prawie to samo.

Andrzej poszedł po latarnię i po siostrzeńca kucharki, a przez ten czas pastorowa zjawiła się na progu i błagała, żeby byli jak najbardziej ostrożni.

Przeszli przez dziedziniec — zupełnie w tej chwili już ciemny — a idąc, rozmawiali. Pastor był pewien, że na wieży kościelnej schował się wariat — ten sam, który napisał zwariowany list i zabrał ozór i różne inne rzeczy. Andrzej był przekonany, że w wieży jest zastawiona „pułapka”, i tylko siostrzeniec kucharki zachował całkowity spokój.

— Z wielkiej chmury mały deszcz — powiedział — niebezpieczne typy nie robią tyle hałasu. — Słowem, wcale się nie bał. Co prawda, miał przy sobie strzelbę. Dlatego właśnie puszczono go pierwszego, gdy zaczęli wstępować na wydeptane, kręcone schody wieży

kościelnej. Szedł więc przodem z latarnią w jednej ręce i strzelbą w drugiej. Tuż za nim postępował Andrzej. Później utrzymywał, że dlatego szedł drugi z kolei, bo był od ważniejszy od swego pana. W rzeczywistości jednak obawiał się pułapki i dlatego nie chciał iść na końcu. Bo gdyby tak ktoś wśliznął się po cichu za nimi i chwycił go w ciemności za nogi? Szli długo, ostrożnie i powoli, najpierw kręconymi, wijącymi się jak korkociąg schodami, potem przez krużganek, gdzie stał dzwonnik i gdzie zwiślały sznury od dzwonów, włochate na końcu, niczym jakieś ogromne gąsienice; potem jeszcze innymi schodami, na to piętro wieży, gdzie nieruchomo wisiały ogromne dzwony; potem szli po drabinie o szerokich szczeblach, a wreszcie po niedużych kamiennych schodkach. U szczytu tych schodków znajdowały się małe drzwiczki. I drzwiczki te były zamknięte.

Siostrzeniec kucharki, który, ściślej mówiąc, był nie dozorcą, ale gajowym, uderzył nogą w drzwi i zawołał:

— Hej, wy tam!

Dzieci przywarły do siebie po tamtej stronie drzwiczek, drżące z niepokoju i tak zachrypnięte od wrzasków, że ledwo już mogły mówić. Toteż Cyryl z trudem jedynie wydusił z siebie odpowiedź:

— Aha, tu jesteśmy!

— Jakeście się tam dostali?

Na nic byliby mówić, że „na skrzydłach”, więc Cyryl odpowiedział:

— Weszliśmy tu na górę, a potem się okazało, że ktoś zamknął drzwi, i nie możemy zejść na dół. Wypuście nas, bardzo proszę!

— A ile was tam jest? — spytał gajowy.

— Tylko czworo — rzekł Cyryl.

— Czy macie przy sobie broń?

— Czy mamy co?

— Ja mam strzelbę gotową do strzału — rzekł gajowy — więc lepiej nie próbujcie żadnych swoich sztuczek. Jeżeli was wypuścimy, czy możecie obiecać, że zejdziecie na dół spokojnie, bez żadnych hec?

— Tak, ach tak! — krzyknęły dzieci chórem.

— Dalibóg — zawołał pastor — to z pewnością był głos kobiecy!

— Czy można otworzyć drzwi? — spytał gajowy.

Andrzej zstąpił parę stopni w dół, „żeby mieli którądy wyjść”, jak później wyjaśnił.

— Tak — rzekł pastor — proszę otworzyć. Pamiętajcie — dodał jeszcze przez dziurkę od klucza — że przyszliśmy was uwolnić. Dotrzymacie więc chyba obietnicy i nie dopuścicie się żadnego gwałtu?

— Ten zamek całkiem zardzewiał — powiedział gajowy — można by myśleć, że nie ruszono go od zeszłego roku.

Rzeczywiście tak było.

Kiedy klucz w zamku został już przekręcony, gajowy powiedział przez dziurkę od klucza głębokim, piersiowym głosem:

— Nie otworzę, dopóki nie przejdziecie wszyscy na drugą stronę wieży! I jeżeli kto z was tylko się ruszy — strzelam z miejsca! Jazda!

— Już jesteśmy wszyscy z drugiej strony — odpowiedziały głosy.

Gajowy był bardzo dumny i zadowolony z siebie, i przekonany, że jest człowiekiem niezwykle odważnym, gdy wreszcie otworzył drzwiczki. Wszedł na zewnątrz i wysoko podniósł latarnię, której pełne światło padło na grupę straceńców stojącą przy balustradzie po drugiej stronie wieży.

Spojrzał — i latarnia o mało nie wypadła mu z ręki.

— Patrzcie no! — zawołał. — To przecież banda dzieciaków!

Teraz wysunął się naprzód pastor.

— Którędyście się tutaj dostali? — zapytał surowo. — Proszę mi zaraz powiedzieć.

— Och, proszę nam dać zejść na dół — zawołała Janeczka chwytając go za połę płaszcza — a opowiemy wszystko, jak było! Nikt nam nie uwierzy, ale to nic nie szkodzi. Tylko dajcie nam zejść!

Reszta dzieci tłoczyła się za nią powtarzając to samo. Z wyjątkiem jednego Cyryla. Ten był zanadto zajęty syfonem, który ciągle wysuwał mu się spod kurtki. Musiał go trzymać oburącz, aby nie wyleciał.

Ale i on wykrzyknął błagalnie, trzymając się możliwie najdalej światła latarni:

— Proszę nam dać zejść!

Wreszcie wszyscy zeszli. Nie była to prosta sprawa schodzić po ciemku z nieznannej wieży kościelnej, ale gajowy oświetlał im drogę. Tylko Cyryl starał się trzymać z tyłu z powodu syfonu, który wciąż mu się wyslizgiwał. W połowie drogi syfon o mały włos nie wyleciał. Cyryl w ostatniej chwili chwycił go za główkę, ale sam przy tej okazji o mało że nie spadł z drabiny. Drżał na całym ciele i był błydy jak płótno, gdy nareszcie znaleźli się na dole.

Wtem gajowy chwycił Cyryla i Roberta za ramię.

— Andrzej niech poprowadzi dziewczęta — powiedział — a ja już się tymi zajmę.

— Proszę nas puścić! — zawołał Cyryl. — Przecież nie uciekamy i nie zrobiliśmy nic takiego! Proszę nas puścić!

— Nie wrywaj się i nie gadaj — odparł gajowy. Cyryl zresztą wcale się nie wrywał z obawy, by syfon znów mu się nie wysliznął.

Tak wkroczyli do kancelarii pastora, dokąd zaraz przybiegła pastorowa.

— Ach, Wiliamie, czy żyjesz?! — wołała.

Robert pośpiesznie rozproszył jej obawy.

— Tak — powiedział — jest całkiem żywy i zdrowy. Nie zrobiliśmy nikomu żadnej krzywdy. Tylko jest bardzo późno i w domu na pewno się o nas niepokoją. Więc czy możecie odesłać nas jakąś bryczką?

— A może — spytała Antea — w sąsiedztwie jest zajazd, gdzie można by wynająć konie? Marta na pewno szaleje z niepokojem.

Pastor opadł na fotel. Z nadmiaru wrażeń i ze zdumienia nie mógł wykrztusić ani słowa.

Cyryl także usiadł opierając łokcie na kolanach i pochylając się naprzód, żeby zasłonić syfon.

— Więc jak to się stało, że znaleźliście się zamknięci na wieży? — spytał wreszcie pastor.

— Weszliśmy na górę — rzekł wolno Robert — i byliśmy bardzo zmęczeni, więc wszyscyśmy posnęli; a kiedy obudziliśmy się, drzwi były już zamknięte, więc zaczęliśmy wołać.

— I to jeszcze jak! — rzekła pastorowa. — Tak wrzeszczeliście, że ludzie potracili głowy ze strachu. — Jak wam nie wstyd?

— Bardzo nam wstyd! — odparła grzecznie Janeczka.

— Ale kto zamknął drzwi? — dopytywał się pastor.

— Nie mam pojęcia — odpowiedział Robert i mówił najzupełniejszą prawdę. — Proszę nas odesłać do domu.

— Hm — mruknął pastor — rzeczywiście, myślę, że trzeba tak będzie zrobić. Andrzej, zaprzęgnij konia, odwieziesz ich do domu.

— Sam, to nie — bąknął Andrzej pod nosem.

— A dla was — ciągnął pastor — niech to będzie nauką...

Mówił tak dosyć długo, a dzieci potulnie słuchały. Gajowy jednak nie słuchał. Przyglądał się z uwagą nieszczęsnemu Cyrylowi. Wiedział oczywiście wszystko o klusownikach, od razu więc umiał rozpoznać, kiedy coś ukrywają. Pastor zaczął właśnie tłumaczyć, co należy robić, żeby wyrosnąć na pociechę rodzicom, a nie na ich utrapienie i hańbę, gdy raptem gajowy mu przerwał:

— On tam coś chowa pod kurtką!

Cyryl wiedział, że na nic się zda dalsze ukrywanie syfonu. Wstał więc, wyprostował ramiona starając się nadać sobie wygląd szlachetny, jak owi chłopcy z książek, którym wystarczy raz spojrzeć w twarz, by nie mieć wątpliwości, że pochodzą z dobrej i szlachetnej rodziny i że zawsze dotrzymują słowa. Po czym wydobył syfon i rzekł:

— A więc tak, proszę.

Zapadła chwila milczenia. Po czym Cyryl odezwał się znowu:

— Tak, wzięliśmy to ze spiżarni i kawałek kury, i ozór, i chleb. Byliśmy strasznie głodni, ale nie ruszyliśmy ani kremu, ani ciasta. Wzięliśmy tylko chleb, mięso i wodę — rzeczy najkonieczniejsze do życia. A to już nie nasza wina, że była tylko woda sodowa. I zostawiliśmy dwa i pół szylinga, bo nie chcieliśmy nic brać za darmo, i napisaliśmy list. I bardzo przepraszamy, i nasz tatuś na pewno zapłaci karę, czy co tam trzeba. Tylko proszę nie posyłać nas do więzienia. Bo mamusia bardzo by się zmartwiła. Przed chwilą ksiądz pastor tłumaczył nam, co to jest hańba. Więc my właśnie nie chcemy hańby i proszę nam jej oszczędzić! Bardzo przepraszamy i już więcej nic nie mam do powiedzenia.

— A swoją drogą — rzekła pastorowa — nie rozumiem, jak mogliście dostać się do okna spiżarni?

— Tego właśnie nie mogę powiedzieć — odparł Cyryl stanowczo.

— Czy to jest wszystko, co macie do powiedzenia? — spytał pastor. — Czy to cała, całkowita prawda?

— Nie — odezwała się nagle Janeczka. — To prawda, ale niecała. Tej reszty nie możemy powiedzieć. I proszę nas nawet nie pytać. Och, proszę nam wreszcie przebaczyć i odesłać do domu!

Podbiegła do pastorowej i objęła ją ramionami. Pastorowa przytuliła ją do siebie, a gajowy zasłonił ręką usta i szepnął pastorowi:

— To dobre dzieci, tylko myślę, że nie chcą wydać kogoś, kto się za nimi chowa. Ktoś kazał im to zrobić, a oni nie chcą puścić farby. Bo tak to zresztą dobre dzieci.

— Powiedźcie mi — rzekł łagodnie pastor — czy jest ktoś, kogo nie chcecie wydać? Czy ktoś jeszcze miał z tym coś wspólnego?

— Tak — powiedziała Antea myśląc o duszku — ale to nie tylko jego wina.

— No dobrze, moi drodzy — rzekł pastor — w takim razie nie mówmy już o tym. Wytłumaczcie mi tylko, dlaczego napisaliście taki dziwny list.

— Sam nie wiem — odparł Cyryl. — Może to dlatego, że Antea tak się śpieszyła, kiedy pisała ten list, i wtedy nam się naprawdę zdawało, że to nie jest kradzież. Dopiero później, kiedy się okazało, że nie możemy zejść na dół z wieży, to pomyśleliśmy, że nam się źle zdawało. Bardzo nam wszystkim przykro i bardzo przepraszamy...

— Nie mówmy już o tym — rzekła pastorowa — tylko następnym razem lepiej namyślcie się, zanim weźmiecie cudzy ozór. A teraz może zjecie po kawałku ciasta i napijecie się mleka na drogę?

Kiedy Andrzej przyszedł z oznajmieniem, że koń już zaprzężony, i spytał, czy ma jechać sam i wpaść w pułapkę, którą od początku wyraźnie przewidywał — zastał całą czwórkę dzieci popijającą mleko, pałaszującą duże kawały ciasta i wybuchającą raz po raz śmiechem z powodu dowcipów pastora. Janeczka siedziała u pastorowej na kolanach.

Widzicie więc, że poszczyli się im znacznie bardziej, niż na to zasługiwali.

Gajowy, który był siostrzeńcem kucharki, spytał, czy może pojechać razem z dziećmi, co Andrzej przyjął z wielką radością, bo teraz przybywał mu ktoś dla ochrony przed pułapką, z całą pewnością — jak sądził — zastawioną gdzieś po drodze.

Kiedy bryczka zajechała wreszcie przed dom między wapiennymi skałami a kamieniołomem, dzieci były okropnie śpiące, ale czuły, że zawarły z gajowym przyjaźń na całe życie.

Andrzej natomiast nie mówiąc ani słowa wysadził je przed żelazną furtką.

— Wracaj do domu — powiedział mu siostrzeniec kucharki, który był jednocześnie gajowym. — Ja już pójde do domu piechotą.

Andrzej musiał więc jechać sam, co mu się wcale a wcale nie podobało. Gajowy zaś, który był jednocześnie siostrzeńcem kucharki, odprowadził dzieci do drzwi. A kiedy wśród mnóstwa wyrzutów i połajanek zapędzono je wreszcie do łóżek, gajowy został, by opowiedzieć Marcie, kucharce i pokojówce dokładnie, co się zdarzyło. A opowiedział to i wytłumaczył tak dobrze, że następnego ranka Marta najzupełniej już nie zrzędziła.

Od tego dnia gajowy często zaglądał, żeby zobaczyć się z Martą, i w końcu... — ale to już jest całkiem inna historia, jak mówi pan Kipling.

Marta co prawda musiała dotrzymać swojej zapowiedzi wczorajszej, że dzieci za karę zostaną cały dzień w domu. Ale wcale tak ostro tego nie pilnowała i zgodziła się nawet wypuścić Roberta na pół godziny dla załatwienia jakiejś ważnej sprawy.

Tą ważną sprawą było naturalnie następne życzenie.

Robert popędził do kamieniołomu, odnalazł duszka i wyraził życzenie...

Ale to znowu jest całkiem inna historia.*

* Rudyard Kipling (1865–1936), pisarz angielski, autor „Takich sobie bajeczek”, które pewnie znacie, i „Księgi dżungli”, którą niedługo przeczytacie.

ROZDZIAŁ VI

ZAMEK I NIEWIDZIALNY OBIAD

Dzieci miały zostać w domu za karę, z powodu niefortunnych wczorajszych przygód. Oczywiście zdaniem Marty nie były to niefortunne przygody, ale po prostu zbytki, więc nie można mieć do niej pretensji. Marta naprawdę myślała, że spełnia tylko swój obowiązek.

Wiecie, jak to jest z dorosłymi: często mówią, że nie lubią was karać i że robią to tylko dla waszego dobra, i że im jest jeszcze bardziej przykro niż wam — i często tak jest naprawdę. Marta z pewnością bardzo nie lubiła karać dzieci, tak samo jak one bardzo nie lubiły, kiedy je karano. Po pierwsze, wiedziała, co to będzie za urwanie głowy w całym domu, jeśli za karę nie pozwoli im wyjść. A poza tym miała po temu jeszcze i inne powody.

— To zupełnie okropne — mówiła kucharce — żeby ich trzymać w pokoju w taką piękną pogodę. Cóż, kiedy tak się rozzuchwaliły, że gdybym nie podciągnęła cugli, to któregoś dnia gotowe się pozabijać. Upiecz im ciasto na podwieczorek, moja kochana. A Baranek będzie siedział z nami, jak tylko uporam się trochę z robotą. I wtedy tamci mogą sobie pobrykać, kiedy się go pozbęda. Elizo, Elizo, pośpiesz się z tymi łózkami! Już dziesiąta dochodzi, a zające jeszcze skaczą na polu!

Tak mówią w Kent*, kiedy chcą powiedzieć, że jeszcze nic nie zrobione.

Tak więc, jak już mówiłam, dzieci zostały w domu, a Robertowi pozwolono wyjść na pół godziny dla załatwienia pewnej, ważnej dla wszystkich sprawy. Jak już wiecie, tą ważną sprawą było dzisiejsze życzenie.

Robert bez trudu odnalazł Piaskoludka. Było tak gorąco, że Piaskoludek wyszedł ze swego ukrycia tym razem z własnej woli i siedział jakby w sadzawce z mięciutkiego piasku, przeciągając się, rozczesując wąsiki i obracając ślimaczymi oczkami na wszystkie strony dookoła.

— Aha! — zawołał, gdy jego lewe oczko dostrzegło Roberta — wypatrywałem was właśnie. A gdzie reszta towarzystwa? Mam nadzieję, że nikt z was nie rozbił sobie głowy z powodu tych skrzydeł?

— Nie — odparł Robert — ale te skrzydła wpakowały nas w straszną kabałę, jak zresztą zawsze bywa ze skrzydłami. Więc tamci siedzą i pokutują w domu, a mnie wypuszczono tylko na pół godziny, żeby wypowiedzieć życzenie. Więc muszę to jak najprędzej zrobić.

— No to jazda! — rzekł duszek wyciągając się na piasku. Ale właśnie wtedy Robertowi coś się poplątało z życzeniem. Zapomniał o wszystkim, co sobie obmyślił, i teraz same tylko głupstwa przychodziły mu do głowy, na przykład ciagutki czy album do znaczków lub scyzoryk o trzech ostrzach czy też z korkociągiem.

Usiadł na ziemi, żeby lepiej myśleć, ale i to nic nie pomagało.

Ciągle wymyślał tylko takie rzeczy, na które tamci nie mieliby ochoty — na przykład piłka do koszykówki czy sztylpy albo żeby zbić na kwaśne jabłko tego dryblasa Simpkinsa, kiedy wróci do szkoły.

— Może byś się jednak pośpieszył — rzekł Piaskoludek — bo czas ucieka.

— Wiem, że ucieka — przyznał Robert — ale jakoś nie mogę nic wymyślić. Chciałbym, żebyś spełnił życzenie kogoś z tamtych, chociaż ich tutaj nie ma... Zaraz, zaraz, poczekaj!

Ale już było za późno. Duszek nadał się tak, że był trzy razy większy niż zazwyczaj, a potem opadł jak przekłuty balonik i ciężko dysząc leżał na brzegu swojej piaskowej sadzawki, na pół żywy z wysiłku.

* Hrabstwo Kent — jedna z prowincji angielskich. Anglia dzieli się na hrabstwa, tak jak Polska na województwa.

— No! Ledwo dałem radę — wyszeptał słabym głosem — to było strasznie trudne. A teraz biegnij do domu, bo tamci na pewno wymyślą coś bardzo głupiego, zanim tam dojdiesz.

Robert był też tego pewien. I kiedy pędził do domu, cały był zaprzątnięty zgadywaniem, jakie też życzenie mogli wypowiedzieć tamci w czasie jego nieobecności. Mogli na przykład mieć ochotę na króliki albo na białe myszki, albo czekoladę, albo żeby jutro była ładna pogoda. Albo też — i to było najprawdopodobniejsze — ktoś mógł powiedzieć: „Chciałbym, żeby ten Robert wrócił już jak najprędzej”. A Robert wracał, i to bardzo prędko” więc w ten sposób życzenie byłoby spełnione i dzisiejszy dzień byłby z pewnością zmarnowany. A potem zastanawiał się, co by tu można takiego wymyślić, co byłoby zabawne w domu bez wychodzenia. Właściwie na tym polegały od samego początku i jego kłopoty. Tak mało jest rzeczy zabawnych w domu, kiedy słońce świeci na dworze, a niestety nie można wyjść.

Robert pędził, jak tylko mógł najszybciej. Kiedy jednak się znalazł na zakręcie, skąd już widać było architektoniczny koszmar — ozdobną wieżyczkę na szczycie domu — otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Tak szeroko, że musiał zwolnić kroku: nie można przecież biec mając oczy szeroko otwarte. A potem stanął nagle jak wryty, bo domu wcale nie było widać. Ogrodzenie też znikło, a na miejscu domu... Robert przetarł oczy i jeszcze raz popatrzył. Tak, tamci wypowiedzieli życzenie — co do tego nie było najmniejszych wątpliwości — a życzyli sobie, żeby mieszkać w zamku. I teraz przed Robertem wznosił się zamek, posepny i wspaniały, ogromny i w górę, i wszcz, z mnóstwem strzelnic i wąskich okienek i z ośmiu wielkimi basztami po bokach. Tam zaś, gdzie kiedyś był ogród i sad, widać było teraz jakieś białe punkciki przypominające grzybki. Robert zbliżył się powoli, a wtedy zobaczył, że to nie grzybki, ale namioty, wokół których uwija się mnóstwo ludzi w zbroi.

— Tra-ta-ta-ta! — wykrzyknął Robert. — Stało się! Chcieli mieć zamek i zamek jest obleżony! To znowu robota Piaskoludka! Wolałbym, żebyśmy nigdy tej bestii nie spotkali!

Z małego okienka nad mostem zwodzonym i ponad fosą, która ciągnęła się teraz tam, gdzie jeszcze przed pół godziną był ogród, ktoś powiewał czymś jasnym i zakurzonym. Robertowi zdawało się, że jest to jedna z chustek do nosa Cyryla. Chustki te nigdy nie były białe, od czasu kiedy Cyrylowi przewróciła się w szufladzie komody butelka „Specjalnego Eliksiru do Włosów”. Robert w odpowiedzi zamachał chusteczką i natychmiast spostrzegł się, że było to bardzo niemądre. Albowiem sygnał dostrzeżono w armii obleżniczej i dwóch ludzi w stalowych hełmach ruszyło w jego kierunku. Na nogach mieli wysokie, brązowe buty, a zbliżali się tak ogromnymi krokami, że Robert wspomniawszy, jak krótkie są jego własne nogi, nie próbował nawet uciekać. Wiedział, że nic by mu z tego nie przyszło, a mogłoby tylko zirytować nieprzyjaciela. Stał więc nieruchomo, co, zdaje się, podobało się bardzo obu rycerzom.

— Na świętego Pafnuca — rzekł jeden — dzielne z niego pacholę!

Robert był niezmiernie zadowolony słysząc, że go nazwano dzielnym, i jakoś mimo woli poczuł się doprawdy dzielniejszy. Puścił mimo uszu słowo „pacholę”. Wiedział bowiem, że w ten właśnie sposób mówią ludzie w powieściach historycznych dla młodzieży i że niewątpliwie nie oznaczało ono chęci ubliżenia mu. Inna rzecz go trapiła: czy zdoła ich zrozumieć. Ale miał nadzieję, że tak.

Bo trzeba dodać, że nie zawsze udawało mu się rozumieć każdą rozmowę z powieści historycznych dla młodzieży.

— Osobliwe ma na sobie odzienie — rzekł drugi rycerz. — Jakaś cudzoziemska sztuczka, jak tuszę.

— Rzeknij, chłopcze, co cię tu sprowadza?

Jak dotąd Robert wszystko rozumiał. Chcieli teraz, żeby im powiedział, po co tu przyszedł, odezwał się więc:

— Przyszedłem tu, proszę panów, bo chcę iść do domu.

— Ruszaj więc! — rzekł rycerz w dłuższych butach. — Nikt cię nie wstrzymuje, jeśli tylko nie będziesz tu wadził i udasz się spokojnie za nami. Bacz — dodał poważnym szeptem — widzi mi się, że niesie on jakiś znak dla obleżonych.

— Gdzie mieszkasz, młody rycerzu? — zapytał rycerz w wielkim hełmie.

— O, tam! — rzekł Robert; i ledwo wypowiedział te słowa, zrozumiał, że powinien był wskazać odwrotny kierunek.

— Ach, tako rzeczesz? — zaciekał się ten w długich butach. — Pójdź tu bliżej, pachole. To mi się widzi sprawa dla dowódcy.

Po czym opornego Roberta zaprowadzono za ucho przed osobę dowódcy.

Dowódca był najwspanialszą postacią, jaką Robertowi zdarzyło się kiedykolwiek widzieć. Był zupełnie jak na obrazkach, które Robert tak często podziwiał w powieściach historycznych. Miał na sobie zbroję i hełm z ogromnym pióropuszem o barwnych piórach, tarczę i dzidę, miecz u boku, a siedział na wspaniałym rumaku. Przypuszczam, że i jego zbroja, i broń pochodziły z różnych okresów historii. Dzida była z wczesnego średniowiecza, a miecz był w rodzaju używanych w czasie wojen napoleońskich. Pancierz pochodził z epoki Karola Pierwszego, a hełm był z czasów drugiej wyprawy krzyżowej. Herby na tarczy były niezwykle imponujące: trzy rozpedzone lwy na błękitnym tle. Namioty były najnowszego typu i w ogóle widok obozu razem z armią i jej dowódcą zapierał wprost oddech w piersiach. Ale Robert był tak oszołomiony, że wszystko wydawało mu się najzupełniej w porządku, a w dodatku jego znajomość heraldyki i archeologii* nie była wcale większa niż utalentowanych artystów, jacy zwykle rysują ilustracje do powieści historycznych. Krótko mówiąc, scena była dosłownie „jak na obrazku”. Robert podziwiał ją tak bardzo, że czuł się dzielniejszy niż kiedykolwiek.

— Zbliź się tu, chłopię — rzekł wspaniały dowódca, gdy rycerze w szwedzkich hełmach wyszeptali mu niskim, głębokim głosem parę tajemniczych słów. Wypowiedziawszy te słowa dowódca zdjął hełm, bo mu zasłaniał oczy. Miał miłą, przystojną twarz i piękne, długie włosy. — Nie trwóż się, nie doznasz od nas obrazy na ciele ani na duchu — dodał.

Robert bardzo był z tego zadowolony. Co prawda nie bardzo wiedział, co znaczy „obraza na ciele” i czy to jest gorsze niż ziółka przeczyszczające, które mu czasem dawano.

— Opowiedz swoje dzieje bez obawy — rzekł uprzejmie dowódca. — Skąd przybywasz i jakie są twe zamysły?

— Moje co? — spytał Robert.

— Co umyśliłeś tu działać? Z jakim przybyłeś tu zleceniem, że tak krążysz pośród moich zbrojnych rycerzy? Biedne dziecię, wierz mi, iż serce twojej matki kwili teraz za tobą.

— Myślę, że nie — odpowiedział Robert — bo widzi pan, ona nie ma pojęcia, że jestem tutaj.

Dowódca otarł ukradkiem łzę, która zakręciła mu się w oku, zupełnie tak, jakby to zrobił dowódca w powieści historycznej, po czym rzekł:

— Nie lękaj się rzec mi prawdy, o dziecię. Niech cię odejdzie trwoga przed obliczem Wulfryka de Talbot.

Robert miał dziwaczne uczucie, że ten wspaniały dowódca armii obleżniczej — sam będąc częścią spełnionego życzenia — jakoś łatwiej zrozumiałby niż Marta czy Cyganie, czy policjant z Rochester, czy wczorajszy pastor prawdziwą opowieść o życzeniach i Piaskołudku. Jediną trudność stanowiło to, że Robertowi wciąż brakło słów takich, jak „azaliż” lub też „wierzaj mi”, aby móc przemawiać jak chłopiec w powieści historycznej. Zaczął jednak odważnie, przemawiając długimi zdaniem zapożyczonymi z „Młodego krzyżowca” w połączeniu z „Ralfem de Courcy”.

* Heraldyka — nauka o herbach. Archeologia — nauka o zabytkach z różnych okresów historii. Oczywiście od takiego małego chłopca jak Robert nie można wymagać znajomości tych obydwu nauk. Natomiast artyści ilustrujący książki powinni coś o tym wiedzieć, bo inaczej ich rysunki nie będą zgodne z prawdą historyczną.

— Dzięki ci — powiedział — szlachetny rycerzu, za twą uprzejmość. Chodzi jednak o to i mam nadzieję, że pan się zanadto nie śpieszy, bo cała ta historia, wierząc mi, jest trochę przydługa. Rodzic i macierz wyjechali z domu, a myśmy poszli do kamieniołomów i znaleźliśmy tam duszka Piaskoludka.

— Dlaboga! — wykrzyknął rycerz. — Duszka Piaskoludka?

— Tak, to znaczy coś w rodzaju czarnoksiężnika, tak, bo właściwie on jest czarnoksiężnikiem. I powiedział, że codziennie możemy wypowiedzieć jakieś życzenie, które będzie spełnione. Więc prosiliśmy najpierw, żebyśmy byli piękni.

— To życzenie nie całkiem zostało spełnione — mruknął jeden z rycerzy spoglądając na Roberta.

Ten jednak udał, że nic nie słyszy, choć uwaga istotnie była dość gburowata, więc ciągnął dalej:

— A potem życzyliśmy sobie pieniędzy — pan mnie rozumie — skarbów; ale jakoś nie mogliśmy ich wydać. A wczoraj życzyliśmy sobie skrzydeł, które dostaliśmy, i z początku było naprawdę byczo...

— Mowa twoja jest dziwna i nieskładna — przerwał hrabia Wulfryk de Talbot. — Powtórz to jeszcze raz — co było wczoraj?

— Byczo, to znaczy pierwsza klasa — nie, jeszcze nie tak — byliśmy z tego bardzo zadowoleni, to właśnie chciałem powiedzieć. Tylko potem mieliśmy straszny wpadunek.

— Co to znaczy: wpadunek? Może masz na myśli potyczkę?

— Nie, nie potyczkę. Jak się wpadnie w takie coś bez wyjścia.

— Wieża? Mój biedny chłopcze, skuli ci łańcuchami nogi i ręce? — spytał hrabia z prawdziwym współczuciem.

— Nie, to nie była wieża. Po prostu... po prostu... spotkały nas niezasłużone przykrości — wyjaśnił Robert. — A dzisiaj za karę nie wolno nam było wyjść z domu. Tam właśnie mieszkam — wskazał w kierunku zamku. — Reszta jest tam i nie wolno im wyjść. To wszystko robota Piaskoludka... To znaczy czarownika. Ach, bodajbyśmy go nigdy nie spotkali!

— Czy to potężny czarownik?

— O tak! Potężny i straszliwy!

— Mniemasz więc, że to władza czarownika wzmogła gniew i dodała sił armii oblężniczej — odparł dzielny hrabia. — Wiedz jednak, że Wulfryk de Talbot nie potrzebuje pomocy czarownika, aby swoje zastępy prowadzić do zwycięstwa.

— Naturalnie, że pan nie potrzebuje — odparł Robert z pośpiechem. — Oczywiście, panu wcale to nie jest potrzebne, to jasne. A mimo wszystko jest w tym trochę jego winy, choć najbardziej winni jesteśmy my sami. Pan nic by wcale nie zrobił, żeby nie my.

— Jak to, jak to, zuchwalcze? — spytał hrabia Wulfryk wyniośle. — Mowa twoja jest niejasna i brzmi nieuprzejmie. Rozwiąż mi tę zagadkę!

— Ach — zawołał Robert z rozpaczą — pan, oczywiście, nie może o tym wiedzieć, ale pan nie jest wcale prawdziwy! Pan jest tu tylko dlatego, że tamci byli tacy głupi, że wyrazili życzenie zamku... I kiedy słońce zajdzie, pan zniknie i wszystko będzie na nowo w porządku.

Wódz i jego żołnierze wymienili ze sobą spojrzenia najpierw pełne litości, a następnie surowe, i długoobuty rycerz powiedział:

— Strzeż się, szlachetny panie: ten nicpoń udaje tylko, że jest niespełna rozumu, aby nam wymknąć się z rąk. Czy mamy go zakuć w kajdany?

— Wcale nie jestem bardziej niespełna rozumu od was — odparł Robert ze złością. — Może nawet mniej. Byłem tylko dość głupi, żeby myśleć, że wy mnie zrozumiecie. Puśćcie mnie i już sobie pójdę — nic przecież wam nie zrobiłem.

— Kędy? — zapytał hrabia, który zdawał się wierzyć w całą historię o czarowniku, dopóki sam nie został w nią wmieszany. — Kędy chcesz wędrować?

— Po prostu do domu — Robert wskazał na zamek.

— By zanieść wieść o odsieczu? Nie!

— No to nie — zgodził się Robert, któremu nagle przyszła pewna myśl do głowy. — W takim razie dajcie mi pójść gdzie indziej.

Myśl Roberta przeszukiwała starannie wszystkie wspomnienia z powieści historycznych.

— Hrabio Wulfryku de Talbot — wyrzekł z wolna — czy nie byłoby ujmą dla ciebie zatrzymać gościa... chcę powiedzieć, kogoś, kto nie uczynił tobie nic złego, kiedy ten ktoś chce zwać... mam na myśli odejść, nie czyniąc żadnego gwałtu.

— Słusznie rzeczesz, młodzieńcze, niech mnie kule biją! — odparł hrabia Wulfryk. — Pasuję cię na rycerza! — Niestety, za jego słowem nie poszły czyny: hrabia stał w miejscu nie dając żadnego znaku. — Spełnimy więc twoją prośbę — dodał z namysłem. — Podążaj, dokąd chcesz — tu przybrał niezwykle szlachetną postawę — jesteś wolny. Wulfryk de Talbot nie więzi pacholąt, a tu obecny Jakin odprowadzi cię, dokąd sobie zyczysz.

— Dobra — powiedział z wściekłością Robert. — Już ja postaram się o to, żeby Jakin miał dobrą zabawę. No chodźmy, Jakin. Żegnam cię, hrabio Wulfryku.

Zasalutował w sposób nowoczesny i popędził prosto do kamieniołomu. Jakin w swych długich butach z łatwością mu nadązał.

Robert odnalazł Piaskoludka. Wyrzebał go z piasku, zbudził i błagał o jedno życzenie.

— Spełniłem już dzisiaj dwa — zrzędził Piaskoludek — a jedno było tak piekielnie trudne, jakiego już od dawna nie pamiętam.

— Ach, zrób to, zrób, błagam cię! — wołał Robert, gdy Jakin z otwartymi ustami i wyrazem przerażenia na twarzy przyglądał się dziwacznemu stworzeniu, które mówiło wpatrując się w niego swymi ślimakowymi oczkami.

— No dobrze, a o co chodzi? — mruknął duszek najwidoczniej zły, że mu przerwano sen.

— Chciałbym być razem z tamtymi — rzekł Robert.

Piaskoludek zaczął się nadymać. Robertowi nawet nie przyszło do głowy życzyć sobie, aby znikł zamek i armia oblężnicza. Oczywiście wiedział, że wszystko to, razem z mieczami, tarczami, dzirydami i namiotami, było tylko dziełem czarów. Ale wyglądało to za dużo prawdziwie, aby życzyć sobie odczarowania tego wszystkiego. Robert na chwilę stracił przytomność. Kiedy otworzył oczy, reszta dzieci otaczała go zwartym kołem.

— Nie słyszeliśmy wcale, jak tu wszedł — powiedziały. — Ale jak to świetnie, że życzyłeś sobie, aby się spełniło nasze życzenie!

— Naturalnie byliśmy od początku pewni, że dlatego tak się stało.

— Ale swoją drogą powinieś był nas uprzedzić. Bo gdyby nasze życzenie było na przykład głupie, to co wtedy?

— Głupie? — spytał Robert czerwony ze złości. — A cóż głupszego mogliście wymyślić jak nie to? Niewiele brakowało, a byłibyście mnie wpakowali na dobre.

Po czym opowiedział im swoje przygody, a tamci przyznali, że były one istotnie bardzo kłopotliwe. Ale tak bardzo chwalili jego odwagę i spryt, że w końcu Robert dał się udobruchać i czuł się jeszcze dzielniejszy niż wtedy, kiedy był w obozie. I po namyśle zgodził się zostać dowódcą oblężonej fortecy.

— Dotychczas jeszcześmy nic nie zrobili — rzekła zachęcająco Antea — czekaliśmy na ciebie. Chcemy do nich strzelać przez te otwory w strzelnicach z łuku, który nam podarował wujaszek; a ty będziesz miał pierwszy strzał,

— E, już lepiej nie — rzekł przezornie Robert. — Nie macie po prostu pojęcia, jak oni wyglądają. Mają prawdziwe łuki i prawdziwe strzały — okropnie długie — i miecze, i włócznie, i topory, i całe mnóstwo różnych ostrych narzędzi. Oni wszyscy są najzupełniej prawdziwi. To wcale nie jak na obrazku czy na przeźroczu albo czymś podobnym. Oni naprawdę mogą nas zranić czy nawet pozabijać — wcale bym się nie dziwił. Jeszcze do tej pory czuję, jak boli mnie ucho. Ale wiecie co — czyście wy aby dobrze zbadali cały zamek?

Bo ja osobiście myślę, że lepiej im dać spokój, dopóki oni nam dają spokój. Słyszałem, jak ten Jakin mówił, że mają uderzyć do szturm przed samym zachodem słońca. Możemy po prostu czekać na ich atak. Czy w zamku są jacyś żołnierze dla obrony?

— Nie mamy pojęcia — odparł Cyryl. — Bo widzisz, ledwo zdążyłem wypowiedzieć życzenie, żebyśmy się znaleźli w oblężonym zamku, kiedy wszystko przekręciło się do góry nogami. A kiedy wszystko na powrót stanęło prosto i zaczęliśmy wyglądać przez okno, to zobaczyliśmy cały ten obóz z żołnierzami i ciebie... no i naturalnie przyglądaliśmy się wszystkiemu, co się tam działo. Ale popatrz! Jaka to piękna sala! Prawda? Całkiem jak prawdziwa!

Rzeczywiście tak było. Sala miała kształt prostokąta o murach z kamienia, grubych na cztery stopy, i sklepienia z olbrzymich belek. W jednym rogu były małe drzwiczki, które wychodziły na jakieś schody prowadzące i w górę, i na dół. Dzieci zeszły na dół i tam znalazły się w wielkiej, sklepionej piwnicy, której ogromne wierzaje były zamknięte i zabarykadowane. W górze kręte schody kończyły się u wejścia do małej, okrągłej wieżyczki, w której znajdowała się mała, jednookienna komnata. Okno owej komnaty było większe od innych okien i widziało się przez nie most zwodzony, w tej chwili podniesiony do góry. Fosa była bardzo szeroka i głęboka. Ogromne, zamczyste wierzaje wychodziły właśnie na fosę, a naprzeciw nich była też wielka brama, a w tej bramie znowu małe drzwiczki. Dzieci przeszły przez nie i znalazły się wtedy na brukowanym dziedzińcu, ponad którym ze wszystkich czterech stron wznosiły się wyniosłe szare mury zamku.

Prawie w środku dziedzińca stała Marta poruszając prawą ręką w powietrzu w tył i naprzód. Obok niej znajdowała się kucharka, która w bardzo dziwny sposób stąpała w miejscu i poruszała rękoma. Ale najdziwniejszy, a przy tym najstraszliwszy widok przedstawiał Baranek, który siedział na niczym o jakie trzy stopy nad ziemią i śmiał się beztrosko.

Dzieci pobiegły w jego kierunku. Ledwo jednak Antea wyciągnęła ramiona chcąc go pochwycić, gdy Marta zawołała z gniewem:

— Dajcie mu spokój! Po co go ruszać, panienko, kiedy mu jest dobrze.

— Ale co on wyprawia? — zapytała Antea.

— Wyprawia? Nic nie wyprawia! Siedzi bardzo grzecznie na swoim wysokim krzeselku i przygląda się, jak ja prasuję. Ale nie kręćcie się tutaj, bo mi żelazko wystygnie!

Podeszła do kucharki i zrobiła taki ruch, jakby rozniecała niewidzialny ogień niewidzialnym pogrzebaczem. A kucharka w tym czasie zdawała się wkładać niewidzialną blachę do niewidzialnego pieca.

— Już was tu nie ma! — zawołała. — I tak jestem ze wszystkim spóźniona. Nie dostaniecie wcale obiadu, jak mi tak będziecie przeszkadzać. No już! Bo przyszpilę któremuś ścierkę do ogona!

— Czy jesteś pewna, że z Barankiem jest wszystko w porządku? — spytała z niepokojem Janeczka.

— W porządku jak złoto, jeżeli tylko nie będziecie go drażnić. Myślałam, że chcieliście być dzisiaj bez niego, ale jeżeli wolicie, to możecie go sobie wziąć, proszę bardzo!

— Nie, nie! — zaprotestowały dzieci i uciekły w pośpiechu. Właśnie miała się zacząć obrona zamku, a Baranek był na pewno bezpieczniejszy nawet zawieszony w powietrzu w połowie niewidzialnej kuchni niż w samej kordegardzie oblężonego zamku. Dzieci szybko wróciły przez pierwsze drzwiczki i usiadły bezradnie na drewnianej ławie stojącej pod murem sali.

— To zupełnie straszne! — zawołały naraz Janeczka i Antea, po czym Janeczka dodała: — Tak się czuję, jakbym była w domu wariatów.

— Co to wszystko znaczy? — spytała Antea. — To bardzo podejrzane i wcale mi się to wszystko nie podoba; szkoda, że nie życzyliśmy sobie czegoś zwyczajnego — konia na biegunach, osiołka albo czegoś w tym rodzaju.

— Teraz żadne życzenia nic nam już nie pomogą — powiedział z goryczą Robert. A Cyryl dodał:

— Może przestaniesz gadać; chciałbym trochę pomyśleć.

Zasłonił twarz rękoma, a reszta dzieci przyglądała mu się w milczeniu. Znajdowały się teraz w obszernej, prostokątnej komnacie o łukowatym sklepieniu. Przez całą długość ustawione były dębowe stoły, a jeden stał w poprzek na podwyższeniu ustawionym w jednym końcu komnaty. W izbie panował mrok i mało co było widać. Podłoga była usiana mnóstwem jakichś cienkich i suchych patyków. Wtem Cyryl usiadł raptownie i zaczął mówić:

— Posłuchajcie, co wam powiem, bo zdaje mi się, że już wszystko rozumiem. Pamiętacie, że umówiliśmy się z duszkiem, żeby w domu nic nie zauważono, kiedy się będą spełniać nasze życzenia. I z Barankiem też nic się nie przydarzy, o ile nie wypowiemy specjalnego życzenia. Więc nic dziwnego, że oni nic nie widzą: nie widzą ani zamku, ani obozu, ani w ogóle nic. Ale przecież zamek znajduje się w tym samym miejscu, gdzie był nasz dom — był, a właściwie jest — i służące są dalej w domu, jak gdyby nic się nie stało, bo inaczej coś by zauważyły. A swoją drogą, nie można mieć zamku połączonego z domem, więc my znowu nie możemy zobaczyć domu, bo widzimy zamek. Tak samo jak oni nie mogą widzieć zamku, bo widzą dom. Więc...

— Dosyć już, dosyć — zawołała Janeczka — bo już mi się w głowie kręci od tego twojego mówienia! I mniejsza o to wszystko! Jedno, czego bym chciała, to żebyśmy mogli zobaczyć nasz obiad. Bo jeżeli obiad będzie niewidzialny, to będzie również niewyczuwalny, a w takim razie, jak będzie można go zjeść! I bardzo się tego boję, bo próbowałam dotknąć krzesła Baranka, ale nic pod nim nie było, tylko jakby powietrze. A powietrzem nie możemy się najieść i to jest bardzo smutne, bo czuję się tak, jakbym już od lat nie jadła wcale śniadania.

— Nie warto zastanawiać się nad tym — rzekła Antea — bo i tak nic nam z tego nie przyjdzie. Lepiej spróbujmy wy badać to miejsce. Może jednak znajdziemy coś do jedzenia.

Słowa te wzbudziły nadzieję w sercach wszystkich i dzieci zabrały się do przetrząśnięcia zamku. Ale choć był to najpiękniejszy i najdoskonalszy zamek, jaki tylko można sobie wyobrazić, i wyposażony wewnątrz we wszystko, co w takim zamku bywa, dwóch rzeczy brakło tam absolutnie: nie było ani śladu załogi i ani odrobiny jedzenia.

— Gdybyście przynajmniej życzyli sobie znaleźć się w zamku oblężonym, ale dobrze zaopatrzonym w prowiant i z odpowiednią załogą! — rzekła Janeczka z wyrzutem.

— Ach, moja droga, nie można pamiętać o wszystkim — odparła Antea. — A swoją drogą zdaje mi się, że musi już być pora na obiad.

Antea myliła się: było jeszcze za wcześnie. Mimo to dzieci pilnie obserwowały dziwaczne ruchy służby pośrodku zamkowego dziedzińca, gdyż oczywiście nie mogły w żaden sposób odgadnąć, gdzie znajduje się teraz jadalnia ich niewidzialnego domu. Wreszcie spostrzegły Martę, jak niosła przez podwórzec niewidzialną tacę, i doszły do wniosku, że jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności jadalnia ich domu i zamkowa sala bankietowa znajdują się w tym samym miejscu. Ale też zaraz pojęły, że nic im z tego nie przyjdzie, skoro taca jest niewidzialna. Toteż popadły w jeszcze większe niż dotąd przygnębienie.

W ponurym milczeniu patrzyły teraz, jak Marta kroi na kawałki niewidzialną pieczeń, nakłada na niewidzialne talerze i niewidzialną łyżką nabiera niewidzialną jarzynę i ziemniaki. Wreszcie wyszła z pokoju, a dzieci najpierw spojrzęły na pusty stół, a potem po sobie.

— To już jest chyba najgorsze ze wszystkiego — rzekł Robert, który jak dotąd nie zdradzał szczególnego apetytu na obiad.

— A ja wcale nie jestem taka głodna — zapewniała Antea usiłując swoim zwyczajem znaleźć jakąś pociechę w nieszczęściu.

Cyryl ostentacyjnie zacisnął swój pasek o dwie dziurki. Janeczka wybuchnęła płaczem.

ROZDZIAŁ VII

OBLEŻENIE I MARSZ DO ŁÓŻKA

Gromadka dzieci siedziała w ponurej sali bankietowej przy samym końcu jednego z długich i pustych dębowych stołów. Teraz nie było już żadnej nadziei. Marta przyniosła obiad, ale obiad był niewidzialny i nawet nie można było go dotknąć i posmakować. Dzieci na próżno macały rękoma po stole — nic tam nie mogły znaleźć poza nagim, zimnym blatem.

Nagle Cyryl sięgnął do kieszeni.

— Hurra! — zawołał z tryumfem. — Widzicie? Herbatniki!

Były pokruszone i połamane, to prawda, ale zawsze były to herbatniki.

Zresztą trzy były całe, no i spora garść kawałków i okruchów.

— Dostałem je dziś rano od kucharki, ale zapomniałem na śmierć — wyjaśnił Cyryl dzieląc odnalezione skarby z niezwykłą skrupulatnością na cztery równe części.

Zjedli je w milczeniu, ale było to radosne milczenie, mimo że herbatniki miały trochę dziwny smak, gdyż przez cały ranek znajdowały się w kieszeni Cyryla razem z kłębkiem smołowanego szpagatu, kilku szyszkami i sporym kawałkiem stearyny.

— Wszystko to dobrze, Wiewiórciu — odezwał się Robert — ale wytłumacz mi jedno, kiedy już tak mądrze wyjaśniłeś nam wszystko z tą niewidzialnością. Powiedz, skąd się to bierze, że herbatniki możemy widzieć i jeść, a chleb, mięso i wszystkie inne rzeczy poznikały?

— Doprawdy nie wiem — odparł Cyryl po chwili namysłu — ale chyba dlatego, że herbatniki były w mojej kieszeni. W nas nic się nie zmieniło. Zajrzyj do swojej kieszeni, a przekonasz się, że wszystko jest jak przedtem.

— W takim razie gdybyśmy mieli pieczeń przy sobie, to byłaby prawdziwa — rzekł Robert. — Ach, jakbym chciał, żebyśmy ją znaleźli!

— Ale nie możemy jej znaleźć i nie znajdziemy. Przypuszczam, że moglibyśmy ją zobaczyć dopiero mając ją w ustach.

— Albo w kieszeni — wtrąciła Janeczka myśląc o herbatnikach.

— Kto trzyma pieczeń w kieszeni, ty gapo? — rzekł Cyryl. — Inna sprawa, że warto spróbować!

Pochylił się nad stołem trzymając twarz mniej więcej w odległości cała od jego powierzchni, otwierał i zamykał usta, jak gdyby odgryzał kawałki powietrza.

— Nic z tego — rzekł Robert w zupełnej rozpaczce. — Tyle tylko... Oo!

Cyryl podniósł się z tryumfującym uśmiechem, a w ustach trzymał sporą kromkę chleba. Chleb był najzupełniej prawdziwy. Każdy mógł go zobaczyć. Wprawdzie za każdym razem, kiedy Cyryl odgryzał kawałek, reszta chleba zniknęła, ale nic to nikomu nie przeszkadzało, bo wiedzieli, że Cyryl trzyma kromkę w rękę, choć nikt jej nie mógł ani dotknąć, ani zobaczyć. Cyryl ponownie odgryzł kawałek powietrza między palcami i w chwili odgryzania zmieniło się ono w chleb. Natychmiast cała reszta poszła za jego przykładem i zaczęła posuwać się wzdłuż gołego blatu stołu, ciągle otwierając i zamykając usta. Robert trafił na spory płat pieczeni i... ale myślę, że lepiej będzie, jeśli opuszczę zasłonę na resztę tej przykrew sceny. Wystarczy chyba, gdy powiem, że wszyscy zdołali jakoś zjeść dostateczną ilość pieczeni, a kiedy Marta przyszła zmienić talerze, powiedziała, że póki żyje, nie widziała jeszcze takiego bałaganu na stole.

Na deser było na szczęście zwykle ciasto w jednym długim kawałku. A w odpowiedzi na pytania Marty dzieci zapewniały ją zgodnie, że nie chcą ani kremu do ciasta, ani dżemu, ani konfitur.

— Wystarczy takie, jak jest — powiedziały.

— Hm — mruknęła Marta i dodała coś jeszcze, co zapewne miało oznaczać zdumienie, po czym wyszła.

Wtedy nastąpiła druga scena, nad którą nie będę się już rozwodzić, bo przecież, jak wiadomo, nikt nie może ładnie wyglądać, kiedy chwyta ustami kawałki ciasta ze stołu jak piesek.

Najważniejsze zresztą było to, że ostatecznie wszyscy zjedli obiad. I teraz każdy odczuł wielki przypływ odwagi, tak potrzebnej dla odparcia szturm, który miał nastąpić przed zachodem słońca. Robert, jako dowódca, postanowił, że trzeba wspiąć się na szczyt jednej z wież dla zbadania terenu, toteż wszyscy zaczęli gramolić się na górę. Ze szczytu wieży widać było nie tylko cały zamek, otoczony fosą, ale oprócz tego ciągnące się z obu stron namioty armii oblężniczej. Zimny dreszcz wstrząsnął gromadką dzieci, gdy zobaczyły, jak żołnierze nieprzyjacielskich wojsk czyszczą i ostrzą broń, jak napinają łuki i polerują tarcze. Spora grupa czeladzi obozowej maszerowała drogą, prowadząc za sobą konie, które ciągnęły potężny pień drzewa. Na ten widok Cyryl zbladł jak ściana, wiedział bowiem, że to wiozą taran do rozwalenia bramy.

— A swoją drogą, jak to dobrze, że otacza nas fosa — powiedział — i że most zwodzony jest podniesiony do góry. Nie mam zielonego pojęcia, jak taki mechanizm działa.

— Ale przecież w oblężonym zamku most zwodzony zawsze jest podniesiony.

— Tak — odparł Robert — ale w oblężonym zamku powinna przecież być także i załoga.

— Ale czy ty wiesz, od jak dawna zamek jest oblegany? — spytał Cyryl posepnie. — Może większość męnych obrońców zginęła jeszcze na samym początku oblężenia i cały prowiant został zjedzony. A teraz została tylko mała garstka niezłomnych — to znaczy my — i bronić będziemy zamku aż do śmierci.

— A od czego zaczyna się obronę zamku aż do śmierci? — spytała Antea.

— Powinniśmy być uzbrojeni ciężko i strzelać do wroga, skoro tylko ruszy do szturm.

— Dawniej mieli zwyczaj lać roztopiony ołów na idących do szturm, kiedy znajdują się zupełnie blisko — rzekła Antea. — Tatuś pokazywał mi otwory specjalnie po to robione w murach królewskiego zamku. I takie same otwory widziałam w baszcie przy głównej bramie.

— A ja bardzo się cieszę, że to jest wszystko na niby — powiedziała Janeczka. — Bo to jest wszystko na niby, prawda?

Nikt nie odpowiedział.

Znaleźli w zamku całe mnóstwo bardzo dziwacznej broni. I jeżeli mieli się w nią uzbroić, to rzeczywiście byliby wkrótce bardzo „ciężko uzbrojeni”, mówiąc słowami Cyryla. Gdyż zarówno miecze, jak oszczepy i łuki były tak ciężkie, że nawet sam Cyryl nie mógł ich udźwignąć. Co zaś do kuszy, to żadne z dzieci nie potrafiło jej nawet naciągnąć. Już lepiej jakoś radzili sobie ze sztyletami. Ale Janeczka miała nadzieję, że nikt z oblegających nie znajdzie się tak blisko, żeby trzeba było robić użytek ze sztyletów.

— To nic nie szkodzi — rzekł Cyryl — możemy porobić sobie z tych sztyletów oszczepy i rzucać nimi w głowy nieprzyjaciela. A zresztą, wiecie co? Po tamtej stronie dziedzińca leży mnóstwo kamieni. Warto byłoby przynieść je tutaj. I jeżeli tamci spróbują przepłynąć fosę, to zasypiemy ich kamieniami.

Tak więc w komnacie położonej nad bramą wyrósł z jednej strony wielki stos kamieni, a z drugiej — błyszczący i groźnie wyglądający stos noży i sztyletów.

Antea przechodziła właśnie przez dziedziniec, by przynieść więcej kamieni, gdy nagle olśniła ją bardzo cenna myśl. Podeszła do Marty i powiedziała:

— Czy moglibyśmy dostać na podwieczorek tylko herbatniki? Będziemy teraz się bawić w oblężenie zamku i chcielibyśmy dostać herbatniki na prowiant dla załogi. Tylko mam takie brudne ręce, że prosiłabym cię, żebyś mi moją porcję włożyła do kieszeni. A tamtym powiem, żeby przyszli po swoje.

Był to rzeczywiście bardzo szczęśliwy pomysł, gdyż Marta po kolei wetknęła każdemu do kieszeni hojną ręką sporą garść powietrza, które naraz zmieniło się w herbatniki, i w ten sposób załoga była dobrze zaopatrzona aż do zachodu słońca.

Ponieważ okazało się, że w zamku najwidoczniej nie było roztopionego ołowiu, więc przydźwigali wielkie, metalowe dzbany pełne zimnej wody, którą zamierzali polewać oblegających.

Popołudnie minęło zadziwiająco szybko. Wszystko, co się działo, było niezmiernie przejmujące; nikt jednak, z wyjątkiem Roberta, nie zdawał sobie sprawy, jak prawdziwie śmiertelne niebezpieczeństwo zawisło nad nimi. Tamci przecież widzieli obóz i armię obleżniczą tylko z odległości i dlatego wszystko wydawało im się przez pół jakąś zabawą, a przez pół nadzwyczaj ciekawym, ale i zupełnie nieszkodliwym snem. I jeden tylko Robert wiedział, jak jest w rzeczywistości.

Kiedy nadeszła pora podwieczorku, załoga zjadła herbatniki, popijając ze wspaniałych pucharów wodę czerpana ze studni pośrodku dziedzińca. Cyryl wymógł na pozostałych, aby osiem herbatników odłożyć jako zapas na wypadek, gdyby ktokolwiek osłabł w czasie zbliżającej się bitwy.

Właśnie zajęty był układaniem zapasu herbatników w małej niszy kamiennej bez drzwiczek, gdy nagle usłyszał dźwięk, na którego odgłos trzy herbatniki wypadły mu z ręki. Tym odgłosem był przenikliwy dźwięk rogu.

— Widzicie, że to jest naprawdę — rzekł Robert. — Zaraz uderzą do szturmu.

Cała załoga rzuciła się do wąskich okienek.

— Tak, tak — mówił Robert — teraz wychodzą z namiotów i poruszają się jak gromada mrówek. Widzę teraz Jakina, jak harcuje na wprost zwodzonego mostu. Szkoda, że mnie nie widzi, bo z przyjemnością pokazałbym mu język!

Z pozostałych jednak nikt nie miał ochoty pokazać komukolwiek języka. Bładzi jak ściana patrzyli na Roberta z niezwykłym szacunkiem.

— Jesteś naprawdę mężny, Robercie — rzekła Antea.

— Bujda! — bladeść Cyryla zmieniła się nagle w jednej chwili w szkarłat. — To nie sztuka, kiedy on już od kilku godzin przygotowywał się do tego, żeby być mężnym. A ja się nie przygotowywałem i w tym cała różnica. Ale ręczę, że za pięć minut będę mężniejszy od niego!

— Ach, mój drogi — zawołała Janeczka — co za różnica, który z was jest mężniejszy? Myślę, że Cyryl zrobił straszne głupstwo z tym życzeniem zamku. A ja już nie chcę tej całej zabawy.

— To nie jest... — zaczął surowo Robert, ale Antea nie dała mu dokończyć.

— Ależ chcesz, chcesz — mówiła przymilnym tonem — chcesz, bo to bardzo ładna zabawa. Naprawdę! Bo przecież tamci nie mogą się tu dostać, a nawet gdyby tu weszli, to nic nie zrobiliby kobietom i dzieciom. Żadna cywilizowana armia nic nie robi...

— Ale czy jesteś pewna, czy jesteś zupełnie pewna, że to jest cywilizowana armia? — spytała drżąca ze strachu Janeczka. — Oni przecież pochodzą z takich dawnych czasów.

— To nic, ale są cywilizowani — odparła wesoło Antea wskazując na widok za oknem. — Spójrz tylko na te proporczyki, które mają na pikach, jakie są śliczne i kolorowe! A jakiego pięknego mają dowódcę! Popatrz, to chyba on — prawda, że to on, Robercie — na siwym rumaku?

Janeczka w końcu zgodziła się spojrzeć, a scena za oknem była rzeczywiście tak piękna, że aż uspokajała. Zielona ruń trawy, biel namiotów, błyski na grotach pik, polerowane zbroje, jaskrawe kolory szarf, którymi przepasani byli rycerze — wszystko to tworzyło jakby wspaniałą i niesłychanie barwny obraz. Grzmiały trąby, a kiedy trębacze urwali dla nabrania oddechu, do uszu dzieci doszedł szczeł oręża i zbroi oraz przytłumiony szmer głosów.

Jeden z trębaczy zbliżył się aż do samego brzegu fosy, która teraz wydawała się znacznie węższa niż początkowo. Podniósł trąbę do ust, po czym dało się słyszeć najdłuższe i najgłośniejsze tego dnia trąbienie. Kiedy wreszcie echo ucichło, rozległ się donośny głos rycerza, który towarzyszył trębaczowi:

— Słuchajcie! Słuchajcie, wy tam w zamku!

Słowa jego docierały wyraźnie do uszu załogi zamkniętej w baszcie przy bramie.

— Słuchamy! Z czym przychodzisz? — odkrzyknął natychmiast Robert.

— W imieniu Jego Królewskiej Mości i w imieniu naszego pana i wodza hrabiego Wulfryka de Talbot wzywamy was do poddania tego zamku pod groźbą zniszczenia go ogniem i mieczem i nieoszczędzania nikogo. Czy poddajecie się?

— Nie — wrzasnął Robert — rzecz jasna, nie poddajemy się! Nigdy! Nigdy! Przenigdy!

Rycerz zawołał w odpowiedzi:

— W takim razie niechże wasz los spadnie na wasze głowy!

— Wołajcie „hurra!” — rzekł Robert żarliwym szeptem. — Wołajcie „hurra!”, żeby im pokazać, że się ich nie boimy. I dzwońcie w sztylety, żeby było więcej hałasu. Raz, dwa, trzy! Hip, hip, hurra! Jeszcze raz: — Hip, hip, hurra! I jeszcze raz: — Hip, hip, hurra!

Okrzyki wypadły dość piskliwie i słabo, za to szczęk oręża przydał im powagi i siły.

Od strony obozu za fosą rozległ się nowy okrzyk. Wówczas załoga obleżonej twierdzy zrozumiała, że szturm zaczął się teraz na dobre.

W izbie wewnątrz baszty nad wielką bramą ściemniło się i Janeczka poczuła leciutki przyływ odwagi na myśl, że wobec tego do zachodu słońca nie może już być daleko.

— Fosa jest strasznie wąska — zauważyła Antea.

— Ale do zamku nie będą mogli się dostać, nawet jeżeli przepłyną fosę — odparł Robert. I w tej samej chwili, gdy to powiedział, usłyszał odgłos kroków na zewnętrznych schodach — odgłos ciężkich kroków oraz szczęk stali. Na przeciąg długiej chwili wszystkim zapanowało oddech. Odgłos stali i kroków stawał się coraz bliższy. Wówczas Robert przyskoczył cicho do drzwi i zdjął obuwie.

— Czekajcie na mnie tutaj — szepnął i szybko, a bezszelestnie wysunął się idąc śladem ciężkich butów, opatrzonych w ogromne ostrogi. Zajrzał do górnej izby i tam zobaczył rycerza. Był nim, cały ociekający jeszcze wodą z fosy, Jakin, który manipulował przy maszynerii służącej — Robert był teraz tego pewny — do opuszczenia zwodzonego mostu. Robert gwałtownie zatrzaskał drzwi i przekręcił wielki klucz w zamku akurat w chwili, gdy Jakin przyskoczył również do drzwi. Potem Robert popędził schodami na dół i wbiegł do małej, niskiej baszty. W tej właśnie baszcie znajdowało się największe okno.

— Tego powinniśmy byli bronić! — zawołał do pozostałych, którzy pobiegli za nim. Zjawili się w sam czas. Inny żołnierz przepłynął fosę i palce jego rąk widoczne już były na parapecie okna. Robert nie miał pojęcia, jak ten człowiek zdołał wygramolić się z fosy aż tutaj. Widział jednak kurczowo zaciskające się palce, toteż uderzył w nie z całej siły żelazną sztabą, którą znalazł na ziemi. Słysząc było, jak żołnierz wpadł z wielkim pluskiem z powrotem do fosy. W następnej chwili Robert wybiegł już z izby, zatrzaskał drzwi i zasunął niesłychanej wielkości sztabę wzywając Cyryła na pomoc.

Gdy się z tym uporali, wrócili do łukowatej baszty strażniczej, ciężko dysząc i patrząc wzajem na siebie. Janeczka aż otworzyła usta z podziwu.

— Nic się nie bój, Janeczko — rzekł Robert — teraz to już nie potrwa długo.

Wtem usłyszeli nad głowami skrzywienie, po czym coś zaczęło opadać z wielkim hurkotem. Kamienna posadzka pod nimi drgnęła, jakby się miała zapaść. Wreszcie usłyszeli stukot i zrozumieli, że opuszczono most zwodzony.

— To ta bestia Jakin — rzekł Robert. — Ale jest jeszcze krata w bramie zamkowej. Jestem prawie pewien, że maszyneria do jej podnoszenia znajduje się w podziemiu.

Teraz słyhać było odgłos kopyt końskich przelatujących przez zwodzony most i ciężkie buty pieszych żołnierzy.

— Na górę, ale prędko! — zawołał Robert. — Zasypiemy ich, czym tylko się da.

Nawet dziewczynki odczuły teraz coś w rodzaju odwagi. Pędem pobiegły za Robertem i pod jego kierunkiem zaczęły rzucać kamienie przez wąskie okienko. Na dole dały się słyszeć pomieszane hałasy i jęki.

— Ojej! — zawołała Antea odkładając kamień, który miała właśnie rzucić przez okno. — Boję się, czyśmy kogo nie skaleczyli!

Robert z wściekłością chwycił za kamień.

— Mam nadzieję, że tak! — krzyknął. — Ach, ileż bym dał za tęgi kocioł rozprzonego ołowiu! Może się mamy poddać, jeszcze czego!

Na moście znowu dały się słyszeć kroki. Potem zapadło milczenie, a jeszcze później rozległy się głuche uderzenia taranu. Tymczasem wewnątrz baszty było już prawie zupełnie ciemno.

— Wytrzymaliśmy — wrzasnął Robert — i już się nie poddamy! Za minutę najdalej słońce już musi zająć! Słyszycie? Oni znów hałasują pod nami. Szkoda, że nie ma już czasu, żeby przynieść więcej kamieni! Ale w takim razie polejemy ich wodą. Niewiele to warte, rzecz jasna, ale będą wściekli.

— Ojej! — zawołała Janeczka. — Czy nie myślisz, że może lepiej się poddać?

— Nigdy! — odparł Robert. — Możemy z nimi rokować, jeżeli chcesz, ale nie poddamy się nigdy! O, jak tylko dorosnę, to z pewnością będę żołnierzem — sami zobaczycie. Nigdy nie pójdę na urzędnika, choćby mnie nie wiem jak namawiali!

— To może zamachamy chustką i poprosimy ich o rokowania — namawiała Janeczka. — Bo mnie się zdaje że dziś wieczór słońce wcale nie zajdzie.

— Najpierw polejemy wodą tych łajdaków! — wykrzyknął żądny krwi Robert.

Antea wobec tego przysunęła dzbanek do najbliższego otworu do lania ołowiu i chlusnęła silnym strumieniem wody. Usłyszeli na dole plusk, ale, jak się zdaje, przeszło to bez żadnego wrażenia. I znowu rozległo się bicie taranem w główną bramę. Antea cofnęła się od otworu.

— Co za idiotyzm — rzekł Robert, który położył się na kamiennej posadzce baszty i przywarł jednym okiem do otworu na ołów. — Oczywiście że te otwory wychodzą prosto na zewnątrz baszty — można z nich robić użytek dopiero wtedy, kiedy wróg wyważy bramę i kratę i wszystko już jest prawie stracone. Ale dajcie mi tutaj ten dzban.

Wspiął się na parapet trójkątnego okienka umieszczonego wysoko w murze i biorąc dzban z rąk Antei, chlusnął wodą przez szczelinę do strzelania z łuku.

I skoro tylko popłynął strumień wody, wszystko nagle ucichło, jak świeca zgaszona dmuchnięciem: i głuche uderzenia taranu, i wrzawa uwijających się gorączkowo nieprzyjaciół, i okrzyki: „Poddajcie się!” oraz: „Niech żyje Talbot!” Mroczna izdebka w baszcie zakołysała się nagle i jakby przekręciła do góry nogami. A kiedy dzieci przyszły do siebie z wrażenia, przekonały się, że siedzą spokojnie i bezpiecznie w dużej sypialni ich własnego domu — dobrze znanego im domu z koszmarnymi wieżyczkami na dachu.

Stłoczyli się wszyscy przy oknie i wyjrzeli. Fosa pełna wody, namioty i armia oblężnicza — wszystko to znikło i widać było tylko ogród z klombami dali, nagietek, astrów i późnych róż, spiczaste zakończenia parkanu i cichą, bezludną, białą drogę za domem.

Z wszystkich piersi wydarło się westchnienie ulgi.

— Wszystko w porządku! — rzekł Robert. — Mówiłem wam przecież! A poza tym, jednak nie poddaliśmy się, prawda?

— Czy nie jesteś teraz zadowolony, że życzyłem sobie zamku? — spytał Cyryl.

— Ja tak — wtrąciła Antea — ale dopiero teraz. I, drogi Wiewiórciu, nie życzyłabym sobie tego po raz drugi.

— Ach, to było po prostu wspaniałe! — zawołała niespodzianie Janeczka. — Nie bałam się ani trochę.

— Co ty opowiadasz? — zaczął Cyryl, ale Antea nie dała mu dokończyć.

— Czy wiesz — powiedziała — co mi przychodzi teraz do głowy? Że to jest pierwsze nasze życzenie, które nas nie wkopało w jakąś grubszą historię. Bo z tym zamkiem nie było właściwie najmniejszej awantury. Nikt nie wścieka się na nas, jesteśmy w domu i nic się nikomu nie stało, a mieliśmy strasznie przyjemny dzień. Może zresztą nie był tak ściśle mówiąc przyjemny, ale ty mnie rozumiesz. No i wiemy teraz, jaki dzielny jest Robert... I Cyryl oczywiście także — dodała pośpiesznie — i Janeczka. I nie mieliśmy najmniejszej awantury z ani jednym dorosłym.

Wtem drzwi otwarły się gwałtownie.

— Jak wam nie wstyd! — rozległ się głos Marty i już z tego głosu można było wywnioskować, że strasznie jest rozgniewana. — Wiedziałam, że nie potraficie wytrzymać jednego dnia bez urządzenia jakiegoś głupiego kawału!

Człowiek nie może już nawet usiąść na chwilę przed domem, żeby ta banda nie wylała mu na głowę pełnego dzbanka wody! Marsz do łóżek wszyscy i postarajcie się zachować przyzwoicość jutro. I żebyście nie musiała wam tego dwa razy powtarzać! Jeżeli za dziesięć minut nie zastanę was wszystkich w łóżkach, to mnie popamiętacie! Pomyśleć tylko, nowy kapelusz i suknia!

Wybiegła nie zwracając uwagi na cały chór przeprosin i żalów.

Dzieciom było istotnie bardzo przykro, ale tym razem doprawdy nie było w tym ich winy. Bo cóż można poradzić, jeżeli wylewa się wodę na oblegającego wroga, a w tej samej chwili zamek zmienia się nagle w zwyczajny dom. I wszystko jednocześnie się zmienia z wyjątkiem wody, która ma to nieszczęście, że trafia na czyjś nowy kapelusz.

— Nie rozumiem tylko, dlaczego woda nie zmieniła się w nic — rzekł Cyryl.

— A dlaczego miałyby się zmienić? — spytał Robert. — Woda jest wodą zawsze na całym świecie.

— Myślę, że studnia w zamku była ta sama, co nasza studnia w drugim podwórzu — powiedziała Janeczka. I tak istotnie było.

— A ja wiedziałem — rzekł Cyryl — że nie damy rady uporać się z życzeniem bez jakiejś awantury. To byłoby za dobrze. No chodź, Robercie, bohaterze wojenny! Jeżeli grzecznie pójdziemy do łóżek, to może Marta nie będzie taka cięta i przyniesie nam coś na kolację. Jestem diabelnie głodny! Dobranoc, dziatki!

— Dobranoc! — odparła Janeczka. — Spodziewam się, że zamek nie wróci do nas w nocy.

— Pewnie że nie — rzekła z przejęciem Antea. — Ale Marta wróci — nie w nocy, tylko za chwilę. Odwróć się, to rozplącę ci ten supeł przy fartuszku.

— Myślę — rzekła Janeczka z namysłem — że hrabia Wulfryk de Talbot czułby się bardzo pohańbiony, gdyby wiedział, że połowa oblężonej załogi nosiła fartuszki...

— A druga połowa — krótkie spodenki — dokończyła Antea. — Z pewnością byłby wściekły. Ale stój spokojnie, bo tylko zaciskasz supeł.

ROZDZIAŁ VIII

WIĘKSZY NIŻ CHŁOPIEC OD PIEKARZA

— Słuchajcie! — obwieścił Cyryl. — Mam pomysł!

— Czy to bardzo cię boli? — spytał ze współczuciem Robert.

— Nie błażnij! Ja wcale nie żartuję.

— Cicho bądź, Robert! — zawołała Antea.

— Uciszymy się dla wysłuchania przemowy Wiewiórcia — rzekł Robert.

Cyryl kołysał się na brzegu beczki z wodą na podwórzu, gdzie akurat spotkała się cała czwórka. Zaczął tymi słowy:

— Przyjaciele, rodacy i rodaczki, Rzymianie! Znaleźliśmy duszka Piaskoludka. Wyraziliśmy różne życzenia. Mieliśmy skrzydła, byliśmy piękni jak dzień — uf, to było, przyznam się wam, naprawdę okropne — byliśmy bogaczami i panami zamczyska i mieliśmy tę głupią przygodę z Barankiem i Cyganami. Ale dalekośmy z tym nie zajechali. Jak dotąd z żadnego naszego życzenia nie mieliśmy żadnego pożytku!

— Przydarzały nam się różne przygody — wtrącił Robert — a to już coś jest.

— To za mało, chyba żeby to były naprawdę coś warte przygody — odparł Cyryl stanowczo. — Otóż myślałem...

— Doprawdy? — szepnął Robert.

— ...wśród ciszy — jak to się mówi — nocnej. A to jest tak, jakby kogoś nagle wyrwali z historii i spytali o datę odkrycia Ameryki czy o coś takiego: zawsze doskonale pamięta się taką datę, ale kiedy o nią pytają, to całkiem wylatuje to człowiekowi z głowy. Panie i panowie, wicie doskonale, że kiedy człowiek wyleguje się w nocy w łóżku, różne myśli przychodzą mu do głowy i mogą się tam znaleźć różne dobre pomysły na dobre życzenia...

— Słuchajcie, słuchajcie! — zawołał Robert.

— ...dobre życzenia, powtarzam, choćby nawet właściciel tej głowy był osłem — ciągnął Cyryl. — Przecież nawet zacny nasz Robert mógł być wpaść na pomysł naprawdę sensownego życzenia, gdyby nie nadwerężył swojego biednego mózdzku usiłując myśleć... Cicho bądź, Robert, powtarzam, bo zepsujesz całe przedsięwzięcie!

Walka na brzegu beczki z wodą jest wprawdzie czymś bardzo pasjonującym, ale jednocześnie mokrym. Kiedy się już skończyła i chłopcy częściowo wyschli, Antea powiedziała:

— Właściwie toś ty zaczął, Robert. Ale teraz, kiedy twój honor jest uratowany, daj Wiewiórciowi skończyć. Bo zmarnujemy cały ranek.

— A więc — rzekł Cyryl wyzymając resztki wody ze swojej kurtki — powiem zgoda, jeżeli Robert też powie.

— Niech będzie zgoda — odparł posępnie Robert — chociaż mam guza nad okiem wielkości tenisowej piłki.

Antea ofiarowała mu życzliwie chusteczkę i Robert w milczeniu opatrzył swoje rany.

— Mów dalej, Wiewiórciu — rzekła Antea.

— A więc zabawmy się po prostu w jakąś zwyczajną grę. Bawmy się w bandytów czy w fortecę, czy w żołnierzy, czy w coś innego. Na pewno wpadnie nam jakiś dobry pomysł do głowy, jak nie będziemy o to się starać. To zawsze tak bywa.

Wszyscy się zgodzili i wybór padł na zabawę w bandytów.

— Zabawa wcale nie gorsza od innych — rzekła posępnie Janeczka.

Trzeba przyznać, że na początku Robert był dość nieszczęśliwym bandytą. Kiedy jednak Antea pożyczyła od Marty chustkę w czerwone grochy — gajowy przyniósł w niej grzyby tego ranka — a potem tę chustkę zawiązała na głowie Roberta w taki sposób, że mógł być

rannym bohaterem, który poprzedniej nocy ocalił życie córki herszta bandytów — nastrój Roberta poprawił się ogromnie. Już po chwili wszyscy byli w pełnym uzbrojeniu. Łuki i strzały przewieszane przez ramię świetnie wyglądają. A parasolki i młotki krokiet owe wetknięte za pas nadają ich posiadaczowi wygląd uzbrojonego po zęby. Białe bawełniane pilotki, jakie mężczyźni noszą teraz na prowincji, robią niesłychanie bandyckie wrażenie, kiedy do nich przypiąć parę indyjskich piór. Wózek Baranka, przykryty ceratą w czerwono-niebieską kratę, stał się znakomitym wozem do wożenia łupów. I nawet to, że Baranek spał w środku, nie było w żadnym wypadku przeszkodą. Więc w najlepszych humorach bandyci wyruszyli drogą wiodącą do kamieniołomu.

— Powinniśmy być blisko Piaskoludka — rzekł Cyryl — na wypadek gdyby nam niespodzianie coś przyszło do głowy.

Bardzo łatwo jest zdecydować się na zabawę w bandytów czy grę w szachy albo ping-ponga, albo inną jaką przyjemną grę — ale nie jest wcale łatwo robić ją z sensem, kiedy zewsząd czyhają na was najrozmaitsze rozkoszne życzenia, o których wolno albo nie wolno pomyśleć. Toteż zabawa szła jakoś niesporo i niektórym z bandytów przyszło do głowy, że pozostali są całkiem do niczego. I nawet zaczęli mówić to sobie otwarcie, kiedy nadjechał chłopiec od piekarza z pełnym koszykiem bułek. Takiej okazji nie można było stracić.

— Ręce do góry! — zawołał Cyryl. — Oddaj nam twoje skarby!

— Pieniądze albo życie! — wykrzyknął Robert.

Stanęli z obu stron chłopca od piekarza. Na nieszczęście chłopiec nie okazywał najmniejszego zrozumienia sytuacji, a jak na piekarczyka był doprawdy niezwykle wyrośnięty. Powiedział więc po prostu:

— Odwal się jeden z drugim, słyszycie?! — i odepchnął na bok obydwu bandytów z zupełnym brakiem szacunku.

Wówczas Robert chciał go chwycić na łąso ze skakanki Janeczki. Wbrew jednak zamiarom Roberta łąso nie owinęło się wokół ramion chłopca, ale zaplątało się wokół jego nóg, wskutek czego chłopiec się przewrócił. Kosz z pieczywem upadł mu na ziemię, a smakowite świeżutkie bułki rozsypały się na wszystkie strony na piaszczystą drogę pełną kurzu. Dziewczynki rzuciły się, aby pozbierać bułeczki, a w tej samej chwili Robert i piekarczyk starli się ze sobą jak mężczyzna z mężczyzną, gdy Cyryl pilnował, by walka toczyła się według prawideł, a skakanka okręcała się wokół nóg walczących niczym zaciekawiony wąż, który chciałby nakłonić przeciwników do zgody. Nie udało się to jednak. Co gorsza, sposób, w jaki rączki skakanki uderzały walczących po kostkach i łydkach, wcale nie był zachęcający do zgody. Wiem, że jest to już druga walka — czy turniej — w tym rozdziale, ale nic na to nie poradzę. Taki to już był dzień. Sami dobrze wiecie, że są dni, kiedy awantury wynikają raz po raz, choć nikt z was nie zamierzał ich wywoływać. Gdybym była pisarzem opisującym przygody tego rodzaju jak te, które drukowano w „Małych Anglikach” w czasach mojej młodości, oczywiście potrafiłabym opisać dokładnie i tę walkę. Niestety, nie umiem tego zrobić. Nigdy nie wiem, co dzieje się w czasie walki, nawet kiedy chodzi tylko o walkę psów. Ponadto, gdybym była pisarzem, jak ci, co opisywali „Małych Anglików”, Robert zakończyłby walkę zwycięsko. Cóż, kiedy jestem jak Jerzy Waszyngton: nie umiem skłamać nawet o wiśniach*, a więc tym bardziej o prawdziwej walce. Nie mogę więc ukryć przed wami, że Robert został [dotkliwie pobity, drugi raz tego dnia. Piekarczyk podbił mu drugie oko, a będąc nieświadom podstawowych prawideł uczciwej gry i dżentelmeńskiego zachowania, wyrwał też Robertowi sporo włosów z głowy i kopnął go w kolano. Robert

* Jerzy Waszyngton (1732–1799) — bohater narodowy Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, naczelny wódz w walce o niepodległość Ameryki. Był on, jak głosi anegdota z jego dzieciństwa, bardzo prawdomównym chłopcem. Pewnego razu ojciec zauważył w ogrodzie połamane drzewko wiśniowe. Kiedy spytał syna, kto jest tego sprawcą, Jerzy Waszyngton od razu przyznał się do winy. Amerykanie twierdzą, że Waszyngton dlatego został wielkim człowiekiem, że zawsze mówił prawdę.

twierdził później, że jak nic rozprawiłby się z nicponiem, gdyby nie dziewczęta. Ale ja osobiście nie jestem tego pewna. W każdym razie wynik był taki, jak opisałam, a więc bardzo przykry dla każdego szanującego się chłopca. Cyryl chciał właśnie zrzucić kurtkę, by w należytej formie przyjść bratu z pomocą, gdy Janeczka chwyciła go obu rękami za nogi i zaczęła płakać i prosić, żeby dał spokój, bo i jego też pobijają. Łatwo pojąć, że taka opinia była bardzo pochlebna dla Roberta, nie można jej jednak porównać z tym, co odczuł, kiedy Antea rzuciła się między niego i piekarczyka i chwyciła nie umiejącego przyzwocie walczyć złoczyńcę za pasek błagając, aby dalszej bójce dał pokój.

— Ach, proszę cię, nie rób już krzywdy mojemu braciszkowi! — wołała tonąc we łzach.
— On nie chciał zrobić nic złego, to była tylko zabawa. Ręczę ci, że jest mu doprawdy bardzo przykro.

Widzicie sami, jakie to było nielojalne wobec Roberta. Bo gdyby przypadkiem piekarczyk miał w sobie jakieś rycerskie instynkty, gdyby skutek tego uległ prośbom Antei i przyjął jej poniżające przeprosiny — Robert, jako człowiek honoru, nie mógłby już mu nic nigdy zrobić w przyszłości. Lecz jeśli Robert żywił nawet jakieś obawy, zostały one wkrótce rozproszone. Rycerskość była uczuciem całkowicie obcym sercu piekarczyka. Bardzo szorstko odepchnął Anteę i ścigał Roberta wymyślając mu i okładając go pięściami przez całą drogę aż do samego kamieniołomu. Tam kopnął go jeszcze raz, skutek czego Robert zarył się głęboko w piasek.

— Ja ci pokażę, ty szczeniaku! — krzyknął na ostatek piekarczyk i zawrócił, aby pozbierać bułki i zająć się swoimi sprawami. Cyryl, powstrzymywany przez Janeczkę, nie mógł się ruszyć bez zrobienia jej krzywdy, gdyż Janeczka z siłą rozpacz przywarła do jego nóg. Piekarczyk spocony i czerwony odszedł wymyślając im do ostatniej chwili od bandy idiotów, aż wreszcie znikł za rogiem. Wtedy dopiero Janeczka wypuściła Cyryla z uchwytu. Milcząc dostojnie, Cyryl poszedł za Robertem, a dziewczynki udały się za nim zalewając się łzami.

Towarzystwo, jakie usiadło na piasku obok szlochającego Roberta, nie sprawiało wesołego wrażenia. Zresztą Robert szlochał przede wszystkim z wściekłości. Wiem, co prawda, że chłopiec prawdziwie bohaterski ma zawsze suche oczy po walce. Ale z drugiej strony, taki chłopiec zawsze zwycięża, a w wypadku Roberta było przecieź inaczej.

Cyryl był wściekły na Janeczkę; Robert złościł się na Anteę; dziewczynki czuły się wprost okropnie; a nikt z całej czwórki nie miał oczywiście przyjaznych uczuć dla piekarczyka. Zapadło więc, jak mówią francuscy pisarze, „milczenie pełne napięcia”.

Wreszcie Robert wybuchnął, aż skręcając się z wściekłości i wbijając stopy i ręce głęboko w piasek:

— Niech on tylko poczeka, aż ja dorosnę, ten tchórz przebrzydły! Bydlę! Nienawidzę go! Ale ja mu jeszcze odpłacę! To wszystko tylko dlatego, że jest większy ode mnie.

— Ale tyś zaczął — rzekła nierozważnie Janeczka.

— Wiem o tym, idiotko, ale ja przecieź tylko na żarty, a on — widzisz — jak mnie pokopał...

Robert zsunął pończochę i pokazał szkarłatnofioletowe sińce i skaleczenia.

— Chciałbym tylko być większy od niego, to wszystko.

Wetknął rękę jeszcze głębiej w piasek i nagle odskoczył, bo palcami dotknął czegoś włochatego. Był to naturalnie duszek Piaskoludek. „Czatował tu jak zwykle, żeby znowu wystrychnąć nas na dudków” — jak później zauważył Cyryl. No i naturalnie już w następnej chwili życzenie Roberta zostało spełnione i oto był teraz większy od piekarczyka. Większy to mało powiedzieć — bez porównania większy. Robert był teraz dużo większy niż ten ogromny policjant, który przed laty stał na rogu niedaleko królewskiego pałacu i znany był z tego, że tak uprzejmie pomagał starszym paniom przechodzić przez jezdnię. A był to największy człowiek, jakiego kiedykolwiek widziałam, a zarazem najłagodniejszy. Nikt nie miał w kieszeni centymetra, więc nie można było zmierzyć Roberta. Ale był znacznie wyższy, niż

byłby wasz tatuś, gdyby stanął na głowie waszej mamusi, czego zresztą z pewnością nigdy by nie zrobił będąc na to zbyt dobrze wychowanym. Robert miał chyba przynajmniej dziesięć albo i jedenaste stóp wzrostu, a był również odpowiednio rozwinięty wszcz. Na szczęście ubranie urosło z nim razem i Robert stał teraz wśród gromadki dzieci, a olbrzymia pończocha opadała mu w dół ukazując olbrzymi siniec na olbrzymiej łydce. Olbrzymie łyzy wściekłości wciąż spływały z jego olbrzymiej, czerwonej twarzy. A minę miał tak zdziwioną i tak śmiesznie wyglądał w swoim uczniowskim ubranku przy ogromnym wzroście, że nikt z pozostałych nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Duszek znów nas urządził — rzekł Cyryl.

— Nie nas, ale mnie — poprawił go Robert. — Gdybyś miał choć trochę przyzwoitości, to spróbowałbyś go namówić, żeby i ciebie zrobił takim samym dryblasem. Nie masz nawet pojęcia, jakie to głupie uczucie — dodał bez zastanowienia.

— Nie mam i nie chcę mieć; i bez tego widzę, jak to głupio wygląda — zaczął Cyryl.

— Ach, daj spokój! — przerwała mu Antea. — Doprawdy nie rozumiem, co się z wami dzisiaj dzieje. Posłuchaj mnie, Wiewiórciu, i bądź porządnym chłopcem. Przecież widzisz, jakie to okropne dla biednego Roberta, że jest tam w górze zupełnie sam. Spróbujmy poprosić Piaskoludka o jeszcze jedną rzecz. I jeżeli się zgodzi, to myślę, że doprawdy powinien nas zrobić tej samej wielkości.

Bardzo niechętnie co prawda reszta dzieci się zgodziła. Kiedy jednak odszukali Piaskoludka, ten nie chciał słyszeć o niczym.

— Ani myślę — powiedział ze złością, pocierając sobie łapkami twarz. — To nieznośny chłopiec, wciąż tylko się awanturuje. Dobrze mu robi, jak przez jakiś czas będzie nieodpowiednich rozmiarów. Dlaczego wygrzebywał mnie swoimi okropnymi, mokrymi łapami? Prawie że mnie dotknął! To zupełny dzikus. Chłopiec z epoki kamienia łupanego lepiej by się zachował.

Ręce Roberta były istotnie mokre — mokre od łez.

— Zabierajcie się i dajcie mi spokój — ciągnął duszek. — Nie rozumiem, dlaczego nigdy nie życzyte sobie czegoś sensownego: na przykład czegoś do zjedzenia lub do picia, grzeczności czy dobrego charakteru. Idźcie sobie ode mnie!

Piaskoludek groźnie poruszał wąsikami, marszczył brwi i prawie że warczał. Wszyscy zrozumieli, że jakiegokolwiek próby dalszego namawiania go byłyby daremne.

Zwrócili się ponownie do olbrzymiego Roberta.

— I co teraz zrobimy? — spytali wszyscy naraz.

— Po pierwsze — odparł ponuro Robert — pójdę teraz pogadać z piekarczykiem. Dopędzę go na końcu naszej drogi.

— Tylko nie bij chłopca mniejszego od siebie, mój drogi — rzekł Cyryl.

— Czy wyglądam na to? — odparł Robert z pogardą. — Przecież zabiłbym go od jednego zamachu. Ale będzie miał ode mnie pamiątkę. Poczekajcie tylko, aż podciągnę pończochę.

Robert podciągnął pończochę, która była wielkości powleczenia na małą pierzynkę, i odszedł. Robił kroki długości sześciu czy siedmiu stóp, więc bez trudu dotarł do wzgórza, aby tam czatować na piekarczyka, który wymachując pustym koszykiem maszerował w stronę wózka swojego pana rozwożącego chleb do domków po obu stronach drogi.

Robert ukrył się za kopicą siana na podwórzu farmy położonej na końcu drogi. A kiedy usłyszał, że piekarczyk zbliża się pogwizdując, wyskoczył i chwycił go mocno za kołnierz.

— A teraz... — powiedział, przy czym jego głos był mniej więcej cztery razy grubszy niż zwykle, tak jak jego ciało było cztery razy większe niż zwykle. — A teraz nauczę cię kopać chłopców mniejszych od ciebie.

Uniósł piekarczyka do góry i umieścił go na szczycie stogu siana, to znaczy na jakie szesnaście stóp nad ziemią. Potem przysiadł na dachu obory i powiedział piekarczykowi dokładnie, co o nim myśli. Nie sądzę, aby piekarczyk wszystko to usłyszał, bo zdrętwiał ze

strachu. Kiedy Robert powiedział już wszystko, co tylko mu przyszło do głowy, a niektóre rzeczy powtórzył nawet dwa razy, potrząsnął piekarczykiem i dodał:

— A teraz złaź sobie stąd, jak ci będzie najwygodniej — po czym odszedł, nie oglądając się za siebie.

Nie wiem, w jaki sposób piekarczyk zszedł na ziemię, ale wiem, że spóźnił się na spotkanie z piekarzem i kiedy wreszcie pokazał się w piekarni, oberwał najpotężniejsze lanie, jakie mu się kiedykolwiek w życiu dostało. Przykro mi za niego, ale ostatecznie należała mu się nauuczka, bo mali Anglicy w czasie walki nie powinni używać nóg, tylko pięści. Sytuację pogorszyło jeszcze i to, że próbował opowiadać piekarzowi o chłopcu, którego stłukł, i olbrzymie wysokim jak wieża kościelna, którego potem spotkał. Bo nikt naturalnie w taką bajeczkę nie chciał uwierzyć. Nazajutrz już uwierzono, ale dla piekarczyka stało się to za późno i nie stanowiło już żadnej pociechy.

Gdy Robert wrócił do domu, zastał resztę gromadki w ogrodzie. Antea przemyślnie poprosiła Martę, aby tam mogli zjeść obiad — pokój jadalny był niezbyt wielki i byłoby dość trudno zmieścić tam braciszka wielkości Roberta. Baranek, który przespał spokojnie całe burzliwe przedpołudnie, zaczął teraz kichać i Marta powiedziała, że z pewnością ma katar i powinien zostać w pokoju.

— I myślę, że to nawet lepiej — rzekł Cyryl — bo z pewnością ryczałby bez końca, gdyby choć przez chwilę zobaczył cię w tych strasznych rozmiarach.

Robert był rzeczywiście czymś takim, co w języku krawieckim nazywa się „na wyrost”. Bez najmniejszego wysiłku i bez żadnego wspinania się wszedł do ogrodu przez parkan, choć parkan był wysoki.

Marta przyniosła obiad: zimną cielęcinę z ziemniakami, leguminę z manny i kompot ze śliwek.

Marta oczywiście nie zauważyła, że Robert jest innego wzrostu niż zwykle, i dała mu zwyczajną porcję mięsa i ziemniaków. A nie możecie sobie nawet wyobrazić, jak maleńka wydaje się taka zwykła porcja obiadowa, kiedy jest się cztery razy większym niż zwykle. Robert stęknął i poprosił o więcej chleba. Ale Marta nie chciała mu dać więcej chleba niż zazwyczaj. Śpieszyła się bardzo, bo gajowy miał wstąpić po drodze na jarmark w Benenhurst, a chciała wyelegantować się jeszcze, zanim on przyjdzie.

— Chciałbym, żebyśmy wszyscy poszli na jarmark — rzekł Robert.

— Nigdzie nie możesz pójść, póki jesteś taki olbrzymi — odparł Cyryl.

— Dlaczego? — spytał Robert. — Na jarmarkach pokazują olbrzymów nawet większych ode mnie.

— Nie bardzo — zaczął Cyryl, ale Janeczka w tej samej chwili krzyknęła: „Ach!” tak głośno i niespodziewanie, że wszyscy zaczęli uderzać ją w plecy i dopytywać się, czy nie połknęła pestki od śliwki.

— Nie — odparła Janeczka ledwo dysząc od uderzeń w plecy — to nie pestka. To pomysł. Weźmy Roberta ze sobą na jarmark i niech go pokazują za pieniądze, które nam potem dadzą! Wtedy nareszcie będziemy mieli jakiś pożytek z tego Piaskołudka!

— Mnie pokazywać na jarmarku! — wykrzyknął z oburzeniem Robert. — To prędzej ja mógłbym was pokazywać!

I na tym w końcu stanęło. Pomysł niesłuchanie podobał się wszystkim z wyjątkiem Roberta. Ale nawet i on dał się wreszcie namówić, gdy Antea zaproponowała, żeby dostał podwójny udział wszystkich zarobionych pieniędzy. W wozowni był mały staroświecki wózek do kucyka. Ponieważ wszyscy uznali, że trzeba na jarmark dostać się jak najprędzej, więc Robert — który mógł teraz robić olbrzymie kroki, a przez to poruszać się bardzo szybko — zgodził się zawieźć tam rodzeństwo wózkami. Przyszło mu to obecnie z taką samą łatwością, jak jeszcze tegoż rana wożenie Baranka w jego dzieciennym wózekku. Baranek miał katar, więc nie mógł wziąć udziału w wyprawie.

Jechać wózkiem ciągnionym przez olbrzyma było bardzo dziwnym uczuciem. Wyprawa wszystkim się podobała, tylko nie Robertowi i nielicznym przechodniom spotkanym po drodze. Ci ostatni przeważnie przypominali dzieciom historie biblijne — jak powiedziała Antea — bo na ich widok zamieniali się w słupy soli. Kiedy byli już pod samym miasteczkiem, Robert schował się w szopie, a pozostali poszli na jarmark.

Były tam najrozmaitsze huśtawki, buda strzelnicza, rozpędzona, hucząca, grzmiąca karuzela i konkurs na zdobycie orzecha kokosowego, uwieszonego wysoko na słupie. Cyryl opanował w sobie chęć zdobycia kokosu — a przynajmniej dokonania próby — i podszedł do kobiety, która nabijała małe karabinki stojąc obok całego rzędu butelek uwieszonych na sznurze wzdłuż dużej, brezentowej płachty.

— Proszę bardzo, kawalerze — zawołała kobieta. — Pensa od strzału!

— Dziękuję pani — odpowiedział Cyryl — ale ja przyszedłem tutaj w interesie, nie dla zabawy. Gdzie jest dyrektor?

— Dy... co?

— Dyrektor, kierownik... Ten, co zarządza wesołym miasteczkiem.

— Aa!... tam — odparła kobieta wskazując tęgiego mężczyznę w wytłuszczonej, płóciennej kurtce, nie opodal śpiącego w słońcu. — Ale nie radzę budzić go za raptownie, bo jest bardzo porywczy, zwłaszcza w taki upał. Lepiej niech kawaler zaczeka na niego, a tymczasem sobie postrzela.

— Kiedy to ważna sprawa — rzekł Cyryl — i myślę, że bardzo dla niego korzystna. Z pewnością byłby zmartwiony, gdyby się dowiedział, jaką stracił okazję.

— Co, może jakiś zarobek — zainteresowała się kobieta — czy po prostu jakieś zawracanie głowy? Co to takiego?

— Olbrzym.

— Nie buja mnie kawaler?

— Proszę pójść z nami i zobaczyć — powiedziała Antea.

Kobieta obrzuciła ich podejrzliwym spojrzeniem, następnie zawołała umorusaną dziewczynkę w pasiastych pończochach i wybrudzonej białej spódnicy wystającej spod brązowej sukienki i powierzyła jej opiekę nad „budą strzelniczą”, wreszcie zaś zwróciła się do Antei:

— Więc chodźmy, ale prędko! Tylko jeżeli chcecie mnie nabierać, lepiej przyznajcie się od razu. Ja sama jestem łagodna jak owieczka, ale mój Bill to prawdziwy postrach i...

Antea poprowadziła kobietę do szopy.

— To naprawdę olbrzym — mówiła po drodze — olbrzymi chłopiec w uczniowskim ubraniu podobnym do tego, które nosi mój brat. Nie przyprowadziliśmy go prosto na jarmark, bo ludzie tak się gapią na niego, że z przejęcia dostają jakby jakichś ataków. Ale przyszło nam na myśl, że może chcielibyście pokazywać go za pieniądze. I możecie to zrobić, jeżeli część tych pieniędzy zgodzicie się nam oddać. Ale musielibyście dać nam dosyć dużo, bo chłopcu obiecaliśmy, że dostanie podwójny udział z tego, co zarobimy.

Kobieta zaczęła mrużyć coś bardzo niewyraźnie pod nosem, z czego dzieci dosłyszały tylko poszczególne słowa, jak „spokojni”, „placuszki” i inne w tym rodzaju, z czego nic wyraźnego nie dało się wywnioskować.

W pewnej chwili kobieta wzięła Anteę za rękę i trzymała ją bardzo mocno. Tak mocno, że Antea zaczęła się zastanawiać, co też będzie, jeśli okaże się na przykład, że Robert poszedł sobie albo też w czasie ich nieobecności odzyskał swój zwykły wymiar. Pocieszała się jednak, że dary Piaskoludka trwają zawsze do zachodu słońca, choć czasami bywa to niewygodne. A skoro tak, to nie przypuszczała, by Robert zaryzykował samotną wędrówkę, póki jest taki, jaki jest.

Kiedy przyszedli do szopy i Cyryl zawołał: „Robert!”, siano w szopie poruszyło się nagle i Robert zaczął się z niego gramolić. Najpierw ukazały się ręce i ramiona, a potem noga. Kiedy

kobieta zobaczyła rękę Roberta, zawołała: „Ojej!”, ale na widok nogi krzyknęła: „Coś takiego!” i całkowicie znieruchomiła. Przez ten czas stopniowo wyłoniła się cała, kolosalna postać Roberta. Wtedy kobieta westchnęła bardzo głęboko i zaczęła wyrzucać ze siebie takie mnóstwo dziwnych słów, że w porównaniu z tym „spokojni” i „placuszki” wydawały się zupełnie zwyczajną ludzką mową. Dopiero po długiej chwili zaczęła mówić normalnym, zrozumiałym językiem.

— Ile chcecie za niego? — spytała gorączkowo. — Dobrze wam zapłacimy, ale nie możecie nas obdzierać ze skóry. Zrobimy specjalną budę dla niego... Wiem nawet, gdzie można dostać taką, mało używaną, która będzie w sam raz... To po małym słońiatku, które niedawno zdechło... Więc ile chcecie za niego? On jest chyba łagodny, prawda? Te olbrzymy zwykle są łagodne — choć to nigdy nic nie wiadomo — tak, nigdy nie wiadomo! Więc ile chcecie? Damy wam zadatek. Będzie się miał jak król, dostanie pierwszorządne żarcie i wszystko, czego mu tylko trzeba. On musi być pewnie trochę głupkowaty, bo inaczej obszedłby się bez was. Więc ile chcecie za niego?

— Oni nic nie wezmą — odezwał się surowo Robert. — Nie jestem wcale łagodniejszy niż pani, a może jeszcze mniej, chyba na pewno mniej. Mogę przyjść i pokazywać się przez dzisiejszy dzień, jeżeli mi dacie — zawahał się chwilę, zanim wymienił olbrzymią sumę, jakiej chciał zażądać — jeżeli dacie mi piętnaście szylingów.

— Zrobione — odparła kobieta z takim pośpiechem, że Robert poczuł się nagle pokrzywdzony i żałował tylko, że nie zażądał trzydziestu szylingów. — A teraz chodź i zobacz się z moim Billem, a wtedy umówimy się o cenę na cały sezon. Nie jestem pewna, ale myślę, że możesz dostać nawet dwa kawałki tygodniowo. Więc chodź — tylko na miłość boską, kiedy będziemy szli, staraj się być, jak tylko możesz, najmniejszy!

Robert się starał, ale mimo to wcale nie był taki malutki. Zaraz więc zebrał się spory tłum i szli jakby na czele niesłychanie wzburzonego pochodu. I tak znaleźli się na łące, gdzie urządzone było wesołe miasteczko, i depcząc zrudziałą i zapyloną trawę, stanęli u wejścia do wysokiego namiotu. Robert wsunął się tam z wysiłkiem, a kobieta poszła po Billa. Był to ów śpiący tłusciuch i wcale nie wydawał się zadowolony, że go zbudzono. Cyryl, podglądający przez szparę w namiocie, widział, jak tamten przeciąga się, zrzędzi, potrząsa ciężką pięścią i rozspaną głową. Potem kobieta zaczęła coś bardzo prędko mówić. Do uszu Cyryla dobiegło: „takiegoś jeszcze nie widział!” i Cyryl z Robertem zaczęli żałować, że nie zażądali znacznie więcej niż piętnaście szylingów. Bill przywłókł się wreszcie do namiotu i wszedł do środka. Kiedy zobaczył wspaniałe kształty Roberta, wymówił tylko: „A niech mnie lichy!”, co dzieci zapamiętały, gdyż były to jego jedyne słowa. Ale wydobył piętnaście szylingów, przeważnie miedziakami, i wręczył pieniądze Robertowi.

— Umówimy się, ile będziesz dostawał, kiedy skończy się przedstawienie — rzekł ochryplym głosem. — Zobaczysz, będzie ci u nas tak dobrze, że będziesz chciał zostać z nami na zawsze. Czy potrafisz coś zaśpiewać? A może coś jeszcze umiesz?

— Dzisiaj nie — odparł Robert, odrzucając myśl, jaka przemknęła mu przez głowę, by zaśpiewać „W prześliczny dzień majowy”, ulubioną piosenkę mamusi i jedyną, jaką sobie w tej chwili przypomniał.

— Sprowadź Leona i wyrzuć stąd wszystkie te obrazki — zarządził Bill wskazując leżący na ziemi stos bohomasów. — Trzeba wyprzątnąć namiot i postarać się o jakąś zasłonę czy coś takiego! Jaka szkoda, że nie mamy kąpielówek tej wielkości! Ale za dwa dni będą. Młodzieńcze, masz być zapewniony. Dobrze zrobiłeś, że przyszedłeś do mnie, a nie do kogo innego. Znam takich, co tłuką swoich olbrzymów i kompletnie ich głodzą. Więc mówię ci, miałeś dzisiaj naprawdę szczęście, że na mnie trafiłeś. Bo ja jestem łagodny jak owieczka i w dodatku nigdy nikogo nie nabieram.

— Nie przypuszczam, żeby ktoś próbował mnie pobić — odparł Robert patrząc z góry na „owieczkę”. Robert klęczał na obu kolanach, gdyż namiot był za niski, aby mógł się

wyprostować. Lecz nawet i w tej pozycji na większość ludzi mógł popatrywać z góry. — Tylko jestem okropnie głodny i chciałbym, żebyście dali mi coś do zjedzenia.

— Ej, Fanny! — zachrypiał Bill. — Przynieś mu coś do frygania — co tylko najlepszego dostaniesz, pamiętaj! — Po czym głos jego przeszedł w szept, z którego dzieci zrozumiały tylko: — Pierwsza rzecz jutro z samego rana... czarno na białym.

Kobieta wyszła, aby przynieść coś do jedzenia. Okazało się, że składało się ono tylko z chleba i sera, ale ogromnemu, a pustemu wewnątrz Robertowi niezmiernie to smakowało. Przez ten czas Bill rozstawił wartę wokół całego namiotu, aby wszcząć alarm na wypadek, gdyby Robert próbował ucieczki razem z piętnastu szylingami.

— Można by pomyśleć, że nie jesteśmy uczciwi — rzekła z oburzeniem Antea, gdy zrozumiała właściwe znaczenie warty.

Od tej chwili zaczęło się bardzo dziwne i naprawdę niezwykle popołudnie.

Bill był człowiekiem, który znał swój fach. W ciągu kilku minut całe wnętrze namiotu zostało opróżnione; wyrzucono fotografie, najrozmaitsze widoczki i powiększające szkła, przez które wyglądały jak prawdziwe. W poprzek wejścia zawieszono imponującą zasłonę zrobioną z czarno-czerwonej portiery. Robert ukryty był wewnątrz, Bill zaś stał na taborecie umieszczonym zewnątrz namiotu i wygłaszał przemówienie. Trzeba przyznać, że przemówienie było wcale udane. Zaczynało się od stwierdzenia, że olbrzym, którego będzie miał zaszczyt przedstawić publiczności, był najstarszym synem cesarza San Francisco, który z powodu nieszczęśliwej miłości do wielkiej księżny panującej na wyspach Fiji musiał opuścić swój kraj i schronić się w Anglii — tym kraju wolności, gdzie każdy korzystać może ze wszelkich swobód, choćby był nie wiedzieć jak duży. Przemówienie kończyło się zapowiedzią, że pierwszych dwadzieścia osób, które przyjdą zobaczyć olbrzyma, płacić będzie zaledwie po trzy pensy. Później zaś cena zostanie podniesiona i Bill nie umiał nawet określić, jak bardzo będzie wysoka. Radził więc każdemu się śpieszyć.

Pierwszy wysunął się jakiś młodzieniec, który przyprowadził do wesołego miasteczka swoją ukochaną. Z tego powodu zachowywał się niczym udzielny książę, nie liczył się z wydatkami, pieniądze w ogóle nie miały dla niego żadnego znaczenia. Jego ukochana chciała zobaczyć olbrzyma. Dobrze więc, zobaczy olbrzyma, choćby nawet miało to kosztować trzy pensy od osoby, wtedy gdy wszystkie inne rozrywki kosztowały zaledwie pensa.

Brzeg zasłony został uchylony i młoda para weszła do środka. W następnej chwili dziki okrzyk dziewczyny wstrząsnął obecną w pobliżu publicznością. Bill z zadowoleniem trzepnął się w udo. „Dobra jest!” — szepnął do Fanny. Przenikliwy okrzyk młodej osobki był istotnie znakomitą reklamą dla walorów Roberta. Dziewczyna wyszła na zewnątrz blada i drżąca, a wokół namiotu zgromadził się zaraz spory tłum.

— Jak to wygląda? — spytał jeden z farmerów.

— Ach! Okropnie! Po prostu nie do wiary! — odparła dziewczyna. — Wielkie to jak stodoła, a wygląd ma dziki jak nie wiem co. Aż cała krew we mnie zamarła. Ale dobrze się stało, że to widziałam, bo taka okazja tylko raz w życiu może się zdarzyć.

Dziki wygląd spowodowany był tym jedynie, że Robert usiłował się nie śmiać. Wkrótce jednak przeszła mu chętka do śmiechu i nim słońce zaszło, skłonny był raczej do płaczu. Przede wszystkim zaś chciało mu się strasznie spać. Bo wyobraźcie sobie, że przez całe popołudnie ludzie wchodzili do namiotu w pojedynkę, we dwojkę czy w trójkę, i Robert musiał podawać rękę tym, którzy sobie tego życzyli, a wszystkim musiał pozwalać, żeby go dotykali, klepali, szczypali, pociągali za rękę albo nogę dla przekonania się, czy jest prawdziwy.

Reszta dzieci siedziała na ławce, przyglądając się wszystkiemu i wyczekując końca. Były coraz bardziej znużone. Miały wrażenie, że jest to chyba najcięższy sposób zarabiania pieniędzy, jaki tylko można wymyślić. I w dodatku wszystkiego piętnaście szylingów! Bill zebrał już co najmniej cztery razy tyle, bo wiadomość o zjawieniu się olbrzyma rozeszła się

szybko i zewsząd, z bliska i z daleka, nadszali ludzie w powozikach, wózkami i pieszo. Jakiś niezmiernie wytworny pan ze szkiełkiem w oku i ogromną złotą różą w butonierce uprzejmym szeptem zaproponował Robertowi dziesięć funtów szterlingów tygodniowo za występy w londyńskim Pałacu Kryształowym. Ale Robert musiał odmówić.

— Nie mogę — powiedział z żalem. — Choćbym obiecał i tak bym nie mógł dotrzymać.

— Biedaku! — zawołał wytworny jegomość. — Pewnie masz tutaj kontrakt na długie lata! Ale zgłoś się do mnie, kiedy termin upłynie. Oto mój adres — i wręczył Robertowi swój bilet wizytowy.

— Zrobię to z pewnością, jeśli będę wtedy tego samego wzrostu — odparł ucziwie Robert.

— Ach, jeśli nawet trochę podrośniesz, to nic nie szkodzi! Tym lepiej! — rzekł wytworny pan.

Kiedy już sobie poszedł, Robert skinieniem palca przywołał Cyryla:

— Powiedz im, że muszę trochę odpocząć. No i zjeść podwieczorek.

Podwieczorek przyniesiono niebawem, a na zewnątrz namiotu zjawił się arkusz papieru z pośpiesznie kreślonym napisem:

PRZERWA PÓŁGODZINNA OLBRZYM JE TERAZ PODWIECZOREK

Tymczasem w namiocie odbywała się ożywiona narada.

— Jak ja się mam stąd wydostać? — spytał Robert. — Zastanawiałem się nad tym już całe popołudnie.

— Bardzo proste: kiedy słońce zajdzie i odzyskasz swój zwykły wzrost, wyjdiesz stąd, i już. Nic nam przecież nie mogą zrobić.

Robert szeroko otworzył oczy.

— Jak to: nic — zaproponował — gotowi są nas pozabijać, kiedy zobaczą, jaki jestem naprawdę. Nie, musimy koniecznie wymyślić jakiś inny sposób. Musimy być sami, kiedy słońce będzie zachodzić.

— To prawda — przyznał skwapliwie Cyryl i podszedł do drzwi, za którymi Bill, paląc glinianą fajkę, pograżony był w cichej rozmowie z Fanny.

Cyryl dosłyszał tylko jego słowa: „Całkiem jakbyśmy odziedziczyli majątek”.

— Niech pan posłucha — rzekł Cyryl. — Już za chwilę będzie pan mógł znowu wpuszczać ludzi do środka, bo on już prawie zjadł podwieczorek. Ale trzeba będzie koniecznie zostawić go samego, kiedy słońce zacznie zachodzić. Bo o tej porze on staje się bardzo dziwny i jeśli go coś rozdrażni, nie biorę odpowiedzialności za to, co będzie.

— Dlaczego? — spytał Bill. — A co na niego nachodzi?

— Nie umiem tego opisać — odparł Cyryl — ale on wtedy jakby całkiem się zmienia. Robi się zupełnie niepodobny do siebie, czasem po prostu trudno go poznać. Jest wtedy naprawdę bardzo dziwny. Więc musi koniecznie być sam, kiedy słońce będzie zachodzić, bo inaczej może się komuś przydarzyć coś bardzo przykrego.

Była to najprawdziwsza prawda.

— Ale na wieczór już będzie chyba w porządku, co?

— O tak! W pół godziny po zachodzie słońca będzie znowu sobą.

— To rzeczywiście lepiej go nie drażnić — powiedziała Fanny.

Tak więc na jakie pół godziny przed zachodem słońca namiot został ponownie zamknięty „na czas, kiedy olbrzym zjada kolację”.

Te posiłki olbrzyma, przypadające tak często, śmieszyły bardzo publiczność.

— Nie ma się co dziwić — tłumaczył Bill. — Przy swoim wzroście musi jeść dużo i często.

A w środku namiotu czworo dzieci z zapartym tchem układało plan strategicznego odwrotu.

— Wy idźcie teraz — pouczał Cyryl dziewczynki — i uciekajcie do domu, jak tylko możecie najprędzej. Pał sześć wózek! Zabierzemy go jutro. Robert i ja jesteśmy jednakowo ubrani. Więc poradzimy sobie w taki sposób, jak zrobił to Sydney Carton*. Ale wy musicie się już teraz wydostać, bo inaczej nic z tego nie wyjdzie. My obydwaj możemy biec bardzo prędko, ale wy nie — choćby się wam zdawało, że możecie. Nie, nie, Janeczko! Wiem, co chcesz powiedzieć, ale to nie ma sensu, żeby Robert przebijał się teraz przez tłum. Policja zaraz zacznie go śledzić i kiedy wróci do zwykłego rozmiaru, na pewno z miejsca go zaaresztują. Więc wy musicie pójść, ale już! Jeżeli nie pójdziecie w tej chwili, to nigdy więcej do was się nie odezwę. Właściwie to wy wpakowałyście nas w tę całą historię przez to, że łapałyście Roberta i mnie za nogi wtedy, przy piekarczyku. No, już was nie ma!

Po tych słowach Janeczka i Antea wyszły.

— Idziemy teraz do domu — powiedziały Billowi. — Zostawiamy olbrzyma u pana. Ale niech pan będzie dla niego dobry. — Było to świadome wprowadzenie w błąd, jak później przyznała Antea, ale cóż miały robić?

Kiedy dziewczynki odeszły, Cyryl zbliżył się do Billa.

— Proszę pana — powiedział — on prosi, żeby mu przynieść kilka kłosów pszenicy. Rośnie tam w polu, niedaleko stąd. Więc pójdę i zaraz wracam. Aha, i on prosi, czyby nie można trochę rozluźnić namiotu od tyłu? Bo mówi, że już ledwo może oddychać, tak mu jest duszno. A ja będę uważał, żeby nikt nie mógł zajrzeć do środka. Przykryję go czymś, żeby się trochę zdrzemnął, póki nie wrócę z kłosami. A te kłoski muszę mu przynieść, bo kiedy staje się trochę dziwny, jak już panu mówiłem, to nie ma co się z nim spierać.

Olbrzym ułożył się wygodnie, przykryty workami i starym brezentem. Uniesiono jedną ze ścian namiotu i bracia znaleźli się teraz sami. Szeptem omawiali ostatnie szczegóły planu. Z zewnątrz od strony karuzeli dochodziły wesołe melodyjki, wygrywane w celu ściągnięcia nowej grupy amatorów napowietrznej jazdy.

Zaraz po zachodzie słońca obok Billa przebiegł chłopiec w uczniowskim ubranku.

— Biegnę teraz po kłoski! — zawołał i szybko zmieszał się z tłumem.

W tej samej chwili chłopiec w uczniowskim ubranku wysunął się z tyłu namiotu i minął Fanny stojącą tam na czatach.

— Biegnę teraz po kłoski! — zawołał i ten chłopiec.

On również szybko się oddalił i zaraz zmieszał się z tłumem. Chłopcem, który wyszedł od frontu, był Cyryl; od tyłu namiotu wyszedł Robert — teraz po zachodzie słońca już znowu zwykłych rozmiarów. Obydwaj szybko przebiegli pole i doszli do drogi, gdzie Robert dopędził Cyryla.

Wtedy zaczęli gnać, co sił w nogach. W domu znaleźli się w tym samym czasie co dziewczynki, bo droga była daleka i chłopcy prawie bez przerwy biegli. Droga była naprawdę bardzo daleka, o czym przekonali się następnego poranka” kiedy musieli ciągnąć do domu wózek, a nie było z nimi olbrzymiego Roberta, dla którego cały ten zaprząg nawet z ładunkiem nie przedstawiał większego kłopotu niż najzwyczajniejszy wózek dziecinny.

* * *

Niestety nie potrafię wam powtórzyć, co powiedzieli Fanny i Bill, kiedy przekonali się o zniknięciu olbrzyma. A nie mogę tego powtórzyć po prostu dlatego, że sama nie wiem.

* Jeden z bohaterów książki sławnego pisarza angielskiego Dickensa pt. „Powieść o dwóch miastach” Sydney Carton był niezmiernie podobny do pewnego arystokraty, Karola Evremonde, który w czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej został niesłusznie skazany na śmierć. Pragnąc ratować niewinnego człowieka Sydney Carton wykorzystał swe ogromne podobieństwo do skazańca i dobrowolnie zginął zamiast niego.

ROZDZIAŁ IX

DOROSŁY

Cyryl zauważył kiedyś, że w codziennym życiu jest mnóstwo okazji, w których życzenie spełnione przez duszka mogłoby się niesłychanie przydać. Pewnego ranka, kiedy zbudził się bardzo wcześnie, myśl o tym nie dawała mu spokoju. Było to w dwa dni potem, kiedy to Robert chciał być większy od piekarczyka i gdy życzenie to zostało spełnione. Cały dzień poprzedni zajęty był dygowaniem wypożyczonego wózka.

Cyryl ubrał się bardzo szybko. Nie wykapał się nawet, bo wanna była blaszana, a blaszane wanny robią okropny hałas. Cyryl zaś nie chciał budzić Roberta, gdyż miał zamiar wymknąć się zupełnie sam, jak to kiedyś zrobiła Antea, i popędził prawie że ze świtem do kamieniołomu. Ostrożnie i według wszelkich prawideł wygrzebał Piaskoludka, po czym zaczął rozmowę pytaniem, czy duszek nie miał żadnych przykrych następstw z powodu zetknięcia się przedwczoraj ze łzami Roberta. Duszek był w dobrym humorze i odpowiedział z równą uprzejmością.

— A teraz powiedz mi — spytał — co chciałbyś, żebym dla ciebie zrobił? Bo myślę, że dlatego przyszedłeś tutaj tak wcześnie, żeby dostać coś tylko dla siebie, coś, o czym twoje rodzeństwo nie miałoby nic wiedzieć. Prawda?

A jeśli tak, to usłuchaj mnie, a z pewnością dobrze na tym wyjdiesz. Poproś o ładne, tłuste megaterium i niech ci to pójdzie na zdrowie!

— Dziękuję bardzo — rzekł grzecznie Cyryl — ale może kiedy indziej. Bo to, o co chciałem prosić... Tylko powiedz mi dla pewności: wiesz oczywiście, jak się wypowiada życzenie przy rozmaitych grach?

— Ja rzadko kiedy biorę udział w grach — odparł sucho Piaskoludek.

— No, ale wiesz, o co mi chodzi — zniecierpliwiał się Cyryl. — Więc chciałem cię zapytać, czy możesz spełnić nasze życzenie wtedy, kiedy nam przyjdzie do głowy, żeby o coś prosić i żebyśmy ciebie specjalnie nie szukali? Byłoby ci nawet wygodniej, bo nie budzilibyśmy cię niepotrzebnie — dodał chytrze Cyryl.

— Owszem, jest to możliwe. Ale na pewno skończy się w ten sposób, że wyrazicie życzenie czegoś, czego wcale nie chcecie; tak jak wtedy z zamkiem — odparł duszek przeciągając się i ziewając. — Zawsze tak się dzieje, odkąd ludzie przestali jeść prawdziwe smakołyki, takie jak na przykład megaterium. Ale niech będzie, jak chcesz. Do widzenia!

— Do widzenia! — odparł uprzejmie Cyryl.

— Wiesz co — rzekł nagle duszek wyrzucając naprzód swoje długie, ślimacze oczka. — Mam już was całkiem dosyć. Nie macie wcale więcej rozumu niż cztery ostrygi. Chciałbym, żeby się to już skończyło. A teraz idź sobie!

I Cyryl poszedł.

— Jak te małe smarkacze są strasznie długo smarkate — rzekł Cyryl, kiedy Baranek wyciągnął mu niepostrzeżenie zegarek z kieszeni, po czym, pomrukując gniewnie, otworzył kopertę i zabrał się do kopania w ogrodzie zegarkiem, używając go zamiast łopatkę. Skutek był taki, że nawet ciepłą wodą nie dało się wyplukać ziemi ze środka i zegarek oczywiście stanął. W pierwszej chwili Cyryl, rozgniewany, powiedział bardzo wiele bardzo przykrych rzeczy. Ale teraz trochę się uspokoił i zgodził się nawet nieść Baranka „na barana” kawałek drogi do lasu. Przedtem jeszcze namówił całą czwórkę, by zgodzili się na jego plan i nie wypowiadali żadnego życzenia, dopóki nie przyjdzie im na myśl coś, czego będą chcieli naprawdę. Więc tymczasem poszli sobie do lasu zbierać orzeszki i właśnie cała piątka siedziała zadowolona na miękkiej trawie w cieniu kasztana. Baranek swymi tłustymi łapkami

wyciągał całe garście trawy i mchu, a Cyryl w ponurej zadumie przypatrywał się szczątkom swego zegarka.

— Ależ on rośnie — odparła Antea na uwagę Cyryla. — Prawda, że rośniesz, mój skarbie?

— Lośnies — potwierdził wesoło Baranek. — Będę duży, będę miał scelbę i kacuski i... — i w tym miejscu wyobraźnia czy może słownictwo zawiodły Baranka. A swoją drogą, było to najdłuższe przemówienie, jakie dotąd wygłosił. Toteż wszyscy byli nim zachwyceni. Nawet Cyryl życzliwie poklepał Baranka i wytarzał go we mchu, czemu towarzyszyły zachwycone piski małego.

— Myślę, że przyjdzie dzień, kiedy będzie już zupełnie dorosły — ciągnęła Antea wpatrując się w zamyśleniu w błękit nieba prześwitujący pomiędzy gałęziami kasztana. Ale w tej samej chwili Baranek, mocujący się wesoło z Cyrylem, tłustą nóżką obutą w sandałek palnął swego braciszka w pierś. Rozległ się lekki trzask — to niewinny Baranek stłukł szkiełko w zegarku tatusia pożyczonym bez wiedzy ojca chwilowo przez Cyryla.

— Przyjdzie dzień, kiedy będzie dorosły! — powtórzył Cyryl cierpko, obalając Baranka na trawę. — Nie wiem, czy kto z nas tego doczeka. A chciałbym, do licha, żeby już...

— Uważaj! — zawołała Antea truchlejąc z obawy, co też może się stać. Ale już było za późno; jak głos i echo zbiegły się jej słowa ze słowami Cyryla:

Antea: — Uważaj.

Cyryl: — ...teraz był dorosły!

Piaskoludek, jak zwykle, dotrzymał przyrzeczenia. I oto w przerażonych oczach rodzeństwa Baranek gwałtownie i nagle stał się dorosły. Była to doprawdy straszliwa chwila. Zmiana nie była tak nagła, jak to zazwyczaj się działo przy poprzednich życzeniach. Najpierw więc małemu zmieniła się twarz. Stała się szczuplejsza i większa, na czoło wystąpiły mu zmarszczki, głębiej osadzone oczy ściemniały, usta wydłużyły się i stały się cieńsze. Najokropniejsze zaś było to, że mały, ciemny wąsik zjawił się nagle na górnej wardze tego, który — z wyjątkiem twarzy — był wciąż jeszcze dwuletnim maleństwem w lnianym kaftaniczku i w białych, szydełkowych majteczkach.

— Nie chcę, żeby był duży! Nie chcę! Niech chłopcy też nie chcą! — Wszyscy marzyli o tym, żeby się to odstało, gdyż widok Baranka mógł przerazić każdego, nawet najzupełniej pozbawionego serca. Dzieci wysiłały wolę tak bardzo, że aż im się w głowach kręciło i niemal traciły przytomność. Ale wszystko na próżno. Kiedy las przestał już kołować im w oczach, wzrok ich przykuł od razu widok bardzo dobrze prezentującego się młodzieńca we flanelowym ubraniu i słomkowym kapeluszu. Młodzieniec ów miał te same małe wąsiki, które przed chwilą widzieli, jak wyrastały na górnej wardze Baranka. A zatem był to istotnie Baranek — ale dorosły! Ich własny, mały Baranek. Nastąpiła okropna chwila. Dorosły Baranek wytwornym ruchem wstał z trawnika i oparł się o pień starego kasztana. Słomkowy kapelusz nasunął sobie na oczy; był najwyraźniej zmęczony i chciało mu się spać. Dawny Baranek, nieznośny i kochany Baranek, nieraz zasypiał w bardzo dziwnych porach i nieoczekiwanych miejscach. Czyżby więc nowy Baranek, w popielatym flanelowym ubraniu i jasnozielonym krawacie, miał zachowywać się tak jak tamten? Czy też jego umysł wyrósł razem z ciałem?

Nad rozstrzygnięciem tego zagadnienia naradzała się teraz cała nasza czwórka, siedząc wśród żółknących paproci o kilka kroków od drzemiącego Baranka.

— Tak czy owak to straszne — rzekła Antea. — Jeżeli umysł Baranka jest także dorosły, to nie ma mowy o tym, żebyśmy się nim opiekowali. A jeżeli został w gruncie rzeczy małym dzieckiem, to jak go skłonić do tego, żeby zachowywał się, jak należy? W dodatku za chwilę trzeba będzie już pójść na obiad...

— A nie znaleźliśmy jeszcze ani jednego orzecha — wtrąciła Janeczka.

— Co tam orzechy! — odparł Robert. — Co innego obiad. Nawet w połowie nie najadłem się wczorajszym obiadem i od tego czasu wciąż jestem głodny. Czy nie moglibyśmy przywiązać go do drzewa i pójść na obiad, a potem wrócić tu znowu?

— Ładnie by wyglądał nasz obiad, gdybyśmy wrócili do domu bez Baranka! — zawołał Cyryl zrozpaczonym tonem. — Ale skutek będzie ten sam, kiedy wrócimy z nim w takim stanie, w jakim jest teraz. Wiem, że to moja wina, i nie potrzebujecie mi tego wciąż przypominać! Wiem, że jestem zwierzę, niegodne, żeby mnie święta ziemia nosiła! Ale stało się i nie ma co o tym mówić. Teraz chodzi tylko o to, co zrobimy z Barankiem.

— Zbudźmy go i zaprowadźmy do miasteczka, a tam można będzie coś zjeść w cukierni — zaproponował Robert z nadzieją w głosie.

— Zaprowadzić go? — powtórzył Cyryl. — Spróbuj to zrobić! Wszystko to moja wina, przynaję, ale pomyśl, w jaki sposób możemy gdziekolwiek zaprowadzić takiego młodzieńca. Baranek był zawsze przekorny i lubił robić na złość. A teraz, kiedy jest dorosły, widać od razu, co to za szatan. Popatrzcie na jego usta.

— W takim razie — rzekł Robert — zbudźmy go i zobaczymy, jak on się zachowa. Może zabierze nas do miasteczka i będzie nam fundował. Pewnie ma furę pieniędzy po tych swoich eleganckich kieszeniach. Bo przecież tak czy owak musimy zjeść obiad.

Złożyli kilka listków paproci i zaczęli ciągnąć losy. Los wypadł na Janeczkę, która miała obudzić dorosłego Baranka.

Zrobiła to z wielką ostrożnością, łaskocząc lekko jego nos łądźką powoju. Baranek mruknął dwukrotnie: „Ależ te muchy!”, a potem otworzył oczy.

— No i co tam, bąki? — zagadnął zduszonym tonem. — Wciąż jeszcze tutaj siedzicie? Która też to może być godzina? Spóźnicie się chyba na obiad!

— Pewnie że się spóźnimy — odparł z goryczą Robert.

— No to jazda do domu — rzekł dorosły Baranek.

— A co będzie z twoim obiadem? — spytała Janka.

— Ach, to drobiazg! Może wicie przypadkiem, jak daleko stąd na stację? Myślę, że chyba dzisiaj pojedę do miasta i zjem obiad w klubie.

Cała czwórka osłupiała po prostu z przerażenia. Baranek sam, bez opieki miałby jechać do miasta i jeść obiad w klubie? Może jeszcze zostałby tam na kawie! Zachód słońca gotów zaskoczyć go w jakimś wytwornym lokalu i bezradne, śpiące maleństwo znalazłoby się nagle zupełnie samo, z całą masą obojętnych kelnerów dokoła i z głębi klubowego fotela zaczęłoby wołać rozpaczliwie: „Panteja!” Antea wzruszyła się tym obrazem tak, że aż łzy stanęły jej w oczach.

— Barasiu najmilszy, nie możesz przecież nigdzie sam chodzić! — krzyknęła nieopatrznie.

Dorosły Baranek zmarszczył z niesmakiem brwi.

— Droga moja Anteo — powiedział — ile razy mam, ci tłumaczyć, że mam na imię Hilary albo Eugeniusz, albo wreszcie Ryszard? Moje małe siostrzyczki i braciszki mogą mnie nazywać którymkolwiek z tych imion, ale nie „Barasiem”, co jest głupią pozostałością dawno minionego dzieciństwa.

To było zupełnie okropne. Więc Baranek zmienił się teraz w ich starszego brata? Co prawda rzeczywiście tak było, skoro był dorosły, oni zaś jeszcze nie. Antea i Robert zaczęli szeptem naradzać się w pośpiechu.

Ale codzienne niemal przygody, wynikłe z życzeń spełnionych przez Piaskoludka, sprawiły, że dzieci stały się teraz nad wiek rozumne.

— Kochany Hilary — rzekła Antea, reszta zaś rodzeństwaomal nie udławiła się samym dźwiękiem tego imienia — wiesz o tym, że ojciec nie życzył sobie, abyś jechał do Londynu. Z pewnością byłby bardzo niezadowolony, gdybyś nas zostawił bez opieki. Ach — dodała mówiąc już tylko do siebie — co za okropny kłamczuch zrobił się ze mnie!

— Wiesz co — powiedział Cyryl — jako nasz najstarszy brat powinien być przynajmniej zabrać swoje młodsze rodzeństwo do miasteczka i tam zafundować nam coś dobrego, a potem przewieźć nas łódką!

— Jestem ci nieskończenie wdzięczny za te propozycje — odparł uprzejmie Baranek — ale przyznam się, że wolę tym razem być sam. Więc idźcie do domu na obiad, a ja może zajrzę tam w porze podwieczorku, chociaż nie obiecuję. Może być i tak, że wrócę dopiero wtedy, kiedy już będziecie w łódeczkach.

W łódeczkach! Cała czwórka wymownie spojrzała po sobie. Ładnie wyglądałoby ich pójście do „łódeczek”, gdyby tak zjawili się w domu bez Baranka.

— Obiecaliśmy mamusi cały czas uważać na ciebie, jeżeli weźmiemy cię ze sobą — wyrwało się Janeczce, zanim inni zdążyli ją powstrzymać.

— Słuchaj, Janeczko — odparł dorosły Baranek zagłębiając ręce w kieszeniach spodni i patrząc na nią z góry — dzieci i ryby głosu nie mają. Jesteście na ogół dosyć miłą gromadką smarkaczy, ale powinniście zrozumieć, że nie wolno nikogo zanudzać. Więc idźcie już wreszcie do domu, a jutro, jeśli będziecie grzeczni, to może dostaniecie ode mnie pensa na głowę.

— Słuchaj, stary — rzekł Cyryl naśladując, jak tylko potrafił najlepiej, ton rozmowy „między mężczyznami” — dokąd ty się właściwie wybierasz? Może weźmiesz Roberta i mnie ze sobą, jeśli ci przeszkadzają dziewczynki?

Był to naprawdę piękny gest ze strony Cyryla, bo wiadomo, że bardzo nie lubił pokazywać się między ludźmi z Barankiem, a przecież po zachodzie słońca Baranek będzie oczywiście na powrót maleństwem.

„Męski” ton odniósł pożądany skutek.

— Chcę po prostu podjechać rowerem do miasteczka — rzekł od niechcienia Baranek gładząc czarne wąsiki. — Obiad zjeść mogę „Pod Trzema Koronami”, a potem chciałbym popływać trochę po rzece. Ale nie mogę przecież zabrać was wszystkich na rower, prawda? Więc bądźcie grzeczni, nie róbcie mi kłopotu i wracajcie do domu.

Położenie wydawało się beznadziejne. Robert wymienił rozpaczliwe spojrzenia z Cyrylem. Antea odpięła szpilkę, dzięki której spódniczka i bluzka trzymały się razem, a teraz w jednej chwili rozsunęły się. Wręczyła szpilkę ukradkiem Robertowi, robiąc przy tym pełne głębokiej wymowy miny. Robert wysunął się niepostrzeżenie i pobiegł na skraj lasu. Tam, przy drodze, stał rzeczywiście rower, i nawet bardzo piękny. Robert naturalnie domyślił się od razu, że jeśli Baranek jest dorosły, to musi mieć rower. Był to przecież jeden z głównych powodów, dla których sam. Robert tak pragnął być już dorosły. Szybko zrobił należyty użytek ze szpilki — jedenaście przekłuć w tylnej dętce, siedem zaś w przedniej. Chętnie byłby doszedł do dwudziestu dwóch, lecz szelest rozsuwanych gałęzi ostrzegł go o zbliżaniu się reszty rodzeństwa. Szybko więc jeszcze nacisnął jedno i drugie koło, a w nagrodę usłyszał mile brzmiące „sss...” — powietrze wydostawało się wszystkimi osiemnastu dziurkami.

— Dętki nawaliły — rzekł Robert dziwiąc się sobie samemu, jak mógł tak szybko nauczyć się oszukiwać.

— A rzeczywiście — zawtórował mu Cyryl.

— Coś musiało je przebić — rzekła Antea schylając się, a następnie podnosząc z ziemi ostry cierń, który doskonale nadawał się do tego celu. — O, widzisz!

Dorosły Baranek — a raczej Hilary, bo myślę, że tak nam wypada teraz go nazywać — założył pompkę i zaczął nadmuchiwać dętkę. Zaraz też wyszło na jaw, że dętka są przedziurawione.

— Myślę, że tu w pobliżu znajdzie się jakiś domek, gdzie można będzie dostać wiadro wody — powiedział Baranek.

Domek się znalazł, a kiedy okazało się, w jak wielu miejscach dętka są przebite, uznano, że to jest prawdziwe szczęście, że właściciele domku wydają „podwieczorki dla cyklistów”. Na

podwieczorek była herbata, kanapki z serem, i to wszystko; Baranek i braciszkanie musieli na tym poprzestać.

A zapłacono za to z piętnastu szylingów zarobionych przez Roberta, kiedy był olbrzymem. Okazało się bowiem, że Baranek nie ma przy sobie pieniędzy. Było to dla wszystkich wielkim rozczarowaniem; ale takie rzeczy nieraz się zdarzają nawet najbardziej dorosłym ludziom. Bądź co bądź Robert najadł się do syta, a to już coś było. Potem zaś cała zgębiona czwórka zajęła się po kolei spokojnym, ale wytrwałym namawianiem Baranka (czyli Eugeniusza), żeby resztę dnia spędził z nimi w lesie. Zresztą tego dnia nie zostało już znowu tak wiele w chwili, kiedy Baranek naprawił osiemnaste przekłucie. Ukończywszy pracę Baranek podniósł się z westchnieniem ulgi i nagle zaczął poprawiać sobie krawat.

— Jakaś pani się zbliża — powiedział z ożywieniem. — Na miłość boską, idźcie już sobie stąd. Idźcie do domu czy schowajcie się, róbcie zresztą, co chcecie! Ale nie mogę pokazywać się damie z bandą umorusanych smarkaczy.

Młodsze rodzeństwo Baranka istotnie było dość umorusane, gdyż Eugeniusz kilka godzin temu, kiedy był jeszcze dziecięciem, obrzucił ich wszystkich mokrą ziemią z ogrodu. Teraz wycofali się na podwórko, gdyż, jak później objaśniała Janeczka, głos dorosłego Baranka brzmiał naprawdę groźnie. Hilary został więc sam i muskając wąsiki, ruszył na spotkanie młodej osoby, która zbliżała się prowadząc rower.

Właścicielka domku wyszła na dwór i zamieniła parę słów z ową panią, ale dzieci nie mogły nic z tego dosłyszeć, choć ze swego ukrycia wszystko widziały i z całą skwapliwością nastawiały uszu. Takie podglądanie nie było może czynem bardzo pięknym, ale Robert orzekł, że to całkowicie w porządku, „kiedy z tym głupim Barankiem dzieją się takie historie”.

Baranek zaś zbliżył się i grzecznie uchylił kapelusza. Po czym zaczął mówić uwodzicielskim głosem i niezwykle uprzejmie. Teraz słyhać było jakoś znacznie lepiej.

— Kłopot z dętką? — mówił Baranek. — Może mógłbym być pani w czymkolwiek pomocny? Jeśli mi pani tylko pozwoli.

Za korytem dla świń — gdzie ukryły się dzieci — rozległ się wybuch przytłumionego śmiechu, a dorosły Baranek (czyli Ryszard) rzucił w tamtym kierunku wściekłe spojrzenie.

— Bardzo pan jest uprzejmy — odparła młoda osoba patrząc na Baranka. Zdawała się jak gdyby trochę onieśmielona. Poza tym jednak, według opinii chłopców, nie robiła wcale wrażenia głupiej.

— Myślałbym — szepnął za świńskim korytem Cyryl — że powinien mieć dosyć naprawiania rowerów jak na jeden dzień. No i gdyby ta panna tylko wiedziała, że to jest po prostu małe, zasmarkane, głupie niemowlę!

— Wcale tak nie jest — szepnęła gniewnie Antea. — Baranek jest bardzo kochany, jeśli tylko się z nim nie droczyć. To jest dalej nasz kochany braciszek, choćby jakieś głuptaki zmieniły go w nie wiem co, prawda, Kiziu?

Janeczka dość niepewnie potwierdziła słuszność tego poglądu.

A tymczasem Baranek — wciąż zapominam, że trzeba nazywać go Eugeniuszem — badał rower młodej osoby i rozmawiał z nią tonem całkiem dorosłego młodzieńca. Nikt, kto go teraz widział i słyszał, nie przypuściłby ani przez chwilę, że jeszcze tego samego ranka był małym, pyzaty dwulatkiem i niszczył szwajcarskie zegarki swojej rodziny. Hilary (jak należałoby go nazywać w przyszłości) dokończył wreszcie naprawy roweru młodej osoby, po czym wyjął złoty zegarek, co za korytem wywołało głośne okrzyki: „Ach!” Bo naprawdę to nie było w porządku, żeby maleństwo, które jeszcze dziś rano popsulo dwa tanie, ale dobre zegarki, teraz, będąc dorosłym na skutek wściekłość: Cyryla, nosiło prawdziwy złoty zegarek z łańcuszkiem i brelokami!

Ryszard (bo i tak możemy go nazwać) zgromił surowym spojrzeniem swych braci i siostry, a następnie zwrócił się do młodej damy, z którą najwyraźniej był teraz na stopie przyjacielskiej.

— Jeśli pani pozwoli, odprowadzę ją aż do skrzyżowania dróg, robi się późno i na drodze kręcą się różne włóczęgi.

Nikt nie dowie się nigdy, co na tę uprzejmą propozycję młoda osoba chciała odpowiedzieć. Bo gdy tylko Antea usłyszała słowa Baranka (a właściwie Ryszarda), poderwała się ze swego ukrycia przewracając świńskie koryto, skąd popłynął strumień mętnej wody, i chwyciła Baranka (powinno właściwie powiedzieć Hilarego) za ramię. Reszta czwórki podążyła za nią i już w żaden sposób nie można było teraz zataić ich obecności.

— Niech się pani nie zgadza — zwróciła się Antea do młodej osoby z głęboką troską w głosie — on nikogo nie może odprowadzać, bo jest za mały!

— Odejdź, moje dziecko! — zawołał straszonym głosem Eugeniusz (jak go teraz będziemy nazywać). — Idź natychmiast do domu!

— Pani nie powinna wcale się z nim zadawać — ciągnęła Antea nie licząc się już z niczym. — On wcale nie wie, kim jest. On jest zupełnie kimś innym, niż się pani wydaje.

— Nie bardzo to rozumiem — rzekła młoda osoba i doprawdy nie można się jej dziwić. Eugeniusz zaś (tak bowiem muszę nazywać dorosłego Baranka) bezskutecznie próbował odepchnąć Anteę. Reszta czwórki podtrzymała ją solidarnie i Antea stała niewzruszona jak skała.

— Prędko się pani przekona — rzekła do młodej osoby — jeżeli tylko pozwoli mu pani jechać z sobą. A co będzie, jak w pewnej chwili zobaczy pani nagle obok siebie małe, biedne niemowlę, uczone rowerem, którego nie potrafi prowadzić?

Młoda dama z lekka pobladła.

— Czyje są te strasznie brudne dzieci? — spytała dorosłego Baranka (zwanego też czasami Ryszardem).

— Nie mam pojęcia — skłamał ohydnie Baranek.

— Baranku! Jak możesz! — zawołała Janeczka. — Wiesz doskonale, że jesteś naszym małym braciszkiem, którego bardzo kochamy. Jesteśmy jego starszym rodzeństwem — wyjaśniła zwracając się do młodej osoby, która drżącymi rękoma zawracała teraz swój rower w stronę furtki — i on jest pod naszą opieką. Musimy koniecznie zabrać go do domu przed zachodem słońca, bo inaczej to doprawdy nie wiem, co by się mogło stać. Z nim, proszę pani, jest tak, że on jest... jakby to powiedzieć — zaczarowany... Może pani zrozumie?

Baranek (czy raczej Hilary) raz po raz usiłował przerwać potok wymowy Janeczki. Ale Robert i Cyryl chwycili go każdy za jedną nogę i w tych warunkach trudno było doprawdy cokolwiek wyjaśnić. Młoda osoba odjechała pośpiesznie, a później w czasie obiadu przeraziła całą swoją rodzinę opowieścią o tym, jak zdołała się wymknąć całej rodzinie niebezpiecznych wariatów. „Oczy tej dziewczynki — mówiła — błyszczały zupełnie jak w ataku szału. Doprawdy nie rozumiem, jak znalazłam się na wolności”.

Kiedy odgłos roweru młodej damy dochodził już z dość znacznej odległości, Cyryl przemówił z powagą.

— Hilary — rzekł — musiałeś dostać udaru słonecznego czy czegoś w tym rodzaju, mój drogi. Czegoś ty nie nagadał tej pannie? Gdybyśmy spróbowali powtórzyć to tobie, kiedy już będziesz z powrotem sobą, na przykład jutro rano, to nawet byś nie zrozumiał, a co dopiero uwierzył! Już lepiej polegaj na nas, mój kochany, i wracaj z nami do domu. A jeżeli do jutro rana nie będziesz z powrotem sobą, poprosimy mleczarza, żeby sprowadził doktora.

Nieszczęsny dorosły Baranek (noszący między innymi imię Ryszard) był tak oszołomiony, że już nawet nie stawił oporu.

— Skoro wszyscy zachowujecie się zupełnie jak wariaci — powiedział z goryczą — myślę, że najlepiej będzie, jeśli was odprowadzę do domu. Ale niech nikt nie przypuszcza, że to wam ujdzie płazem. Jutro rano rozmówię się na serio z każdym z was.

— Tak, tak, Barasiu, rozmówisz się — powiedziała do siebie Antea — ale wcale nie w taki sposób, jak ci się to teraz wydaje.

Zdawało się jej, że już słyszy miły, śliczny, piskłący głosik małego Baranka — tak odmienny od pretensjonalnych tonów straszliwego, dorosłego Baranka (zwanego też niekiedy Hilarym) — jak gaworzył: „Cie do Pantei!”

— Na miłość boską — powiedziała głośno — chodźmy już do domu! A jutro rano powiesz, co tylko zechcesz... jeśli potrafisz — dodała szeptem.

W ponurym nastroju wracali nasi przyjaciele do domu o łagodnym zmierzchu. W trakcie uwag Antei Robert znów zajął się przekłuwaniem dętek roweru i Baranek (który kazał siebie nazywać Ryszardem, Eugeniuszem albo Hilarym) tym razem miał, jak się zdaje, już naprawdę dosyć naprawiania rowerów. Prowadził więc go obok siebie.

Słońce chyliło się już bardzo ku zachodowi, gdy cała piątka dotarła do Białego Domku. Czworo starszych dzieci miało ochotę pokręcić się na dróżce, póki słońce nie zajdzie zupełnie i dorosły Baranek (którego obecnych imion nie będę już powtarzać, aby was nie nudzić) zmieni się na powrót w ich ukochanego, nieznośnego, małego braciszka. Ten jednak, będąc wciąż jeszcze dorosłym, uparł się, by wejść do domu i w ogródku spotkał się oko w oko z Martą.

Pamiętacie zapewne, że Piaskoludek w swoim czasie tak wszystko urządził, aby w domu nie spostrzeżono nigdy żadnej zmiany wywołanej przez życzenia dzieci. Toteż Marta zobaczyła teraz jedynie naszą czwórkę i maleńkiego Baranka, o którego już od południa strasznie się niepokoiła, drepcącego obok Antei na swych tłustych, dziecinnych nóżkach, choć nasi bohaterowie w dalszym ciągu naturalnie widzieli dorosłego Ryszarda (reszty imion wymieniać nie będziemy). Marta rzuciła się do nich i chwyciła Baranka w ramiona z okrzykiem:

— Chodź, chodź do twojej Marty, mój ty skarbie!

Dorosły Baranek (którego imiona chrzestne puścimy teraz w niepamięć) wyrwał się zaciekle. Na jego twarzy malował się wyraz przerażenia pomieszanego ze wstydem. Lecz Marta okazała się silniejsza od niego. Porwała go z ziemi, chwyciła w ramiona i wniosła do domu. Żadne z dzieci nie zapomniało nigdy tego widoku. Wytworny młodzian w eleganckim popielatym ubraniu i zielonym krawacie, z małym ciemnym wąsikiem — na całe szczęście był szczupły i niezbyt wysoki — walczył beznadziejnie w silnych ramionach Marty, która niosła go zaklinając po drodze, żeby był grzecznym chłopczykiem i grzecznie zjadł swoją kaszkę!

Sprawę uratował zachód słońca, który nastąpił w chwili, gdy przekraczali próg domu. Rower znikł i została jedynie Marta wnosząca do domu kochanego, dwuletniego Baranka, któremu oczka aż kleiły się do snu. Dorosły Baranek (odtąd bezimienny) zniknął na zawsze.

— Na zawsze — rzekł Cyryl — bo jak tylko Baranek podrośnie o tyle, że już można go będzie tłuc, będziemy musieli tłuc go, i to porządnie, dla jego własnego dobra, żeby nie wyrósł na takiego jak tamten.

— Wcale nie będziesz go tłuc — odparła stanowczo Antea — już ja do tego nie dopuszczę.

— Musimy go oswoić raczej łagodnością — powiedziała Janeczka.

— Zobaczycie — rzekł Robert — że jak będzie dorastał w zwyczajny sposób, znajdziemy mnóstwo okazji, żeby przez ten czas wykorzenić z niego wszystkie głupie narowy. Bo to wszystko przez to, że dzisiaj tak wyrósł w jednej chwili. Po prostu nie było kiedy wbić mu rozum do głowy.

— Nic nie trzeba mu wbijać do głowy — odparła Antea.

A z drugiego pokoju dobiegł ich przez otwarte drzwi głos Baranka gaworzącego tak właśnie, jak to Antea słyszała w duchu jeszcze dziś po południu:
— Cie do Pantei!

ROZDZIAŁ X

SKALPY

Ten dzień zapewne przeszedłby całkiem pomyślnie, gdyby nie to, że Cyryl właśnie czytał „Ostatniego Mohikanina”^{*}. W czasie śniadania myślał bezustannie o książce, aż wreszcie pijąc trzecią filiżankę herbaty powiedział z rozmarzeniem:

— Chciałbym, żeby w Anglii byli Czerwonoskórzy. Ale nie dorośli, tylko mali, tacy mniej więcej jak my, żeby można było z nimi walczyć.

Pomysł ten nikomu się nie podobał i więcej do niego już nie wracano, nie przywiązując do tego większej wagi. Dopiero kiedy dzieci poszły do kamieniołomu prosić Piaskoludka o sto funtów szterlingów w monetach dwuszylingowych z głową królowej Wiktorii, żeby uniknąć nieporozumień — wszystkim się zdawało, że nareszcie wpadli na doprawdy rozsądne życzenie i więcej już nie będzie przykrości — okazało się, że i tym razem sami się wkopali. Duszek bowiem, śpiący i zagniewany, odpowiedział im:

— Nie zawracajcie mi głowy. Przecież już spełniłem wasze życzenie.

— Jakie? — spytał Cyryl. — Nic o tym nie wiemy.

— A nie pamiętasz, co było wczoraj? — odparł duszek z jeszcze większą złością. — Prosiłeś mnie, żeby spełniać wasze życzenia bez względu na to, gdzie ktoś z was będzie. Wypowiedzieliście życzenie dziś rano i spełniło się.

— Wypowiedzieliśmy życzenie? — zdziwił się Robert. — A co to było takiego?

— Już zapomnieliście? — odparł Piaskoludek zagrzebując się w piasku. — Ale mniejsza z tym. I tak wkrótce się przekonacie. Życzę wam przyjemnej zabawy! Ładnie urządziliście się tym razem!

— Tak czy owak zawsze jakoś na to wychodzi — rzekła ze smutkiem Janeczka.

Położenie było tym kłopotliwsze, że nikt nie mógł sobie przypomnieć, aby tego ranka wypowiedział jakiegokolwiek życzenie. A życzenie, żeby spotkać Czerwonoskórych, wszystkim jakoś wyleciało z głowy.

Tak więc czas do południa przeszedł pod znakiem ciągłego niepokoju. Każdy usiłował sobie przypomnieć, jakie też mógł wypowiedzieć życzenie, nikt nic nie pamiętał i wszyscy oczekiwali, że każdej chwili może wydarzyć się coś okropnego. Było to naprawdę straszne uczucie. Z tego, co mówił duszek, dzieci wywnioskowały, że tym razem wyraziły życzenie czegoś bardziej niepożądanego niż zazwyczaj, toteż godziny płynęły w straszliwie przygnębiającej niepewności.

Dopiero przed samym obiadem Janeczka potknęła się na „Ostatnim Mohikaninie” — porzuconym, rzecz oczywista, na podłodze okładką do góry. Antea podniosła Janeczkę i książkę, po czym powiedziała nagle: „Już wiem!” i, zrozpaczona, aż opadła na dywan.

— Kiziu, jakie to straszne! Przecież Cyryl życzył sobie Indian! Pamiętasz, przy śniadaniu? Powiedział: „Chciałbym, żeby w Anglii byli Czerwonoskórzy” — i teraz już z pewnością są, biegają po całym kraju i skalpują ludzi.

— Może są tylko w północnej Szkocji — rzekła uspokajająco Janeczka. Bo istotnie, gdyby skalpowano ludzi aż tak daleko jak w północnej Szkocji, nie mogłoby to być specjalnie bolesne.

— Sama w to nie wierzysz — odparła Antea. — Piaskoludek powiedział, że tym razem ładnieśmy się urządzili... To znaczy, że oni przyjdą tutaj. I pomyśl, co będzie, jak oskalpują Baranka!

^{*} Znana powieść o Indianach amerykańskiego pisarza F. Coopera.

— Może będą skalpować dopiero o zachodzie słońca — rzekła Janeczka, ale w jej głosie nie czuło się tym razem nuty pewności.

— Więc co z tego? — mruknęła Antea. — Pozostałości naszych życzeń nie znikają. Przypomnij sobie piętnaście szylingów! Słuchaj, Kiziu, muszę teraz koniecznie coś stłuc, a ty musisz dać mi wszystkie pieniądze, jakie tylko masz. Indianie przyjdą tutaj na pewno, czy tego nie rozumiesz? Ten okropny duszek wyraźnie to nam powiedział. Teraz już chyba wiesz, jaki jest mój plan? Więc chodź!

Janeczka nie miała pojęcia, jaki jest plan Antei. Ale weszła posłusznie za siostrą do pokoju mamusi.

Antea zdjęła z umywalki ciężki dzban na wodę, malowany w bociany i długie źdźbła trawy, zaniósła go do łazienki i ostrożnie wylała wodę do wanny. Po czym wróciła z dzbankiem do sypialni i rzuciła go na podłogę. Wiecie zapewne o tym, że dzbanki tłuką się zawsze, jeśli przypadkiem upuścić je na ziemię. Ale jeśli zrobić to umyślnie, sprawa staje się całkiem inna. Antea trzy razy upuszczała dzbanek, a mimo to nie był nawet pęknięty. Musiała w końcu wziąć prawidła do butów ojca i za ich pomocą z zimną krwią rozbijać dzbanek. Było to doprawdy bezlitosne!

Potem pogrzebaczem rozbiła skarbonkę z datkami na szkoły w Afryce. Janeczka tłumaczyła jej oczywiście, że tego nie można robić, lecz Antea zacisnęła usta i wyszeptwała:

— Nie bądź głupia — to sprawa życia i śmierci.

W skarbonce było niewiele pieniędzy — wszystkiego z siedem szylingów i parę pensów — ale dziewczynki miały prócz tego własne cztery szylingi. Razem więc, jak łatwo obliczyć, stanowiło to ponad jedenaście szylingów.

Antea zawiązała pieniądze w róg chusteczki do nosa, zawołała: „Chodź ze mną, Janeczko!”, i pobiegła na farmę. Wiedziała, że farmer miał dzisiaj po południu jechać do miasteczka. Prawdę mówiąc, umówiono się nawet, że zabierze ze sobą całą czwórkę. Dzieci uplanowały to jeszcze wówczas, gdy myślały, że dostaną od Piaskoludka sto funtów szterlingów w dwuszylingowych monetach. Obiecały nawet, że farmerowi zapłacą za jazdę po dwa szylingi od osoby. Teraz jednak Antea pośpiesznie wyjaśniła, że nie mogą z nim jechać, i prosiła, by zamiast tego zabrał Martę z małym Barankiem. Farmer zgodził się, choć niezbyt mu się podobało, że dostał tylko dwa i pół szylinga zamiast ośmiu.

Po tej transakcji dziewczynki wróciły do domu. Antea była bardzo przejęta, ale opanowana. Kiedy później zastanawiała się nad tym, doszła do wniosku, że cały czas działa niesłychanie przewidująco i szybko, niczym urodzony generał. Z kącika w swojej szufladzie wyjęła małe pudełeczko i poszła z tym do Marty, która właśnie nakrywała do stołu i była w nie najlepszym humorze.

— Słuchaj, Marto — rzekła Antea. — Zbiłam dzbanek na wodę w pokoju mamusi.

— To już zawsze tak z tobą, zawsze musisz coś zbroić — odparła Marta stawiając na stole solniczkę.

— Nie gniewaj się, Marto, moja kochana — powiedziała Antea. — Mam dosyć pieniędzy, żeby odkupić dzbanek, bądź tylko tak dobra, pojedź i załatw to dla nas. Twój brat cioteczny ma, zdaje się, sklep z porcelaną, prawda? Tylko chciałabym, żebyś to załatwiła jeszcze dzisiaj, bo mamusia może już jutro wrócić. Pamiętasz, że mówiła, że może już jutro wróci?

— Ale przecież wy sami macie jechać do miasta — rzekła Marta.

— Nie możemy — odparła Antea — bo nam nie starczy pieniędzy, jeśli mamy odkupić dzbanek. Ale zapłacimy za twoją jazdę, jeżeli zabierzesz Baranka. I wiesz co, Marto, podaruję ci moje urodzinowe pudełeczko, jeżeli zgodzisz się jechać. Widzisz, jakie jest ładne, wykładane prawdziwym srebrem, hebanem i kością słoniową jak świątynia króla Salomona.

— Widzę — potwierdziła Marta — ale nie chcę twojego pudełeczka. Chcecie po prostu pozbyć się kochanego Baranka na dzisiejsze popołudnie. Nie wyobrażaj sobie, że nie wiem, o co ci chodzi, znam was na wylot!

Było to tak oczywiste, że Antea już chciała z miejsca zaprzeczyć. Marta nie powinna przecież wiedzieć za dużo. Ale ugryzła się w język.

Marta postawiła na stole chleb tak energicznie, że kromki aż podskoczyły na tacce.

— Ale ja naprawdę chciałabym odkupić ten dzbanek — rzekła potulnie Antea. — Więc zrobisz to dla mnie, Marto, dobrze?

— Dobrze, niech już będzie, mniejsza o to. Ale pamiętaj, żebyście tutaj nic nie nabroili, kiedy mnie nie będzie!

— Farmer wybiera się wcześniej, niż miał zamiar — rzekła z przejęciem Antea. — Więc może byś lepiej poszła się przebrać. Włóż tę śliczną sukienkę bordo i kapelusik z różowymi bławatkami, no i koronkowy kołnierzyk. Janeczka za ciebie nakryje do stołu, a ja tymczasem umyję i przebiorę Baranka.

Myjąc opierającego się gwałtownie Baranka i ubierając go pośpiesznie w najlepsze ubranko, Antea raz po raz wyglądała przez okno: jak dotąd wszystko przebiegało pomyślnie, Indian jakoś nie było widać. A gdy wreszcie wśród ogólnego pośpiechu i zamieszania Marta, trochę bardziej czerwona niż zwykle, odjechała z Barankiem, Antea wydała głębokie westchnienie ulgi.

— Przynajmniej on jest bezpieczny! — zawołała i ku przerażeniu Janeczki rzuciła się na podłogę zalewając się potokiem łez. Janeczka nie mogła pojąć, jak może ktoś zachowywać się tak mężnie i niczym generał, a jednocześnie klapnąć tak nagle jak przekłuty balonik. Oczywiście lepiej jest nie klapnąć, ale muszę zwrócić waszą uwagę, że Antea załamała się dopiero wtedy, gdy już osiągnęła swój cel. Wyprawiła najmilszego Baranka, który był już poza niebezpieczeństwem, gdyż Antea miała zupełną pewność, że Indianie przyjdą do Białego Domku i nigdzie indziej. A ponieważ było niepodobieństwem, aby wózek farmera wrócił przed zachodem słońca, mogła sobie pozwolić na trochę płaczu. Można nawet powiedzieć, że częściowo płakała z radości, że osiągnęła to, co zamierzała. Płakała tak przez jakie trzy minuty, a przez ten czas Janeczka wciąż głaskała ją po ramionach i powtarzała co pół sekundy: „Nie płacz, Pantero, nie płacz!”

Wreszcie Antea wstała, otarła oczy rogiem fartuszka, a otarła tak mocno, że były czerwone przez całą resztę dnia, i zaczęła szukać chłopców, aby im opowiedzieć o wszystkim. Ale w tej samej chwili kucharka podała obiad i nie można było nic mówić, dopóki nie zaczęli jeść klopsa. Wtedy kucharka wyszła z pokoju i Antea opowiedziała o wszystkim. Okazuje się jednak, że raczej nie należy opowiadać przejmującej historii ludziom, którzy jedzą klops i gorące kartofle. Coś widocznie takiego jest z tym jedzeniem, że myśl o Indianach wydaje się daleka i nieprawdopodobna. Chłopcy zaczęli się po prostu śmiać i nazwali Anteę idiotką.

— E, bzdura — dodał Cyryl — jestem prawie pewien, że zanim powiedziałem o Indianach, Janeczka powiedziała, że chciałaby, żeby dzisiaj była piękna pogoda.

— Wcale nie jest — przerwała krótko Janeczka.

— Bo gdyby to mieli być Indianie — ciągnął Cyryl — poproszę o sól i musztardę, tej siekaniny nie można inaczej przepchnąć — gdyby to mieli być Indianie, to już dawno byłoby ich tutaj pełno; wiesz doskonale, że tak. To z pewnością musiała być piękna pogoda.

— W takim razie dlaczego duszek powiedział, że tym razem ładnieśmy się urządzili? — spytała Antea.

Była oburzona na chłopców, wiedziała, że postąpiła szlachetnie i rozsądnie, a w takich razach jest bardzo przykro, jeśli nazwą człowieka idiotką. Tym bardziej że na sumieniu Antei ciążyła jak ołów cała zawartość rozbitej skarbonki — przeszło siedem szylingów w miedziakach.

Zapadło milczenie, w czasie którego kucharka zabrała talerze po klopsie i przyniosła budyń ze słodkim sosem. Skoro tylko wyszła, Cyryl zaczął na nowo.

— Inna sprawa — przyznał — że bardzo dobrze zrobiłaś splawiając Martę i Baranka na całe popołudnie. Ale co do Indian — wiesz doskonale, że życzenia spełniają się zaraz po ich wypowiedzeniu. Gdyby tu mieli przyjść Czerwonoskórzy, to już by tutaj byli.

— Chyba już są — rzekła Antea. — Są i czyhają gdzieś w zaroślach, bo jak wiesz, zawsze tak robią. Więc myślę, że to po prostu ohydne, jak ty mnie traktujesz.

— Indianie zawsze chyba czyhają, prawda, że czyhają? — wtrąciła Janeczka pragnąc przywrócić spokój.

— Nie, nie czyhają — odparł sucho Cyryl — a ja nie traktuję ciebie ohydnie, tylko mówię, jak jest. I powtarzam, że to był idiotyzm tłuc dzbanek. A co do skarbonki, to myślę, że to zdrada stanu, i wcale bym się nie dziwił, gdyby cię za to powieszono, jeżeli ktokolwiek z nas...

— Czy mógłbyś przestać głądzić? — spytał Robert.

Ale Cyryl nie mógł. Chodzi o to, że w głębi serca zdawał sobie z tego sprawę, że gdyby istotnie zjawili się Indianie, to byłaby to wyłącznie jego wina. Dlatego właśnie nie chciał w to uwierzyć. A jeśli spróbujemy nie wierzyć w coś, o czym jesteśmy przekonani, że jest prawdą, wywiera to jak najgorszy wpływ na usposobienie.

— To zupełny idiotyzm — rzekł Cyryl — mówić o Indianach, kiedy sami widzicie, że właśnie życzenie Janeczki zostało spełnione. Patrzcie, jaka cudowna pogoda... Ooo!

Spojrzał w okno chcąc podkreślić wspaniałość pogody, inni także spojrzeli, a wtedy Cyryl zamarł nagle w milczeniu, nikt zaś z pozostałych nie miał odwagi odezwać się. Za oknem bowiem, wśród czerwonych liści winogrodu ukazała się twarz — brunatna twarz o długim nosie, zaciśniętych ustach i bardzo błyszczących oczach. Owa twarz była pomalowana w kolorowe pasy, a w czarnych i długich włosach tkwiły pióra!

Dzieci otworzyły szeroko usta i tak pozostały. Budyń z sokiem stygł nie tknięty na talerzach. Nikt nawet nie drgnął.

Nagle głowa przybrana piórami cofnęła się ostrożnie i czar prysł. Przykro mi stwierdzić, że pierwsze słowa Antei były bardzo dziewczynskie.

— Widzicie? A nie mówiłam?!

Teraz budyń ze słodkim sosem stracił już wszelki urok. Ukrywszy pośpiesznie swoje porcje za piecem, po uprzednim ich owinięciu w gazetę sprzed dwóch tygodni, cała czwórka popędziła na górę, aby wybadać teren i odbyć pośpiesznie naradę wojenną.

— Zgoda! — zawołał wielkodusznie Cyryl, gdy weszli do sypialni mamy. — Pantero, bardzo żałuję, że zachowałem się tak podle.

— No, już dobrze — odparła Antea — ale teraz sam widzisz!

Z okna jednak nie można było wypatrzeć najmniejszego nawet śladu bytności Indian.

— Więc co my teraz zrobimy? — spytał Robert.

— Jedyna rzecz, jaka mi przychodzi na myśl — odparła Antea, uznana teraz powszechnie za bohaterkę dnia — to to, żebyśmy sami przebrali się za Indian, jak tylko potrafimy najlepiej, i wyglądali przez okno lub nawet wyszli na dwór. Tamci mogą pomyśleć, że jesteśmy potężnymi wodzami wielkiego sąsiedniego szczepu, i może nic nam nie zrobią ze strachu przed okrutną zemstą.

— A co będzie z Elizą i z kucharką? — spytała Janeczka.

— Zapominasz, że one niczego nie mogą zauważyć — rzekł Robert. — Nie zauważą nic nadzwyczajnego, nawet gdyby je oskalpowano czy usmażono na wolnym ogniu.

— Ale czy po zachodzie słońca znowu wszystko będzie z nimi w porządku?

— Naturalnie. Nie można być naprawdę oskalpowanym czy spalonym na śmierć i wcale tego nie zauważyć — odparł Cyryl. — Przynajmniej nazajutrz musiałyby zauważyć, nawet gdyby nie zauważyły tego w pierwszej chwili. Więc wydaje mi się, że pomysł Antei jest dobry. Tylko będziemy potrzebowali strasznie dużo piór.

— Pójdę do kurnika — powiedział Robert. — Jeden indyk jest trochę niezdrów. Więc mógłbym wyciąć mu pióra bez większego trudu. Indyk jest naprawdę w złej formie i mało go obchodzi, co się z nim robi. Dajcie mi tylko nożyczki.

Dokładnie przeprowadzone zwiady upewniły naszych przyjaciół, że na podwórku nie było żadnych Indian. Robert wyruszył, a po pięciu minutach wrócił. Był blady, ale przyniósł ze sobą mnóstwo indyckich piór.

— Wiecie, że położenie jest bardzo poważne — szepnął. — Wyciąłem indykowi pióra, a kiedy odwróciłem się, żeby wyjść, spostrzegłem Indianina, który przyglądał mi się zza starego kojca. Potrząsnąłem piórami, krzyknąłem i zdążyłem wybiec, nim tamten odsunął kojca. Pantero, wyciągnij kolorowe koce z naszych łóżek i staraj się wyglądać groźnie.

To aż dziwne, jak można się upodobnić do Indian za pomocą koców, piór i kolorowych szalików. Oczywiście, żadne z dzieci nie miało długich, czarnych włosów, ale znalazło się dużo czarnego, błyszczącego papieru, przeznaczonego na okładanie szkolnych książek. Wycięto z tego coś w rodzaju frędzli i przymocowano wokół głów żółtymi wstążkami, którymi ozdobione były odświętne sukienki Antei i Janeczki. Następnie przyczepiono do wstążek mnóstwo indyckich piór. Czarny, błyszczący papier wyglądał zupełnie jak długie, czarne włosy, zwłaszcza kiedy pocięte frędzelki zaczęły się trochę zwijać.

— Ale twarze! — zawołała Antea. — Twarze mamy wcale nie tego koloru, co trzeba. Wszystkie są dosyć blade, a Cyryl, nie wiem doprawdy dlaczego, ma twarz całkiem koloru kitu.

— Nic podobnego! — oburzył się Cyryl.

— Prawdziwi Indianie tam na dworze wyglądają jakoś brązowo — rzekł nagle Robert. — Więc myślę, że my powinniśmy być naprawdę czerwoni. To będzie nam dawać przewagę, bo u Czerwonoskórych czerwona skóra jest oznaką wyższości.

W kuchni znaleziono sporo ceglatego proszku, którego kucharka używała do szorowania. Była to chyba najczerwieńsza rzecz w domu. Dzieci rozrobiły to mlekiem na spodeczku, bo widziały, że tak właśnie robiła kucharka.

Po czym bardzo starannie pomalowały sobie nawzajem twarze i ręce, aż stały się tak czerwone jak u prawdziwych Indian — a może nawet jeszcze bardziej.

Dzieci przekonały się zaraz, że muszą wyglądać rzeczywiście groźnie, bo kiedy spotkały w korytarzu Elizę, ta głośno krzyknęła. Jej nieproszone świadectwo sprawiło im ogromną przyjemność. Pośpiesznie wytłumaczyli jej, że to tylko zabawa i żeby nie była gęsią, po czym czwórka jak najbardziej prawdziwych Czerwonoskórych, przystrojonych w koce i pióra, ruszyła odważnie na spotkanie wroga. Powiedziałam, że nasza czwórka ruszyła odważnie, ale właściwie użyłam tego zwrotu po prostu przez grzeczność. W każdym razie ruszyła.

Wzdłuż żywopłotu oddzielającego puszcę od ogrodu widniał szereg ciemnych głów, a wszystkie były przybrane piórami.

— Teraz mamy jedyną okazję — szepnęła Antea. — Bo kiedy oni zaczną swój krwawy atak, będzie już za późno. Musimy zachowywać się jak wariaci. Jak w tej grze w karty, kiedy trzeba udawać, że ma się same asy, a nie ma się żadnego. To nazywa się pluf czy coś takiego. A teraz zaczynamy! HUUU!

Dzieci wznosząc dzikie okrzyki bojowe — a w każdym razie wydając wrzaski w pewnym stopniu do tego podobne, gdyż lepszych nie można było oczekiwać — zważywszy ich brak wprawy — wypadły przez furtkę i stanęły w niezmiernie wojowniczych postawach twarzą w twarz z szeregiem Czerwonoskórych.

Indianie byli wszyscy mniej więcej tego samego wzrostu, a był to wzrost Cyryla.

— Mam nadzieję, że chyba potrafią mówić po angielsku — rzekł Cyryl nie zmieniając postawy.

Antea wiedziała, że potrafią, choć wcale nie wiedziała, skąd o tym wie. W rękę trzymała laskę z przywiązanym do niej białym ręcznikiem. Była to flaga pokoju i Antea wymachiwała

nią w nadziei, że Indianie zrozumieją, co to oznacza. Najwidoczniej musieli istotnie zrozumieć, gdyż jeden, bardziej brązowy niż reszta, zrobił krok naprzód.

— Chcecie mieć pow-wow? — spytał doskonałą angielszczyzną. — Ja jestem Złoty Orzeł z potężnego szczepu Mieszkańców Skał.

— A ja — odparła Antea czując nagły przypływ natchnienia — jestem Czarna Pantera, wódz szczepu... Mazawattów. Moi bracia... to jest nie, nie bracia, ale szczep... mój szczep Mazawattów urządził zasadzkę pod krawędzią tamtego wzgórza.

— A kim są ci dzielni wojownicy? — spytał Złoty Orzeł zwracając się do pozostałych.

Cyryl oświadczył, że jest wielkim wodzem Wiewiórkami ze szczepu Moningów Kongo, a widząc, że Janeczka zaciekle ssie palec i najwidoczniej nie może wymyślić żadnego imienia dla siebie, dodał:

— A ten dzielny wojownik nazywa się Dziki Kot — Kizia Straszny nazywamy go tutaj — i jest wodzem potężnego szczepu Fitezów.

— A ty, o waleczny Indianinie? — Złoty Orzeł spytał nagle Roberta, który, zniechęcony, tyle tylko zdołał powiedzieć, że jest Bobem, dowódcą Konnej Policji.

— Rozumiecie więc — rzekła Czarna Pantera — że nasze szczepy na jedno nasze gwizdnięcie zjawiają się tutaj w liczbie bez porównania większej od waszych znikomych sił. Wszelki opór jest więc zbyteczny. Wracaj zatem do twojej krainy, mój czerwonoskóry bracie, i wypal fajkę pokoju w twoich wampamach wraz z twymi skwawami i czarownikami, ubierz się w najlepsze twoje wigwamy i pij wesoło sok świeżo schwytanych mokasynów*.

— Zupełnie wszystko poplątałaś — mruknął ze złością Cyryl.

Ale Złoty Orzeł tylko spojrzął na nią badawczo.

— Wasze obyczaje, Czarna Pantero, inne są niż nasze — odparł. — Wezwij tu swój szczep, żebyśmy mogli odbyć pow-wow przed nimi, jak przystało na wielkich wodzów.

— Oczywiście, że przywołam cały mój szczep — rzekła Antea — z łukami i strzałami, z tomahawkami i nożami do skalpowania i wszystkim, czego tylko potrzeba, jeśli nie będziecie mieli dosyć rozumu i nie zabierzecie się stąd w porę.

Przemawiała bardzo odważnie, ale wszystkim dzieciom zawzięcie biły serca, a oddech stawał się coraz bardziej i bardziej urywany. Albowiem prawdziwi mali Czerwonoskórzy otaczali ich coraz ciasniejszym kołem, podchodząc coraz bliżej i wydając gniewne pomruki, aż w końcu nasza czwórka znalazła się w środku całego tłumu ciemnych, okrutnych twarzy.

— To wszystko na nic — szepnęła Robert. — Wiedziałem, że tak będzie. Musimy dostać się jakoś do Piaskoludka. Może jednak zechce nam dopomóc. A jeśli nie, to myślę, że po zachodzie słońca znowu wrócimy do życia. Nie wiem tylko, czy skalpowanie rzeczywiście tak bardzo boli, jak to mówią.

— Zamacham jeszcze raz chorągwią — rzekła Antea. — Jeżeli cofną się, to pobiegniemy do Piaskoludka.

Zaczęła wymachiwać ręcznikiem i wódz kazał swym wojownikom cofnąć się. Wtedy uderzając wściekle w tym kierunku, gdzie pierścień Indian był najcieńszy, dzieci zaczęły biec. Z pierwszego rozpędu obaliły na ziemię ze szczęściu Indian i przeskakując przez ich ciała, pognały w stronę kamieniołomu. Nie było czasu na to, aby zrobić użytek ze zwykłej okólnej drogi. Rzuciły się więc prosto zboczem kamieniołomu, porośłym suchą trawą i żółto-czerwonymi kwiatami. Minęły wejścia do gniazd skalnych jaskółek i skacząc, potykając się, poślizgując i przewracając, w końcu stoczyły się na dół.

Złoty Orzeł ze swymi wojownikami nadbiegł tuż za nimi i wszyscy znaleźli się dokładnie w tym samym miejscu, w którym tegoż poranka dzieci spotkały Piaskoludka.

* Widocznie Antei wszystko się pomieszało ze strachu. Wigwamy to w języku Indian — namioty, a mokasyny — obuwie.

Potłuczeni i z trudem chwyając oddech nasi nieszczęśnicy czekali teraz, aż się dopełni ich los. Wokół nich błyskały ostrza noży i toporów. Ale najgorsze były błyski okrucieństwa w oczach Złotego Orła i wojowników.

— Okłamaliście nas — rzekł Złoty Orzeł — ty, o Czarna Pantero ze szczepu Mazawattów, i ty, Wiewiórku ze szczepu Moningów Kongo. A wy także, Kiziu Straszny ze szczepu Fitezów i Bobie z Policji Konnej, wy też okłamaliście nas jeśli nie językiem, to swoim milczeniem. Kłamaliście nam pod osłoną chorągwi pokoju i Bładych Twarzy. Nie ma tu z wami waszych wojowników. Wasze szczepy są daleko stąd — wędrują tropem myśliwskim. Jaki ma być ich los? — zakończył zwracając się z gorzkim uśmiechem do grupy Czerwonoskórych.

— Roznieśmy ognisko! — krzyknęli wojownicy. Natychmiast też z dziesiątek ochotników rzucił się na poszukiwanie gałęzi dla rozniecenia ognia. Czwooro dzieci, trzymanyh każde przez dwóch silnych, choć małych Indian, rozglądało się rozpaczliwie wokół siebie. Ach, gdybyż tylko udało im się wypatrzeć Piaskoludka!

— Czy zamierzacie najpierw nas oskalpować, a potem upiec? — spytała z rozpaczą Antea.

— Naturalnie! — Czerwonoskóry aż wytrzeszczył na nią oczy ze zdumienia. — Zawsze tak się robi.

Indianie znów utworzyli pierścień wokół dzieci, usiedli na ziemi i wpatrywali się w swoich jeńców. Zapadło złowrogie milczenie.

Potem jednak zaczęli wracać parami i trójkami Indianie, którzy ruszyli na poszukiwanie gałęzi. Wrócili jednak z niczym. Nie mogli znaleźć nawet jednego kawałka chrustu dla rozpalenia ogniska. Nikt zresztą nie mógłby tego zrobić w tej okolicy Anglii.

Dzieci wydały westchnienie ulgi, nagle zakończone jękiem przerażenia. Dokoła nich bowiem rozbłysły ostrza wzniesionych noży. W następnej chwili Indianie chwycili każde z dzieci z osobna i każde zacisnęło powieki starając się nie krzyżeć. Czekali teraz na ostre, straszliwe dotknięcie noża. Lecz to nie nastąpiło. Zaraz potem puszczone je i dzieci padły na ziemię trzęsąc się ze strachu. Nic jednak — ich nie bolało. Czuły tylko przejmujące zimno! W uszach ich zabrzmiały dzikie okrzyki wojenne. A kiedy wreszcie zdecydowały się otworzyć oczy, zobaczyły czterech Indian tańczących wokół nich w dzikich podskokach i wydających wściekłe okrzyki: każdy z tej czwórki trzymał wysoko w ręku skalp długich, czarnych, powiewających włosów. Dzieci dotknęły rękami głów — ich własne skalpy były bezpieczne! Biedne, nie uczone dzikusy oskalpowały ich rzeczywiście. Ale oskalpowały tylko z długich frędzli błyszczącego czarnego papieru!

Dzieci padły sobie nawzajem w ramiona, szlochając i śmiejąc się na przemian.

— Zdarliśmy ich skalpy — wykrzykiwał Wódz — źle były wrośnięte ich nieszczęsne włosy! Znalazły się w ręku zwycięzców bez walki i bez oporu! Bez walki i bez oporu oddali swoje skalpy zwycięskim Mieszkańcom Skał! Ach, jakże mało wart jest skalp tak łatwo zdobyty!

— Zobaczycie, że jeszcze chwila, a zdejmą nam nasze prawdziwe skalpy — rzekł Robert usiłując wetrzeć sobie we włosy trochę czerwonego miazgu startego z twarzy i rąk.

— Podstępem nas pozbawili słusznego i straszliwego odwetu! — zawodził wódz dalej. — Ale są inne jeszcze tortury prócz płomieni i skalpowego noża. Właściwą rzeczą byłby powolny ogień. O dziwny, niesamowity kraju, gdzie wojownik nie może znaleźć drzewa, by na nim spalić wroga! Gdzie są nieogarnione puszcze mojej ojczystej ziemi, gdzie drzewa olbrzymie rosnące na przestrzeni tysięcy mil, drzewa, z których można rozpaść niezliczone ogniska, by w nich spłonęli wrogowie! O, gdybyśmy się na nowo znaleźli w naszej rodzinnej puszczy!

Wtem, w mgnieniu oka, złoty piasek rozbłysnął wokół czworga dzieci zamiast ciemnych postaci Czerwonoskórych. W chwili bowiem gdy wódz wypowiedział ostatnie słowa,

Indianie, wszyscy co do jednego, zniknęli. Duszek Piaskoludek musiał widocznie być tutaj przez cały czas. I spełnił życzenie wodza Czerwonoskórych.

* * *

Marta przywiozła do domu dzbanek na wodę malowany w bociany i długie żdźbła trawy. Przywiozła też z powrotem wszystkie pieniądze Antei.

— Moja siostra cioteczna dała mi ten dzbanek na szczęście. Powiedziała, że jest nie do pary, bo miednica od niego się zbiła.

— Ach, Marto, jakaś ty kochana! — zawołała Antea rzucając się jej na szyję.

— Tak — mówiła zduszonym głosem Marta. — Uściskaj mnie, póki czas i póki tu jeszcze jestem. Bo jak tylko wasza mamusia wróci, z miejsca odchodzę.

— Ależ, Marto, przecież myśmy nie byli aż tacy nieznośni dla ciebie? — Antea aż osłupiała ze zdziwienia.

— O, to wcale nie to — Marta jąkała się i dławiała bardziej niż kiedykolwiek. — Ja... ja wychodzę za męż. Za gajowego. Oświadczał mi się już dużo razy od czasu, kiedy was przywiózł z plebanii, gdzie siedzieliście zamknięci na wieży kościelnej. A dzisiaj powiedziałam mu, że się zgadzam, więc już jesteśmy po słowie.

Antea włożyła siedem szylingów i cztery pensy z powrotem do skarbonki, którą zalepiła w tym miejscu, gdzie przedtem wybiła otwór pogrzebaczem. Bardzo była zadowolona, że tak się wszystko udało, ale po dziś dzień nie wie, czy rozbijanie skarbonki jest sprawą gardłową, czy nie.

ROZDZIAŁ XI (I OSTATNI) OSTATNIE ŻYCZENIE

Oczywiście, wy wszyscy, którzy już przeczytaliście, że jest to jedenasty (i ostatni) rozdział, wiecie teraz dobrze, że dzień, o którym rozdział ten opowiada, musiał być dniem ostatniego życzenia, jakie duszek Piaskoludek spełnił Cyrylowi, Antei, Robertowi i Janeczce.

Lecz same dzieci nic o tym nie wiedziały. Pełne były radosnych nadziei i podczas gdy dotąd z ogromnym często trudem potrafiły wymyślić jakieś życzenie, teraz w ich mózgach roiło się od pomysłów, a jedne były piękniejsze i sensowniejsze od innych. „Bo to już tak zawsze w życiu bywa” — jak słusznie później zauważyła Janeczka. Wszyscy tego dnia wstali wyjątkowo wcześniej i przed śniadaniem w ogrodzie omawiano z wielkim zapalem projekty nowych pomysłów. Dawny pomysł zażądania stu funtów szterlingów w dzisiejszych dwuszylingówkach jeszcze ciągle miał swój urok. Ale były też inne, nie mniej ponętne perspektywy, z których najciekawszym był projekt — dla każdego kucyk. Miało to całe mnóstwo zalet. Można było z rana wypowiedzieć życzenie: kucyk dla każdego, jeździć przez cały dzień, a choć wieczorem kuczki by zniknęły, nazajutrz znów można było powtórzyć to samo. Dawało to nawet sporą oszczędność na ściółce i miejscu w stajni. Ale przy śniadaniu zdarzyły się dwie rzeczy. Najpierw przyszedł list od mamusi. Babcia czuła się lepiej i mamusia z tatusiem zamierzali wrócić do domu jeszcze dziś po południu. Wiadomość tę powitano okrzykami radości. Ale oczywiście odsunęła ona całkowicie w cień wszystkie przedśniadaniowe pomysły. Każdy bowiem rozumiał doskonale, że dzisiejsze życzenie musi być takie, żeby sprawić przyjemność mamie, a nie po prostu sobie.

— Myślę i myślę — mówił Cyryl — czego by też mamusia mogła chcieć.

— Z pewnością chciałaby, żebyśmy wszyscy byli grzeczni — odparła mizdrząc się Janeczka.

— Tak — rzekł Cyryl — ale to byłoby strasznie dla nas nudne. A poza tym wydaje mi się, że potrafimy być grzeczni bez pomocy duszka. Nie, to na nic! Musimy wymyślić coś wspaniałego. Coś, czego bez Piaskoludka w żaden sposób nie moglibyśmy dostać.

— Uważaj! — zawołała ostrzegawczo Antea. — Pamiętaj, co było wczoraj! Wiesz, że nasze życzenia spełniają się wszędzie, gdzie jesteśmy, jeśli tylko komuś z nas zdarzy się powiedzieć: „chciałbym”. A kiedy jak kiedy, ale dziś nie możemy w żaden sposób się wkopać.

— Dobrze — przyznał Cyryl — ale nie musisz tak mleć językiem.

W tej samej chwili weszła Marta niosąc herbatę, a z jej twarzy biła po prostu powaga.

— To istny cud, że jeszcze żyjemy i możemy spokojnie jeść śniadanie! — wyrzekła posepnie.

— A dlaczego? Co się stało? — zawołali wszyscy.

— Ach, nic takiego — odparła Marta — tylko zanosi się na to, że każdej chwili mogą nas jak nic wymordować w łóżkach.

— Dlaczego? — spytała Janeczka czując, jak rozkoszny dreszcz strachu przebiega jej wzdłuż pleców i nóg aż do pięt. — Czy ktoś został zamordowany w łóżku?

— Tak prawdę mówiąc, to nie — odparła Marta — ale mało co brakowało. Gajowy opowiadał mi właśnie, że we dworze w Peasemarsz byli włamywacze i zrabowali wszystkie brylanty lady Chittenden i wszystkie kosztowności, i różne inne rzeczy. I hrabina mdleje raz po raz, ledwo tylko zdąży powiedzieć: „Ach, moje brylanty!” A hrabia Chittenden jest w Londynie.

— A ja wiem, jak hrabina wygląda — rzekła Antea — bośmy ją widzieli. Ma białoczerwona suknię, nie ma własnych dzieci i nie znosi cudzych.

— Tak, tak, to właśnie ta sama — odparła Marta. — Więc ona miała cały swój majątek w tych klejnotach i widzicie, co z tego wyszło. Mówią, że te brylanty i inne rzeczy warte były tysiące tysięcy funtów. Był tam naszyjnik i tara, czy jak to się nazywa, i pełno bransoletek. A pierścionków to już zupełnie bez liku. No, ale już muszę iść, bo trzeba posprzątać, zanim mamusia przyjedzie.

— Nie rozumiem, na co jej było takie mnóstwo brylantów! — rzekła Antea, gdy już Marta wyszła. — Myślę, że ta hrabina jest bardzo nieprzyjemna. A mamusia nie ma żadnych brylantów i w ogóle prawie żadnych kosztowności. Tylko naszyjnik z topazów i pierścionek zaręczynowy z szafirem, który dostała od tatusia, i tę małą broszeczkę z włosami pradziadunia, i to chyba wszystko.

— Kiedy dorosnę — rzekł Robert — to będę ciągle kupował mamusi brylanty, jeżeli tylko zechce. Pojadę do Afryki i będę tam robił różne odkrycia, i zarobię na tym tyle pieniędzy, że nie będę wiedział, gdzie je podziąć.

— Jakby to było pięknie — rzekła marząco Janeczka — gdyby mamusia znalazła wszystkie te śliczne rzeczy, naszyjniki z brylantów i bransoletki, i tary?

— Tia-ry — rzekł Cyryl. — Tia-ry.

— Dobrze, niech będą tiary... i pierścionki, i wszystko, wszystko! Żeby znalazła to w swoim pokoju, jak wróci. Chciałabym „żeby tak było.

Dzieci spojrzwały na nią w niemym przerażeniu.

— A więc znajdzie — powiedział Robert. — Wypowiedziałas życzenie, miła Janeczko, i nasza jedyna nadzieja teraz to znaleźć duszka Piaskoludka i poprosić go — jeśli nie jest w specjalnie złym humorze — żeby cofnął twoje życzenie i wymyślił nam jakieś inne. Ale jak się nie zgodzi, no, to do widzenia! Ładnie będziemy wyglądać! Policja naturalnie i tak dalej... Nie płacz, głupia! Będziemy trzymać z tobą. Tatuś mówi, że nigdy nie powinniśmy się niczego bać, jeżeli nie zrobiliśmy nic złego, i zawsze mówimy prawdę.

Lecz Cyryl i Antea wymienili ze sobą posępne spojrzenia. Pamiętali bowiem, jak mało im to pomogło, kiedy w policji powiedzieli prawdę o Piaskoludku.

Ten dzień najwyraźniej był jakimś dniem feralnym. Więc Piaskoludka, oczywiście, nie można było znaleźć. Ani Piaskoludka, ani klejnotów, chociaż każde z dzieci po kolei przeszukało dokładnie pokój mamusi.

— Oczywiście — rzekł Robert — że my nie możemy znaleźć. Znajdzie je mamusia. Może będzie myślała, że te kosztowności były tu w domu od lat, i nigdy się nie dowie, że to są rzeczy kradzione.

— Tak! — zawołał z pogardą Cyryl. — Więc chcesz, żeby mamusia przyjmowała kradzione rzeczy! Wiesz przecież dobrze, czym to pachnie.

Ponowne wyczerpujące poszukiwania w kamieniołomie nie naprowadziły na ślad Piaskoludka i dzieci wolnym krokiem wróciły smutne do domu.

— Wszystko mi jedno — rzekła zdecydowanie Antea. — Powiemy mamusi prawdę, a ona odda klejnoty i wszystko będzie w porządku.

— Tak myślisz? — powoli rzekł Cyryl. — A czy spodziewasz się, że ci uwierzy? Czy w ogóle ktoś uwierzy w istnienie duszka Piaskoludka, jeśli go nie zobaczy? Mamusia będzie pewna, że wszystko zmyślamy. A może pomyśli, że zwariowaliśmy, i wtedy zamkną nas w domu wariatów. Czy miałabyś ochotę? — zwrócił się nagle do coraz bardziej zrozpaczonej Janeczki. — Czy chciałabyś, żeby cię zamknęli w żelaznej klatce, okratowanej i wybitej materacami, i żebyś przez cały dzień nic nie robiła, tylko wtykała sobie do włosów źdźbła słomy i słuchała wycia i jęków innych wariatów? Zastanówcie się nad tym dobrze, i to wszyscy. Nie ma sensu opowiadać mamusi.

— Kiedy to prawda... — rzekła Janeczka.

— Oczywiście że prawda, ale to nie wystarczy, żeby dorośli nam uwierzyli — odparła Antea. — Cyryl ma rację. Włóżmy kwiaty do wazonów i starajmy się wcale nie myśleć o brylantach. Bo ostatecznie i przedtem za każdym razem wszystko kończyło się dobrze.

Więc dzieci zapełniły wszystkie wazony, jakie tylko znalazły, kwiatami — były tam astry i cynie, i późne wątle czerwone róże, zerwane z krzewu pnącego się po murze stajennym. Aż w końcu cały dom wyglądał jak jedna kwiecista altana.

Mamusia przyjechała w tej samej niemal chwili, kiedy zebrano ze stołu po obiedzie. Zaraz też objęło ją osiem kochających ramion. I rzeczywiście nie było to rzeczą łatwą nic jej nawet nie wspomnieć o duszku Piaskoludku, bo dzieci zawsze mówiły jej o wszystkim i miały wielką ochotę opowiedzieć jej wszystko o duszku. Zdołały się jednak powstrzymać.

A mamusia ze swojej strony miała mnóstwo do opowiadania — o babci i babcinych gołębiach, o kulawym, łagodnym osiołku cioci Emmy. Mamusi podobało się bardzo, że dom jest tak ozdobiony kwiatami. I wszystko zdawało się dzieciom takie miłe i takie jak zawsze, gdy mamusia na nowo była w domu, że zaczęło im się wydawać, że cała historia z Piaskoludkiem tylko im się przyśniła.

Ale kiedy mamusia skierowała się w stronę schodów, chcąc pójść do swojego pokoju i zdjąć kapelusz, osiem ramion przywarło do niej tak mocno, jak gdyby miała tylko dwoje dzieci, z których jedno było Barankiem, a drugie — ośmiornicą.

— Nie chodź na górę, mamusiu — rzekła Antea — ja zaniosę twoje rzeczy do pokoju.

— Albo ja zaniosę — powiedział Cyryl.

— Chcemy, żebyś poszła z nami i obejrzała pnące róże — odezwał się Robert.

— Ach, nie chodź na górę! — zawołała płaczliwie Janeczka.

— Ależ to nie ma sensu, moi drodzy — zaprotestowała mamusia — przecież nie jestem jeszcze taka stara, żebym nie mogła pójść na górę i zdjąć kapelusz w swoim pokoju. A poza tym muszę umyć ręce, bo strasznie mam brudne.

Poszła więc na górę, a dzieci z wolna postępowały za nią, wymieniając spojrzenia pełne najgorszych przeczuć.

Mamusia zdjęła kapelusz — bardzo ładny, nawiasem mówiąc, z białymi różami — a potem podeszła do gotowalni, aby uczesać swoje piękne włosy.

Na gotowalni, pomiędzy tacką na drobiazgi a poduszeczką od szpilek, leżał zielony, skórzany futerałik. Mamusia go otworzyła.

— Ach, jakież to cudowne! — zawołała. W futerale znajdował się pierścionek z wielką perłą otoczoną brylancikami, które rzucały wspaniałe blaski. — Ale skąd się to tutaj wzięło? — spytała przymierzając na palec pierścionek, który pasował doskonale.

— Skąd to się tutaj wzięło? — powtórzyła mamusia.

— Nie wiem — odpowiedziało szczerze każde z czworga dzieci.

— Pewnie tatuś kazał Marcie położyć to tutaj — powiedziała mamusia. — Pójdę na dół i spytam ją.

— Pozwól mi się przypatrzeć — poprosiła Antea, która wiedziała, że Marta nie będzie mogła zobaczyć pierścionka. Lecz Marta, zagadnięta, odpowiedziała, nawet bez patrzenia, że o żadnym pierścionku nic nie wie. To samo powtórzyła kucharka.

Mamusia wróciła więc do swojego pokoju bardzo zaciekawiona i zachwycona pierścionkiem. Kiedy jednak otworzyła szufladę gotowalni i znalazła w niej podłużny futerał zawierający bezcenny niemal brylantowy naszyjnik — była jeszcze bardziej zaciekawiona, ale już mniej zachwycona. W szafie, do której podeszła, aby schować kapelusz, znalazła diadem i kilka wspaniałych broszek, w różnych zaś kątach pokoju w ciągu najbliższej pół godziny jeszcze mnóstwo innej biżuterii. Dzieci miały miny coraz bardziej markotne, aż w końcu Janeczka zaczęła pociągać nosem.

Mamusia popatrzyła na nią z powagą.

— Janeczko — rzekła — jestem pewna, że ty coś o tym wiesz. Namyśl się, nim odpowiesz, ale powiedz mi prawdę.

— Znaleźliśmy duszka — odparła posłusznie Janeczka.

— Tylko bez głupstw, proszę cię bardzo — rzekła ostro mama.

— Nie bądź głupia, Janka — przerwał Cyryl. Po czym mówił dalej w porywie zupełnej rozpacz: — Możesz nam wierzyć, mamusiu, że nigdy dotąd tych rzeczy nie widzieliśmy. Ale tej nocy włamywacze ograbili hrabinę Chittenden z Peasemars. Straciła całą swoją biżuterię. Więc czy to może być to?

Wszystkim wydarło się westchnienie ulgi. Byli uratowani.

— Ale jak mogli to tutaj schować? I po co? — spytała bardzo zresztą rozsądnie mamusia. — Na pewno byłoby dla nich i łatwiej, i bezpieczniej uciec z tym wszystkim.

— A przypuścimy — rzekł Cyryl — że pomyśleli sobie, że będzie im wygodniej zaczekać do zachodu słońca... Nie, właściwie do nocy, zanim stąd uciekną. Przecież oprócz nas nikt nie wiedział, że dzisiaj wracasz.

— Muszę zaraz posłać po policję — powiedziała z zakłopotaniem mamusia. — Ach, jaka szkoda, że tatusia tu nie ma!

— A może byłoby lepiej poczekać, aż tatuś wróci? — zapytał Robert wiedząc, że ojca nie będzie w domu przed zachodem słońca.

— O nie! Nie mogę z tym czekać ani chwili! — zawołała mama. „To” było okazałym stosem futerałów pełnych klejnotów zgromadzonych na łóżku. Umieścili to wszystko w szafie, którą mama zamknęła na klucz. Po czym zawołała Martę.

— Marto — spytała — czy od mego wyjazdu nikt obcy nie wchodził do mojego pokoju? Tylko proszę powiedzieć mi prawdę.

— Nie, proszę pani! — odparła Marta. — Chyba że...

Marta urwała.

— No co? — zagadnęła ją łagodnie mama. — Widzę, że jednak ktoś wchodził. Proszę powiedzieć mi wszystko i niczego się nie bać. Jestem pewna, że Marta nie zrobiła nic złego.

Ciężki szloch wyrwał się z ust Marty.

— Miałam pani jeszcze dzisiaj powiedzieć, że chcę odejść z końcem miesiąca, bo jestem zaręczona z jednym bardzo poważnym człowiekiem. On jest gajowym, proszę pani — ja nic pani nie kłamię — i nazywa się Beale. I żebyśmy się tak z miejsca nie ruszyła, jak to prawda, że on tylko z dobroci serca, bo jak pani miała przyjechać, i to tak nagle, i bez uprzedzenia, to ja nie wiedziałam, czy nadażę posprzątać. A on powiedział: „Marto, moje ty чудо!”, choć tak nie jest, ale wszystko jedno, bo mężczyźni zawsze tak mówią, więc powiedział: „Nie mogę znieść, żebyś tak harowała i żeby ci nie pomóc, kiedy mam mocne ręce, a ty, Marto, tak harujesz”. Tak powiedział i pomógł mi, proszę pani, wymyć okna, ale tylko ode dworu, i przez cały czas ja byłam w pokoju. I niech mnie Pan Bóg skarże, jak w tym jest choć jedno słowo nieprawdy.

— I Marta była z nim tutaj przez cały czas? — spytała mama.

— On był na dworze, a ja byłam w pokoju — odparła Marta. — I on mył okna od tamtej strony. Tylko wyszłam na jedną chwilę po wodę i irchową ściereczkę, którą ta flądra kucharka schowała z tyłu za magłem.

— To mi wystarczy — rzekła mama. — Nie jestem z Marty zadowolona, ale dobrze, że powiedziała prawdę, bo to też coś znaczy.

Kiedy Marta wyszła, dzieci otoczyły kołem mamę.

— Mamusiu kochana — zawołała Antea — Beale nic nie jest tu winien, na pewno nie jest winien! On jest bardzo kochany i bardzo poczciwy człowiek, i prawdomówny, i taki uczciwy jak już nie wiem kto. Więc nie wołaj, mamusiu, policji, żeby go zabierała! Nie, nie, nie!

Sytuacja była naprawdę okropna. Oto zupełnie niewinny człowiek mógł zostać oskarżony o grabież przez idiotyczne życzenie Janeczki, a powiedzenie prawdy najzupełniej nie zdało

się na nic. Wszyscy marzyli o tym, żeby powiedzieć prawdę, ale wciąż odstraszała ich myśl o słomie we włosach i wyciu innych zamkniętych wariatów.

— Czy nie znajdzie się tu jaki wózek? — spytała gorączkowo mamusia. — Wózek czy bryczka, wszystko jedno. Muszę zaraz jechać do miasta i donieść o wszystkim policji.

Dzieci znowu zaczęły szlochać.

— Jest wózek u farmera. Ale nie jedź, mamusiu! Nie jedź! Zaczekaj, aż tatuś wróci!

Ale mama nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Kiedy sobie coś raz postanowiła, wtedy zmierzała już prosto do celu. Pod tym względem przypominała bardzo Antę.

— Cyryl! — zawołała wkładając kapelusz i przypinając go długimi szpilkami o fioletowych główkach. — Uważaj, co ci powiem! Zostawiam tu wszystko pod twoją opieką. Wejdź do łazienki i nie ruszaj się stamtąd. Możesz udawać, że puszczasz łódki w wannie czy coś takiego. Ale nie ruszaj się stąd i zostaw przez cały czas otwarte drzwi na schody. Drzwi z drugiej strony zamknęłam na klucz. I nie pozwól, aby ktokolwiek wchodził do mojego pokoju. Pamiętaj, że nikt nie wie, gdzie jest biżuteria, oprócz mnie i was wszystkich, i tych niktzemnych złodziei, którzy ją tam podrzucili. A ty, Robercie, idź do ogrodu i uważaj na okna. Gdyby ktokolwiek próbował się do nich dobierać — biegnij do kuchni i powiedz dwóm robotnikom z farmy, których poproszę, żeby tam czekali. Powiem im tylko, że krążą tutaj bardzo podejrzane typy, co zresztą jest prawdą. I pamiętajcie obydwaj, że przede wszystkim na was polegam. Chociaż nie myślę, aby złodzieje próbowali się dostać tutaj przed nocą, więc nic wam właściwie nie grozi. Do widzenia, dzieci.

Zamknęła drzwi od swojego pokoju na klucz i wyszła z kluczem w kieszeni.

Dzieci nie mogły powstrzymać się od podziwu dla stanowczości i męstwa, z jakim postępowała mama. Pomyślały, jak bardzo przydałaby się jej pomoc przy ratowaniu się z różnych oparów, w jakich znajdowały się ostatnio tyle razy z powodu źle pomyślanych życzeń.

— Mamusia to urodzony generał — orzekł Cyryl — ale doprawdy nie wiem, co nas teraz czeka. Nawet gdyby dziewczynki poszły szukać tego potwora Piaskoludka i wreszcie go znalazły i namówiły, żeby zabrał klejnoty, mamusia pomyślałaby tylko, że źle pilnowaliśmy, że pozwoliliśmy włamywaczom zakraść się i wygarnąć wszystko. Albo policja pomyśli, że myśmy to schowali... albo że mamusia ich nabujała. Ach, co za diabelnie paskudna historia! I tym razem nie można się już wykaraskać.

Ze złością zrobił papierowy stateczek i puścił go na wodę w wannie, jak zalecała mama.

Robert zaś poszedł do ogrodu i usiadł na wydeptanej i pożółkłej trawie. Zrozpaczonym ruchem objął rękami skołataną głowę.

Antea i Janeczka szeptały ze sobą w korytarzu na dole, gdzie leżał chodnik z dziurą, w którą zawsze wpadała noga, jeśli się tylko choć trochę nie uważało. Z kuchni dochodził głos Marty, lamentującej głośno i bez przerwy.

— To po prostu okropne — powiedziała Antea. — I skąd możemy wiedzieć, czy tu są wszystkie brylanty? Bo jeżeli nie wszystkie, to policja pomyśli, że mamusia i tatuś oddali tylko część, żeby zamydląć oczy, a schowali resztę. I zamkną ich w więzieniu, a my będziemy wyrzutkami społeczeństwa i dziećmi przestępców. A mamusi i tatusiowi też nie będzie przyjemnie — dodała po chwili namysłu.

— Ale co my możemy zrobić? — spytała Janeczka.

— Nic — możemy zresztą znowu szukać Piaskoludka. Jest bardzo, bardzo gorąco. Więc może wylazł z piasku, żeby wygrzać swój wąsik.

— Ale i tak nie spełni już dzisiaj żadnego z tych naszych okropnych życzeń — odparła niepewnie Janeczka. — Teraz za każdym razem, kiedy go widzimy, jest coraz bardziej niezadowolony. Myślę, że on nie cierpi spełniania życzeń.

Antea, która przez cały czas kiwała posępnie głową, nagle znieruchomiała. I to tak raptownie, że wyglądało, jakby czegoś nasłuchiwała.

— Co się stało? — spytała Janeczka. — Co, czy coś ci przyszło do głowy?

— Jedyna nasza nadzieja — wykrzyknęła dramatycznie Antea. — Ostatnia i jedyna, jaka nam została. Chodźmy.

Szybkiem krokiem poszły w kierunku kamieniołomu. O radości! Duszek Piaskoludek siedział w jamce wygrzebanej w złocistym piasku i wysuwał z zadowoleniem wąsiki w stronę prażącego, popołudniowego słońca. Na widok dziewczynek zwinął się w kłębek i zaczął się zagrzebywać w piasku — najwidoczniej wołał swoje własne towarzystwo od nich. Ale Antea zdążyła na czas. Chwyliła go za kosmate łapki łagodnie, lecz mocno, i nie puszczała.

— No! Dostyc już tego! — zawołał duszek. — Daj mi spokój, dobrze?

Ale Antea trzymała go mocno.

— Kochany, dobry, pocziwy duszku — szeptała prawie bez tchu.

— Tak, tak, wiem, o co ci chodzi — rzekł duszek. — Chodzi ci po prostu o jeszcze jedno życzenie. A ja nie mogę męczyć się od rana do wieczora spełniając różnym ludziom ich życzenia. Muszę mieć trochę czasu i dla siebie.

— Czy ty nie lubisz spełniać życzeń? — spytała Antea grzecznie, ale głos jej aż drżał z przejęcia.

— Pewnie że nie lubię — odparł duszek. — Po prostu nie cierpię tego. Więc zostaw mnie w spokoju, bo inaczej ugryzę cię — zupełnie serio — mówię to zupełnie na serio! Nie radzę ci ryzykować!

Antea jednak zaryzykowała i trzymała go mocno.

— Posłuchaj — rzekła — nie gryź mnie, tylko wysłuchaj spokojnie tego, co ci powiem: jeżeli teraz spełnisz jeszcze jedno nasze życzenie, nigdy już nie będziemy cię o nic prosić aż do końca życia!

Piaskoludek był bardzo przejęty.

— Zrobię wszystko, co zechcesz — powiedział płaczliwym głosem. — Nadmę się, ile tylko potrafię, i póki będę mógł, spełnię jedno twoje życzenie za drugim, jeżeli tylko obiecasz mi, że już nigdy odtąd o nic mnie nie poprosicie. Gdybyś wiedziała, jak ja tego nie znoszę, tego nadymania się, żeby spełnić czyjeś życzenia. Jak zawsze się boję, że mogę sobie nadwreżyć jakiś mięsień czy co innego. I tego budzenia się każdego rana wiedząc, że tak będzie co dzień.

— Ach, ty wcale nie wiesz, jakie to okropne! — Głos mu się załamał ze wzruszenia i zamiast powiedzieć „okropne”, wydał z siebie tylko jakiś bolesny jęk.

Antea łagodnie usadowiła go na piasku.

— Ale teraz to już się skończy — rzekła uspokajająco. — Solennie ci obiecujemy, że od dziś nigdy już o nic nie będziemy cię prosić.

— No dobrze, mów już, o co ci chodzi — rzekł duszek — i niech się to już raz skończy.

— Ile życzeń możesz teraz spełnić?

— Sam nie wiem — zobaczymy, jak długo wytrzymam.

— Dobrze. Więc najpierw proszę cię, żeby się okazało, że hrabina Chittenden nie straciła nigdy swoich klejnotów.

Piaskoludek nadął się, wypuścił z siebie powietrze, a wreszcie powiedział:

— Zrobione.

— Chciałabym — powiedziała następnie Antea z lekkim wahaniem w głosie — żeby mamusia jakoś nie mogła zajechać na policję.

— Zrobione — odparł po chwili duszek.

— Chciałabym — wtrąciła się nagle Janeczka — żeby mamusia całkiem zapomniała o tych brylantach.

— Zrobione — rzekł Piaskoludek, choć głos jego tym razem był już nieco słabszy.

— Czy nie miałbyś ochoty wypocząć? — spytała Antea.

— O tak — rzekł duszek. — A zanim pójdziemy dalej, czy ty byś nie zechciała spełnić jednego życzenia dla mnie?

— Czy nie możesz sam spełniać swoich życzeń?

— Oczywiście że nie — odparł duszek. — Zawsze spełnialiśmy swoje życzenia nawzajem, choć prawdę mówiąc, niewiele ich mieliśmy za dawnych, dobrych czasów megaterium. A teraz wypowiedz tylko życzenie, żebyście nigdy nie mogli, nikt z was, nikomu ani słowa opowiedzieć o mnie.

— Dlaczego? — spytała Janeczka.

— Jak to, nie rozumiesz dlaczego? Przecież, gdybyście opowiedzieli o mnie dorosłym, to już do końca życia nie miałbym chwili spokoju. Złapałoby mnie i wciąż kazaliby spełniać życzenia. I to nie takie głupstwa jak wasze, ale prawdziwe, trudne rzeczy. A uczeni na pewno wynalęzliby jakiś sposób, żeby spełnione życzenia trwały i po zachodzie słońca. A znowu inni chcieliby ode mnie zmniejszenia podatków, powiększenia emerytur, wprowadzenia powszechnego głosowania, bezpłatnej nauki w szkołach średnich i różnych podobnych nudziarstw. I z tym wszystkim cały świat w końcu pokręciłby się całkiem i stanąłby do góry nogami. No, ale wypowiedz wreszcie moje życzenie! Jazda!

Antea powtórzyła życzenie Piaskoludka, ten zaś nadał się tak, jak jeszcze nigdy dotąd.

— A teraz — rzekł, kiedy już wypuścił z siebie powietrze — jakie jeszcze życzenia chcecie wypowiedzieć?

— Tylko jedno. I sędzę, że tym razem wszystkie nasze sprawy będą już załatwione, prawda, Janeczko? Chciałabym, żeby Marta zapomniała o brylantowym pierścionku, a mamusia o tym, że gajowy mył okna.

— To jak w „Miedzianej Butelce”^{*} — odezwała się Janeczka.

— Tak, dobrze, żeśmy to czytali, bo inaczej wcale by mi to nie przyszło do głowy.

— Zrobione — odezwał się duszek bardzo słabym głosem. — Ledwo już żyję. Czy macie jeszcze coś do mnie?

— Nie. Tylko chciałabym podziękować ci za wszystko, co dla nas zrobiłeś, i życzyć ci długiego i dobrego snu. Chciałabym, żebyśmy się jeszcze kiedyś spotkali.

— Czy to było życzenie? — szepnął Piaskoludek bardzo wyczerpanym głosem.

— O, tak! — zawołały obydwie dziewczynki naraz.

Wtedy po raz ostatni w tej książce zobaczyły, jak duszek nadał się, a potem nagle wypuścił z siebie powietrze. Skinał im głowę, popatrzył przez chwilę swymi ślimakowatymi oczkami, a potem zaczął szybko, szybko grzebać w piasku, aż wreszcie znikł. Tylko piasek w tym miejscu obsypywał się jeszcze przez chwilę.

— Mam nadzieję, że dobrze zrobiłyśmy — rzekła Janeczka.

— Na pewno dobrze — odparła Antea. — A teraz wracajmy i opowiedzmy wszystko chłopcom.

Antea znalazła Cyryla zatopionego w ponurych rozmyślaniach nad pływającym papierowym stateczkiem. Opowiedziała mu wszystko, a Janeczka to samo Robertowi. Te dwie opowieści zostały właśnie dopiero co ukończone, kiedy weszła mamusia, zgrzana i zakurzona. Opowiedziała dzieciom, że w czasie jazdy do miasteczka, żeby kupić dla dziewczynek szkolne mundurki, złamała się w wózku oś. Niewiele brakowało, a mamusia byłaby wypadła. Tylko droga w tym miejscu była bardzo wąska, a z brzegu rosły krzaki, które uratowały wózek od wywrócenia. Koniec końców nic się mamusi nie stało, tyle tylko, że musiała wracać piechotą.

— Ale po tym wszystkim, moi drodzy — dodała — umieram po prostu z pragnienia. Niech ktoś z was pobiegnie i przyniesie herbaty.

^{*} „Miedziana Butelka” — powieść fantastyczna angielskiego pisarza F. Ansteya — to historia zabawnych przygód pewnego młodzieńca, który podobnie jak rybak z baśni z 1001 nocy uwolnił ducha uwięzionego w miedzianej butelce.

— Wszystko w porządku — szepnęła Janeczka. — Widać, że nic nie pamięta.

— Marta też nie pamięta — powiedziała Antea wracając z kuchni po zaparzeniu herbaty.

Służba siedziała właśnie przy podwieczorku, kiedy przyszedł gajowy. Przywiózł pożądaną wiadomość, że, jak się okazało, brylanty hrabiny Chittenden wcale nie były ukradzione. Po prostu hrabia zabrał je do wyczyszczenia, a pokojówka, która o tym wiedziała, pojechała akurat do domu na parę dni. Więc i tam wszystko skończyło się dobrze.

— Myślę o tym, czy zobaczymy jeszcze Piaskoludka — odezwała się rozmarzonym głosem Janeczka, gdy dzieci spacerowały wieczorem po ogrodzie, a mamusia układała Baranka do snu.

— Jestem pewien, że tak — odparł Cyryl — jeśli tylko naprawdę wypowiedziałyście to życzenie.

— Tak — rzekła Antea. — Ale równocześnie przyrzekłyśmy, że nikt z nas więcej już o nic nie poprosi.

— I na pewno tego dotrzymamy — zakończył z przekonaniem Robert.

Piaskoludka, rzecz jasna, dzieci jeszcze spotkały, ale już nie w tej książce. I nie było to wcale w kamieniołomie, ale zupełnie, zupełnie innym miejscu. Było to w... Nie, nie powiem już ani słowa.